

BIULETYN IPN

nr 7-8 (28-29)/2014

# pamięć **PL**

## Operacja „Ostra Brama”

**Powstanie Warszawskie  
Depolonizacja Lwowa**

Cena 9 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521  
nakład 10 500 egz.

**Dodatek specjalny:**  
broszura *Wola Pamięci 1944*,  
płyta z filmem *Chcieliśmy żyć*  
oraz plakaty powstańcze



Całość floty rzymskiej dzielono na flotyllę (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotyllę posiłkowe dostarczane, dobrowinie lub przysusowo, przez nacje z nim sfederowane. Oprócz okrętów stricte bojowych Imperium rozporządzało także znaczną ilością mniejszych jednostek zwidowych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzydzieści okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelną dowodztwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsułów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywy Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsułów dobrał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumvir navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterej quaestores classici. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsułom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalnym stał się spadek prestiżu klasis, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojen macedońskich całością floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzielono eskadrami dowodzil podlegający temu ostatniemu legati classici. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódcą oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiązkowi szprya, czyli dowódcą mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnili nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szpryów, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowała się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodził: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classarii lub marines), wiosłarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz fletmista bądź trębacz odpowiadnie temu wiosłowaniu. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przegranej przez Kartagińczyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wiosłarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczki wiosłarskie), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przetrzebionych sposobów walki: nacierający pod wyławiania łodzi w gorącą cieczą na pokład przeciwnika, poprzez rzucanie koszdów wypełnionych jadowitą wędliną bądź skorpionami, a skończonych w miotaniu pocisków za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, nawet z pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swym pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przewożenie było tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie późnej republiki oraz pryncypatu klasis posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kołczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atlety”) i przytoczone do niego pteryges, czyli połączone ze sobą skórzane pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu beoskiego ze specjalnym rondem opadającym ku dołowi i napolicznikami związanymi pod brodą, oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione zwyczajnymi motywami morskimi (na przykład harpunami lub podobiznami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classarius nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czarnego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morcy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italicy sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojny punickiej Tytus Liviusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkający Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabański przyrzekły dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowice, choć były w przymierzu z Rzymem na równych prawach, przysłały uzbrojony oddział szlachciców ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarzemia wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączono też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojennej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, do którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromanizowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w skład jednej podlegający dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzecznych w skład rzymskich załóg wchodził: Iberowie, Brytonie, Germanie, Gallowie a nawet Maurowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylce, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym umblem oraz maczugę. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej ochrony tułowia i torsu stosowano wielowarstwowe płócienne tuniki. Wspomniani wcześniej Maurowie w warunkach morskich ubraли się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramie oraz wleńnianą tunikę. Z barbarzyńców rekrutowały się także jednostki odpowiadające za walkę na odległość. Zaliczyć do nich należy łuczniczków, których często wierzano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm sterczasty, pancerz łuskowy, nakarczelnik, lub refleksyjny, którego ciężką napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli łucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od procarzy. Ci ostatni pochodzili i zazwyczaj z Wysp Balearskich, chociaż znani i cenieni byli także procarze kretęscy. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, luźny płaszcz na pociski, tunika, hełm i krótki miecz bądź pugnal. Jako procarze służyli też zwykłe Brytonie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzanej torby na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym sztyku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do bliższych celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stop rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucono kamieniami bądź oliwnymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Greków, Rzymianach lub innych jeszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby. Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów, (grecki manewr – periplus), zdruzgotania ich wiosel kadłubem (dieklus) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w sztyk czołowy. Następnie podpyływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycyfowały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomnianą czynność. Niekiedy dążono także do okrażenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru okrążającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wpłynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w sztyk liniowy, które przepływały następnie ze spora szybkością przez ugrupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mogła ryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także sztyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas to jednostki tworzyły okrąg, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadsać starcu morskemu charakter bitwy na twardym gruncie, zapatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jenieciska, meotpry wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, a każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do osmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. Kolowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonego przez jego wierzchołek, możliwe było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kołca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie  
mamy więcej  
miejsca.



Pierwszy polski portal historyczny  
www.histmag.org

# MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”

Popularyzujemy historię od 56 lat!

## NUMER SIERPNIOWY „POWSTANIE WARSZAWSKIE 1944”

przygotowany w 70. rocznicę wybuchu wspólnie  
z Muzeum Powstania Warszawskiego

### W numerze:

- Dyskusja historyków o przyczynach i sensie Powstania
- Rozmowy z żyjącymi powstańcami i relacje dzieci, które przeżyły Powstanie
- Strategia Polaków i Niemców
- Zgrupowanie „Radosław” AK – portret socjologiczny
- Spóźniona pomoc – warszawskie desanty 1. Armii WP
- Kim byli hitlerowscy kaci Warszawy
- Jak Niemcy niszczyli stolicę po Powstaniu
- Warszawscy robinsonowie
- Muzeum Powstania Warszawskiego – miejsce niezwykłe

Ponadto w miesięczniku: aktualności historyczne, zaproszenia na wystawy,  
recenzje książkowe

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio  
oraz dobrych kioskach RUCH-u. Prenumeratę realizują Bellona SA i RUCH.

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: [www.mowiawieki.pl](http://www.mowiawieki.pl)  
oraz [www.facebook.com/mowiawieki](https://www.facebook.com/mowiawieki)







- 2** AKTUALNOŚCI IPN
- 4** KALENDARIUM
- 6** Z PIERWSZEJ STRONY

**FELIETON**

- 8** Krzysztof Gottesman, **Stadionowe pocieszenia**

**Z ARCHIWUM IPN**

- 10** Grzegorz Wołk, „Współpracy odmawiam”

**STOP-KLATKA**

- 12** Konrad Ślusarski, **Śmierć miasta w obiektywie niemieckich lotników**

**WYWIAD**

- 15** **Byliśmy czarnymi diabłami**  
– rozmowa z ppor. Piotrem Juralewiczem

**WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU**

- 18** Piotr Łapiński, **Człowiek z bliźną**
- 22** Waldemar Grabowski, **Zanim nadeszła „Burza”**
- 26** Paweł Rokicki, **Akcja „Ostra Brama”**
- 30** Maciej Żuczowski, **Najdłuższy dzień Powstania**
- 34** Dawid Golik, **„Jubelt” i „John”**  
– alianci w podhalańskiej AK
- 38** Damian Markowski, **Lwów: dekonstrukcja 1944–1946**
- 43** Hubert Wilk, **Od Stachanowa do Pstrowskiego**
- 47** Natalia Jarska, **Emancypacja w fabryce**
- 52** Przemysław Gasztold-Seń, **Orientalne saksy**



Fot. ze zbiorów Piotra Łapińskiego



Fot. CAW



Fot. ze zbiorów Ośrodka KARTA

Fot. AIPN



Fot. PAP / Ireneusz Sobieszczuk



Fot. Józef Szob, zbiory Ośrodka KARTA



Fot. ze zbiorów Tomasz Zawistowski



Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

- 58** Robert Spalek, **Towarzysz Jaruzelski prezydentem**
- 63** Jakub Gołębiowski, **Komuniści kontra pielgrzymi**
- 68** Jan Oleński, **Kartki ze stołecznego Lublina**

**STRAŻNICY NARODOWEJ PAMIĘCI**

- 71** **Białe „Skrzydła Pokoju”**  
– rozmowa z Moniką Osiecką

**PAMIĘTAM JAK DZIŚ...**

- 74** **„Zaatakowali nas o drugiej w nocy”**  
– relacje ocalałych z rzezi wołyńskiej

**PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU**

- 78** Jerzy Eisler, **Kanał**

**ORZEŁ BIAŁY**

- 81** Tomasz Zawistowski, **Orły ze znakiem Polski Walczącej**

**Z BRONIĄ W RĘKU**

- 85** Michał Mackiewicz, **Z browningiem na arcyksięcia**

**MIEJSCA Z HISTORIĄ**

- 88** Katarzyna Dzierzbicka, **Ostatnie dni Baczyńskiego**
- 92** Ewa Rogalewska, **Zaginieni w obławie augustowskiej**

**EDUKACJA HISTORYCZNA**

- 95** **Święto historyków** – rozmowa z dr hab. Adamem Makowskim
- 98** Łukasz Michalski, **Jak uczyć o Powstaniu Warszawskim?**

**101 RECENZJE**

**104 BIBLIOTEKA IPN**



Szanowni Czytelnicy!

*Dulce et decorum est pro patria mori* – słowa frazy, której autorem jest Horacy, pasują jak ulał do obrazu, który często wylania się z opowieści i zdjęć związanych z Powstaniem Warszawskim. Zośka, Parasol, Pałacyk Michła, PAST-a – entuzjazm młodych, często nastolatków, którzy z przedwojennych szkół wynieśli wychowanie prześiknięte patriotyzmem, opowieściami weteranów Legionów i Powstania Styczniowego. I słowami Horacego. W tym kontekście Powstanie Warszawskie może się jawić jako urzeczywistnienie wzniosłych idei wychowania obywatelskiego II Rzeczypospolitej. Umrzeć za ojczyznę jest słodko i zaszczytnie. Odwrotną stroną tego powstańczego medalu jest prawie 200 tys. zabitych, zniszczone miasto i pytanie o sens tej hekatombi. Czy ginąć w nierównym i beznadziejnym boju, gdy sojusznicy zawiedli bądź zdradzili, rzeczywiście jest tak słodko? Ale czy było inne wyjście? Siedemdziesiąt lat od tego wydarzenia wciąż toczymy na ten temat zażarte dyskusje. I zapewne jeszcze toczyć je będziemy, zadaniem zaś naszego pisma jest nie tyle je rozstrzygnąć, ile pilnować, aby obraz tamtych dni był w miarę możliwości kompletny i niezafalszowany, a szczególnie – by trwał w pamięci narodowej.

Znaczną część tego numeru zajmują lipcowo-sierpniowe rocznice związane z rokiem 1944. O planach – snutych już na początku wojny – wywołania powstania w okupowanej Polsce i przeprowadzenia desantu pisze Waldemar Grabowski. Z kolei Maciej Żuczkowski opisuje akcję przebijania się warszawskich powstańców ze Starówki do Śródmieścia. Zaproponowaliśmy także dwie wycieczki po Warszawie: śladami Krzysztofa Kamila Baczyńskiego oraz po miejscach upamiętniających rzeź mieszkańców Woli (dołączona do numeru broszura *Wola Pamięci 1944*).

Wspominamy też dwa miasta – symbole polskości utraconych Kresów: Wilno i Lwów. Operacja „Ostra Brama” – wyzwolenie Wilna – była kulminacją „Burzy” na Wileńszczyźnie. Współpraca Armii Krajowej z Armią Czerwoną zakończyła się sukcesem taktycznym (z miasta udało się wyprzeć Niemców), ale także klęską AK, której oddziały zostały zdradziecko rozbrojone, a dowódcy aresztowani przez NKWD. Przebieg tych wydarzeń opisuje Paweł Rokicki. O procesie depolonizacji Lwowa, rozpoczętym tuż po „wyzwoleniu” – w artykule Damiana Markowskiego.

W numerze także tematy nierocznicowe: Hubert Wilk przygląda się zjawisku socjalistycznego współzawodnictwa pracy, Natalia Jarska analizuje zawodową emancypację kobiet w okresie stalinizmu, a Przemysław Gasztold-Seń przybliży rzeczywistość pracy Polaków na „saksach” w krajach arabskich. A to i tak jeszcze nie wszystko w grubszym, wakacyjnym wydaniu „Pamięci.pl”.

Do numeru dołączyliśmy – oprócz wspomnianego przewodnika po Woli – powstańcze plakaty i film *Chcieliśmy żyć. Powstanie i medycyna*.

Redaktor naczelny  
Andrzej Brzozowski



■ 1 sierpnia minie 70 lat od wybuchu Powstania Warszawskiego. Tego dnia o godz. 17 zatrzymają się w Polsce samochody i piesi, zawyją syreny. Myśli pobiegną kolejny raz ku 63 powstańczym dniom. Mamy okazję, by przypomnieć światu o tych, których wołania o wolność nie usłyszano. IPN opracował symbol przypominający o Powstaniu Warszawskim. Warto, by pojawił się on wszędzie tam, gdzie będą go mogli zobaczyć ci, którzy o Powstaniu jeszcze nie słyszeli. Przypomnijmy o tym zrywem do wolności!

dr Andrzej Zawistowski,  
dyrektor BEP IPN

Partnerami akcji są Instytuty Polskie w Bratysławie, Londynie, Pradze, Sankt Petersburgu, Sofii i Wilnie, MPK Kraków, MPK Wrocław, Koleje Mazowieckie, Tramwaje Warszawskie, SKM, MZA, Modart, HATOR, Pamięć.pl, TVP Historia i UrbanINFOtv.



pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok, dr hab. Robert Klementowski, dr Krzysztof Kaczmarek, dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski, dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki, dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski, dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący), dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyzewski, dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman, dr Joanna Hytrek-Hryciuk, Agnieszka Jaczyńska, dr Andrzej Krajewski, Jan Olszák, dr Konrad Rokicki, dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka, dr Magdalena Semczyszyn, Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty  
Redakcja: Andrzej Brzozowski (redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56; e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Jakub Gołębiowski, Andrzej Sujka, Karolina Wichowska  
Sekretariat: Maria Wiśniewska  
tel. 22 431 83 47, faks 22 431 83 11  
Korekta: dr Magdalena Baj  
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński, Marcin Koc, Sylwia Szafrńska  
Skład i lamowanie: Sylwia Szafrńska  
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a, Warszawa

Adres do korespondencji:  
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa  
www.ipn.gov.pl

Druk: LEGRA sp. z o.o.  
ul. Albatrosów 10c, 30-716 Kraków

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.



■ W lipcu na warszawskim **Śłużewie** prowadzone były sondażowe **prace poszukiwawczo-archeologiczne**. Po wojnie do 1948 roku na tamtejszym cmentarzu parafii św. Katarzyny przy ul. Wałbrzyskiej pogrzebano anonimowo kilkaset, a być może nawet około tysiąca ofiar reżimu komunistycznego – osób straconych na mocy wyroków sądowych, ale także zmarłych w wyniku tortur lub wskutek nieludzkich warunków panujących w więzieniach.

Prace prowadził zespół pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka, składający się ze specjalistów Samodzielnego Wydziału Poszukiwań IPN, archeologów, medyków sądowych i antropologów Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu oraz zaproszonych do współpracy naukowców i wolontariuszy. Udało się odnaleźć szczątki ponad dwudziestu osób i podjąć z dołów cztery kompletne szkielety. Więcej na ten temat napiszemy we wrześniowej „Pamięci.pl”.

Prace na Śłużewie to kolejna odsłona projektu IPN „Poszukiwania nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956”. W 2013 i 2014 roku w ramach tego projektu w kwaterze „Ł” Cmentarza Wojskowego na stołecznych Powązkach odnaleziono szczątki prawie dwustu osób, z czego dzięki badaniom DNA zidentyfikowano do tej pory 28.



Fot. P. Zyciński

■ Poznaliśmy laureatów **konkursu IPN na dziennik, pamiętnik lub wspomnienia z lat II wojny światowej**. Komisja pod przewodnictwem dr. Władysława Bułhaka najwyżej oceniła pracę **Bolesława Wójcika**, który opisał placówkę ZWZ/AK w Pilawie, działania konspiracji w tym rejonie i okres internowania w Rosji w latach 1944–1947. Równorzędne drugie nagrody otrzymały prace **Zygmunta Maguzy**, wspominającego służbę w 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, i **Bolesława Stolarza**, który opisał działalność AK i warunki konspiracyjne w rejonie Kraśnika na Lubelszczyźnie w 1944 roku. Komisja przyznała też kilka wyróżnień. W sumie na konkurs wpłynęło 217 prac, w tym 26 z zagranicy.

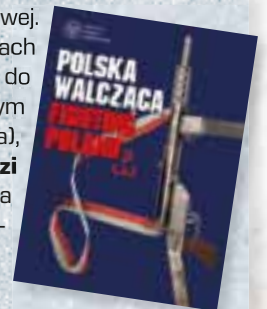
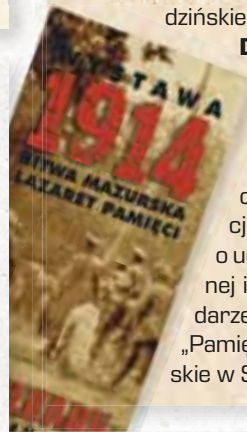
■ W kilku miastach czynna jest **wystawa „Polska Walcząca”**, przygotowana przez Instytut Pamięi Narodowej. Przypomina ona o fenomenie Polskiego Państwa Podziemnego – zjawiska wyjątkowego w okupowanej w latach II wojny światowej Europie. Ekspozycję można oglądać na Zamku Królewskim w **Warszawie** (od 29 lipca do 26 października), na skwerze Armii Krajowej w **Białymstoku** (od 29 lipca do 28 sierpnia), na Targu Rakowym w **Gdańsku** (od 1 sierpnia do końca września), przy ul. Mariackiej w **Katowicach** (od 29 lipca do 29 sierpnia), w Muzeum Lubelskim na Zamku w **Lublinie** (od 22 lipca), na Rynku Manufaktury przy ul. Karskiego 5 w **Łodzi** (od 29 lipca do 22 sierpnia), przed siedzibą Oddziału IPN przy ul. Słowackiego 18 w **Rzeszowie** (od 29 lipca do 29 sierpnia), na Placu Lotników w **Szczecinie** (od 1 sierpnia do 7 września) oraz w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Norwida przy al. Wojska Polskiego 9 w **Zielonej Górze** (od 29 lipca do końca sierpnia). We wrześniu wystawa zagości także w **Bydgoszczy, Poznaniu i Wrocławiu**.

■ 17 sierpnia o godz. 12 w **Pelagowie** koło Radomia odbędzie się uroczyste **otwarcie Domu Pamięci Księdza Romana Kotlarza**.

Nazwisko tego legendarnego kapłana nierozzerwalnie wiąże się z protestem społecznym z czerwca 1976 roku. Ksiądz Kotlarz poblogosławił wówczas robotników, którzy opuścili zakłady pracy i manifestowali przeciwko podwyżkom cen żywności. Po powrocie do Pelagowa, gdzie był proboszczem, w kilku emocjonalnych kazaniach bronił represjonowanych uczestników demonstracji. Był nachodzony, bity, wręcz torturowany przez „nieznanych sprawców”, którymi byli – według ustaleń prokuratury z 1990 roku – funkcjonariusze Wydziału IV Komendy Wojewódzkiej MO w Radomiu. Zmaltretowany ksiądz trafił do szpitala w pobliskich Krychnowicach, gdzie zmarł 18 sierpnia 1976 roku. Dziś bywa nazywany „radomskim Popieluszką”. Nakładem gminy Kowala dawna plebania w Pelagowie została wyremontowana i przystosowana do celów muzealnych. W budynku urządzono stałą ekspozycję, której częścią jest wystawa „...ksiądz musi zaprzestać. Życie i działalność księdza Romana Kotlarza”, przygotowana przez Delegaturę IPN w Radomiu.

■ Od 1 do 29 sierpnia na pl. Katedralnym im. Jana Pawła II przy ul. Piotrkowskiej 265 w **Łodzi** można oglądać plenerową **wystawę „Powstańcze biografie – łódzkie echa Powstania Warszawskiego”**, przygotowaną przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN. Ekspozycja składa się z biogramów łódzian, którzy walczyli i ginęli w Powstaniu Warszawskim, oraz tych byłych powstańców, którzy po wojnie osiedlili się w Łodzi i wnieśli wkład w życie miasta.

■ Od 24 sierpnia w kościele poewangelickim w **Wielbarku** czynna będzie **wystawa-instalacja** Krzysztofa Findzińskiego „**1914 – Lazaret pamięci. Ciemność. Dunkelheit. Mpak**”. Przybliży ona historię bitwy mazurskiej 1914 roku, kiedy to wojska niemieckie rozbiły rosyjską 2. Armię gen. Samsonowa. Po obu stronach znaczną część żołnierzy stanowili Polacy – obywatele Rosji i niemieckich Prus. Instalacja podejmuje próbę przywrócenia pamięci o uczestnikach tych walk, ofiarach bezsensownej i okrutnej wojny. Współorganizatorami wydarzenia, nad którym patronat objął miesięcznik „Pamięć.pl”, są gmina Wielbark, Muzeum Mazurskie w Szczytnie i powiat szczywieński.





## POSTAĆ MIESIACA

**19 lipca 1989:** Ryszard Kaczorowski objął urząd prezydenta RP na uchodźstwie. Pochodził z rodziny o rodowodzie szlacheckim. Wychował się w Białymstoku. Od najmłodszych lat działał w harcerstwie i jeszcze przed wybuchem II wojny światowej uzyskał stopień instruktorski. Pod okupacją sowiecką współtworzył konspiracyjne Szare Szeregi, pełniąc funkcję komendanta okręgu białostockiego. Latem 1940 roku został aresztowany przez NKWD. Był więziony w Białymstoku i Mińsku. 1 lutego 1941 roku został skazany przez Najwyższy Sąd Białoruskiej Republiki Radzieckiej na karę śmierci, zamienioną później na dziesięć lat łagrów. Trafił na Kołymę, ale wkrótce odzyskał wolność na mocy układu Sikorski–Majski. Wstąpił do formowanej przez gen. Władysława Andersa Armii Polskiej w ZSRR. Przeszedł szlak bojowy 2. Korpusu, walcząc m.in. pod Monte Cassino. Po wojnie wybrał życie emigranta w Wielkiej Brytanii, gdzie ukończył Szkołę Handlu Zagranicznego. Przez wiele lat pracował jako księgowy. Był też m.in. przewodniczącym Związku



► Ryszard Kaczorowski (1919–2010)

Fot. PAP

Harcerstwa Polskiego na uchodźstwie. Działał na forum emigracyjnego parlamentu – Rady Narodowej, a w 1986 roku objął stanowisko ministra do spraw krajowych w rządzie londyńskim. Po nagłej śmierci Kazimierza Sabbata został szóstym prezydentem RP na uchodźstwie. Polskie władze emigracyjne od dawna nie były już uznawane na arenie międzynarodowej, nadal jednak funkcjonowały na mocy konstytucji kwietniowej z 1935 roku, podkreślając ciągłość instytucjonalną z II RP i odcinając się od komunistycznych rządów w Warszawie. W grudniu 1990 roku Kaczorowski złożył urząd na ręce Lecha Wałęsy, wybranego przez naród prezydenta wolnej Polski, przekazując mu insygnia władzy państwowej.

Ryszard Kaczorowski zginął w 2010 roku w katastrofie smoleńskiej. Spoczął w Panteonie Wielkich Polaków w powstającej Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie. Jest kawalerem Orderu Orła Białego i honorowym obywatelem wielu miast, a kilka uczelni nadało mu tytuł doktora *honoris causa*.



Fot. AIPN

► Ksiądz Sylwester Zych (1950–1989)

**11 lipca 1989:** W Krynicy Morskiej znaleziono zwłoki ks. Sylwestra Zycha, duchownego związanego z opozycją.

W 1977 roku Zych ukończył Wyższe Metropolitalne Seminarium Duchowne św. Jana Chrzciciela w Warszawie. Pracował w mazowieckich parafiach, m.in. w Tłuszczu, gdzie zainicjował akcję wieszania krzyży w szkołach i przedszkolach. W czasie stanu wojennego był opiekunem młodzieżowej organizacji konspiracyjnej, której członkowie w lutym 1982 roku, w trakcie próby rozbrojenia, śmiertelnie postrzelili milicjanta. Ksiądz Zych przechowywał broń zdobytą przez nastolatków i obiecał zapewnić im alibi. To wystarczyło, by został aresztowany i oskarżony o „udział w związku zbrojnym”.

Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego pod przewodnictwem ppłk. Władysława Monarchy skazał kapłana na cztery lata więzienia. Sąd Najwyższy podwyższył karę do sześciu lat. Ksiądz Zych został osadzony w Zakładzie Karnym w Braniewie. Był przetrzymywany w ciężkich warunkach i zastraszany. Na wolność wyszedł we wrześniu 1986 roku. Kontynuował pracę duszpasterską, pełniąc m.in. funkcję kapelana Konfederacji Polski Niepodległej. W wygłaszanych kazaniach piętnował nadużycia władzy. Otrzymywał anonimowe listy i telefony z pogrózkami. Wiosną 1989 roku został napadnięty w Warszawie, ale sprawców spłoszył nadjeżdżający samochód.

Duchowny zmarł w niejasnych okolicznościach. Kierowana przez Jerzego Urbana telewizja sugerowała, że przyczyną zgonu był alkohol. Jeden z barmanów z Krynicy Morskiej, którzy zgodzili się firmować tę wersję, po latach odwołał jednak swoje słowa. Sekcja zwłok wykazała u zmarłego liczne obrażenia, w tym pręgi z tyłu głowy, które mogły powstać w wyniku uderzeń pałką. Mimo to śledztwo prokuratorskie zostało umorzone w roku 1993. Ksiądz Zych bywa nazywany ostatnią ofiarą komunizmu w Polsce – zginął już po obradach Okrągłego Stołu i kontraktowych wyborach parlamentarnych. „Zbrodnia ta miała cechy zemsty. Był to dla Służby Bezpieczeństwa ostatni moment, by dokonać tej zemsty jeszcze w atmosferze bezkarności” – mówił przed kamerą TVN24 prof. Jan Żaryn.

W 2009 roku ks. Sylwester Zych został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

**23 lipca 1944:** Na teren opuszczonego przez niemiecką załogę obozu na Majdanku wkroczyła Armia Czerwona.

Wizytując latem 1941 roku Lublin, szef SS Heinrich Himmler nakazał utworzenie obozu dla 25–50 tys. więźniów, którzy stanowiliby darmową siłę roboczą. W ten sposób na Majdanku – na przedmieściach Lublina – powstał niebawem obóz dla jeńców wojennych, w 1943 roku przemianowany na obóz koncentracyjny (KL Lublin). Stał się miejscem zagłady Żydów, ale także kaźni Polaków i jeńców sowieckich. Więźniowie – wśród nich kobiety i dzieci – ginęli w egzekucjach i komorach gazowych. Śmiertelne żniwo zbierały też głód, katorżnicza praca i szerzące się choroby. Według najnowszych ustaleń, przez Majdanek przeszło ok. 150 tys. więźniów. Życie straciło tu blisko 80 tys. osób, w tym niemal 60 tys. Żydów. Dla zatarcia śladów zbrodni zwłoki palono na stosach i w krematoriach. Tylko część katów z Majdanka stanęła po wojnie przed sądem. Arthur Liebehenschel, ostatni komendant obozu, został skazany na śmierć przez Najwyższy Trybunał Narodowy w Krakowie i stracony w więzieniu przy ul. Montelupich. Ponura historia Majdanka nie dobiegła końca wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej do Lublina. Wkrótce zorganizowano w tym miejscu obóz NKWD dla aresztowanych żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego. W zachowanych barakach przez pewien czas przetrzymywano również jeńców niemieckich i folksojczów. Już jednak w listopadzie 1944 roku na części terenu byłego obozu powstało muzeum.



Fot. AIPN



**29 lipca 1979:** Na Wybrzeżu powstał opozycyjny Ruch Młodej Polski. Jego twórcy wywodzili się ze środowiska skupionego wokół pisma „Bratniak”. W deklaracji ideowej RMP czytamy, że „celem narodu polskiego jest odzyskanie niepodległości państwa”. Pod dokumentem, ogłoszonym 18 sierpnia 1979 roku, podpisało się 25 osób. Autorami tekstu byli Aleksander Hall, Jacek Bartyzel, Arkadiusz Rybicki i Jan Samsonowicz. Ten pierwszy stał się nieformalnym liderem ruchu. RMP odwoływał się do tradycji narodowej, konserwatywnej i chadeckiej, a także etosu Armii Krajowej. Nie był organizacją masową, ale zaistniał w wielu regionach – poza Trójmiastem m.in. w Łodzi, Poznaniu i Lublinie. Prowadził działalność wydawniczą i samokształceniową, organizował akcje ulotkowe i manifestacje patriotyczne. Młodopolacy blisko współpracowali z Wolnymi Związkami Zawodowymi Wybrzeża. W 1980 roku wielu z nich zaangażowało się w tworzenie struktur NSZZ „Solidarność”, a po wprowadzeniu w PRL stanu wojennego część została internowana. Ruch Młodej Polski zawiesił działalność w 1982 roku, uznając, że najważniejszą siłą polityczną zdolną doprowadzić Polskę do wolności jest Solidarność. Środowisko młodopolaków pozostało jednak aktywne, współtworząc np. Ruch Myśli Politycznej „Dziekania”. Wielu dawnych działaczy RMP angażowało się w politykę także w III RP.

**16/17 sierpnia 1919:** Wybuchło I powstanie śląskie.

Zgodnie z postanowieniami traktatu wersalskiego z 28 czerwca 1919 roku, o przynależności państwowej Górnego Śląska miał rozstrzygnąć plebiscyt. W regionie szybko jednak radykalizowały się nastroje. Powstawały liczne polskie organizacje, na co Niemcy odpowiadali rewizjami i aresztowaniami. 15 sierpnia 1919 roku niemiecki Grenzschutz otworzył ogień do strajkujących polskich górników; zginęło 10 osób. Masakra przyspieszyła decyzję o wybuchu powstania. Do walki stanęła konspiracyjna Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska, utworzona kilka miesięcy wcześniej. Przeciwwstawili się jej paramilitarne oddziały Grenzschutzu, wspierane przez regularne wojsko niemieckie i policję. Zryw objął sześć powiatów. Powstańcom nie udało się zdobyć większej ilości amunicji. Nie mieli też szans na wsparcie ze strony Wojska Polskiego, zaangażowanego w tym czasie w wojnę z bolszewicką Rosją. W tej sytuacji 24 sierpnia por. Alfons Zgrzebniok, komendant powstania, wydał rozkaz zaprzestania walk.

W niedługim czasie – w sierpniu 1920 i maju 1921 roku – na Górnym Śląsku wybuchły jeszcze dwa powstania. Sporny region został w końcu podzielony. Po stronie polskiej znalazło się 29 proc. obszaru plebiscytowego, ale aż 46 proc. ludności, większość kopalń, stalowni i hut.

**22/23 sierpnia 1919:** Wybuchło powstanie sejneńskie.

W czasie I wojny światowej Suwalszczyzna, w tym ziemia sejneńska, była okupowana przez Niemców. W obliczu ich kłęski pretensje do tego obszaru zgłosiła Polska i Litwa. W lipcu 1919 roku Rada Najwyższa Ententy wytyczyła linię demarkacyjną, tzw. linię Focha, rozgraniczającą sporne terytoria. Powiaty augustowski, suwalski i zachodnia część sejneńskiego miały się znaleźć po stronie polskiej. Mimo to administracja litewska pozostała w Sejnach. Do miasta przybył premier Litwy Mykolas Sleževičius, nawołując rodaków, by „bronili swych osad do ostatka”. Siły litewskie na tym terenie liczyły ok. 1200 ludzi. Polska Organizacja Wojskowa zmobilizowała niespełna tysiąc. Mimo to zdecydowała się na podjęcie działań zbrojnych, licząc na element zaskoczenia. W ciągu kilkunastu godzin Litwini zostali wyparci m.in. z Krasnopolu i Kopciowa. Sejny 26 sierpnia przechodziły z rąk do rąk, by ostatecznie znaleźć się pod polską kontrolą. Gdy do miasta dotarły regularne oddziały polskiego wojska, było jasne, że powstanie zakończyło się sukcesem. Straty polskie wyniosły 37 zabitych i kilkudziesięciu rannych; litewskie nie są znane. Latem 1920 roku, gdy ważyły się losy wojny polsko-bolszewickiej, Litwini zajęli Sejny, Suwałki i część Puszczy Augustowskiej, a później także Augustów. Szybko jednak zostali wyparci z tych terenów.



► Defilada polskiej kawalerii w Sejnach, 1920 rok

**23 sierpnia 1939:** W Moskwie podpisano niemiecko-sowiecki układ o nieagresji, znany jako pakt Ribbentrop–Mołotow.

Pod dokumentem podpisali się Joachim von Ribbentrop i Władimir Mołotow – ministrowie spraw zagranicznych III Rzeszy i Związku Radzieckiego, występujący w imieniu swoich mocodawców – Adolfa Hitlera i Józefa Stalina. Niemcy i ZSRR zobowiązały się m.in. do zachowania neutralności w razie uwikłania drugiej z układających się stron w konflikt zbrojny. Kluczowy był jednak tajny protokół dodatkowy porozumienia, który wyznaczał strefy wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej. W strefie sowieckiej znalazły się Finlandia, Estonia, Łotwa, rumuńska Besarabia i wschodnie ziemie Polski – aż do linii rzek Narwi, Wisły i Sanu. Zachodnia część Polski i Litwa miały przypaść III Rzeszy. Niemcy i Związek Radziecki dokonały tym samym podziału terytoriów suwerennych państw, w tym IV rozbioru Polski. Pakt Ribbentrop–Mołotow ułatwił Hitlerowi podjęcie ostatecznej decyzji o rozpoczęciu wojny – 1 września Wehrmacht uderzył na Polskę. Jeszcze przed wybuchem walk o postanowieniach tajnego niemiecko-sowieckiego protokołu dowiedziały się władze USA, Wielkiej Brytanii i Francji. Nie przekazały jednak tych informacji Warszawie, by nie zniechęcać jej do wojny z Niemcami. 28 września, gdy wciąż trwały walki na ziemiach polskich, Niemcy i ZSRR dokonały korekty postanowień układu Ribbentrop–Mołotow. Związek Radziecki odstąpił III Rzeszy wschodnią część Mazowsza i Lubelszczyzny, włączając w zamian Litwę do swojej strefy wpływów. Współpraca dwóch totalitarnych reżimów trwała do 22 czerwca 1941 roku, gdy Niemcy uderzyły na ZSRR.



Fot. AIPN

► Józef Stalin świętuje zawarcie układu z Niemcami









10 lipca 1969 roku

W połowie 1969 roku odbył się – po raz pierwszy wyłącznie w Kołobrzegu, a po raz trzeci w ogóle – Festiwal Piosenki Żołnierskiej, organizowany przez Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego. O wydarzeniu tym rozpisywał się „Głos Koszaliński”, który w numerze 177 z 10 lipca zanotował na pierwszej stronie: „To już dziś! Nieoficjalnie o godz. 16.30 (pierwsze przesłuchanie amatorów), oficjalnie o godz. 20.30 w kołobrzesckim amfiteatrze nastąpi inauguracja Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Żołnierskiej, jednej z największych imprez kulturalnych koszalińskiego i kołobrzesckiego lata”. Do Kołobrzegu zjechało wówczas wielu znanych i uznanych wykonawców, a wśród nich m.in. Czerwone Gitary, Czerwono-Czarni i Breakout. W kołobrzesckim amfiteatrze zasiedli przedstawiciele Ministerstwa Obrony Narodowej, wojewódzkich władz partyjnych i państwowych, gospodarze miasta i powiatu oraz licznie zgromadzona publiczność przybyła z całej Polski. W następnych numerach dziennik streszczał przebieg imprezy, przedstawiając kolejnych jej uczestników. 14 lipca donosił: „Na finałowym, transmitowanym przez telewizję koncercie zaprezentowano te piosenki i tych wykonawców, którzy znaleźli uznanie tak w oczach jury, pracującego pod przewodnictwem prof. Wojciecha Maklakiewicza, jak i w ocenie akredytowanych przy FPŻ dziennikarzy i w plebiscycie publiczności, której gust zgodny był z oceną członków jury. Zaprezentowano to, co najlepsze na tegorocznym Festiwalu, który bez względu na uzasadnione uwagi krytyczne staje się forum ambitnych twórców i wykonawców, który tworzy i popularyzuje pieśń i piosenkę najżywiej związaną z przeszłymi dziejami i teraźniejszością narodu, który bez wątpienia przejdzie do naszych koszalińskich kronik jako czołowe wydarzenie kulturalne bieżącego roku”. Kołobrzeg, nazywany główną kwaterą piosenki żołnierskiej, gościł festiwal do początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia.



19 sierpnia 1979 roku

„Są książki, które czyta się jednym tchem od deski do deski, ze stale rosnącym zainteresowaniem, chociaż z góry znamy ich zakończenie i dalsze losy głównych bohaterów” – pisały wydawane w Londynie polskie „Wiadomości” w numerze 33 z 19 sierpnia 1979 roku. O jakiej książce mowa? Zdradzał to już sam tytuł obszernego artykułu opublikowanego na pierwszej stronie tygodnika: „Kurier z Warszawy”. Uwagi i refleksje nad wspomnieniami Jana Nowaka. Autorem tekstu był Jan Ciechanowski, uczestnik Powstania Warszawskiego. „Książka Nowaka [...] to przede wszystkim ostatni raport z jego służby konspiracyjnej i kurierskiej. To praca, która pokazuje nam, jak wyglądała nasza wojenna »góra« w Warszawie i w Londynie oraz konspiracyjne »doly«, które na swych barkach niesły główny ciężar podziemnej walki i bez których bezinteresownej, wielkiej ofiarności nie mielibyśmy ruchu oporu, Podziemnego Państwa, a autorowi nie udało się jego fascynujące kurierskie podróże”. W swoim tekście, który został opublikowany w 35. rocznicę Powstania Warszawskiego, autor poruszył także i tę kwestię: „Nowak dobrze rozumie, że powstanie warszawskie było wielką narodową katastrofą. Niemniej uważa, że klęska ta przyniosła nam pewne długofalowe zyski. W jego opinii tragedia »Burzy« i Warszawy mocno poskromiła nasze powstańcze tendencje i skłonności i uczyniła nas bardziej ostrożnymi w stosunku do Rosji i Zachodu i dała nam bezkrawawe zwycięstwo 1956 roku, a Rosjanom dobitnie udowodniła, że mają do czynienia z narodem zawsze gotowym do walki o swe prawa, co powoduje ich bardziej ostrożne podejście do Polski, Polaków”. Ciechanowski podsumował swoje uwagi i refleksje w następujący sposób: „Z bogato udokumentowanymi, pięknie napisanymi i wspaniale wydanymi przez »Odnowę« wspomnieniami Nowaka powinno zapoznać się jak największe grono Polaków. Przede wszystkim powinni je przeczytać ci, których interesują nasze dzieje w czasie drugiej wojny światowej oraz źródła i przyczyny tragedii AK i Warszawy”.





# Stadionowe pocieszenia

Krzysztof Gottesman



Rys. A. Szafrński

Skończyły się niedawno mistrzostwa świata w piłce nożnej, na horyzoncie są europejskie w lekkiej atletyce. Patrząc na te imprezy wyłącznie pod kątem pięknych bramek, szybkich biegów i dalekich rzutów, i to nie tylko z powodu nieobecności w Brazylii naszych piłkarzy. Choć i dziś sportowa rywalizacja polsko-rosyjska ma swój smaczek, to daleko jej do czasów, gdy każde zawody sportowe miały dla milionów Polaków spory ładunek polityczny, wręcz patriotyczny, były rekompensatą za brak wolności i suwerenności. Szczególnie, gdy biliśmy Ruskich.



**N**ie było mnie na świecie, gdy w 1953 roku, osiem lat po zakończeniu wygranej-przegranej wojny, w zrzuconej Warszawie w Hali Gwardii, polscy bokserzy zdobyli pięć złotych medali, bijąc w finałach – tak jak Stefaniuk, Kruża i Chychła – również reprezentantów Związku Radzieckiego. Wiem jednak z opowieści starszych, jak ważne to było wydarzenie, jaką radość i satysfakcję pięściarze dawali umęczonym Polakom upokorzonym sowieckim komunizmem. Tym większą, gdy ci nazajutrz musieli w polskich gazetach – z „Przeglądem Sportowym” na czele – czytać o wielkim zwycięstwie radzieckiej szkoły boksu. Choć przez chwilę w tej ciasnej i zadmionej Hali Gwardii przeżywali radość i rekompensatę.

Nie widziałem też meczu Polska – Związek Radziecki na Stadionie Śląskim w 1957 roku. Były to eliminacje do mistrzostw świata. W sumie je przegraliśmy, ale wcześniej był właśnie ten mecz. Dwie bramki Cieślaka i zwycięstwo 2:1. Sto tysięcy ludzi kilka razy śpiewało Mazurka Dąbrowskiego. Dopiero co był Październik '56, tysiące osób wyszły z więzień, wciąż były żywe nadzieje, że nawet „ten” socjalizm może mieć ludzką twarz, jeszcze popularny był Gomułka, który się postawił Sowietom. Przyjemnie było więc przeżywać ów tryumf na Stadionie Śląskim.

Wyścig Pokoju – impreza z założenia jego twórców mająca być braterskim wyścigiem kolarskim, rozgrywanym na szosach między Warszawą, Pragą i Berlinem. W rzeczywistości, oprócz propagandowej lipy, aż kipiało – przynajmniej w Polsce i dla Polaków – od politycznych namietności, szczególnie wobec drużyny radzieckiej. Trzeba otwarcie przyznać, że byli w ZSRR, nie tylko w kolarstwie, sportowcy wybitni, którzy zasłużenie wygrywali ze wszystkimi na świecie. Ale w konfrontacjach polsko-sowieckich to nie miało znaczenia, najbardziej liczył się polityczny podtekst. I jeszcze coś raziło nie tylko kibiców. Wy-

jatkowo lizusowska postawa mediów. Szlag ludzi trafiał, gdy słuchali i czytali – tak jak po tych mistrzostwach w boksie – jacy to wspaniali są sportowcy z Kraju Rad, nasi też są może dobrzy, ale tamci to dopiero mistrzowie. Nie zapomnę rozmowy, którą po jednym z etapów Wyścigu Pokoju przeprowadził dziennikarz telewizyjny ze Stanisławem Szozdą – najlepszym obok Szurkowskiego polskim kolarzem lat siedemdziesiątych. Szozda ścigał się wtedy z Lichaczowem z ZSRR, który bardzo często postępował nie fair. Zajeżdżał drogę, nie dawał zmian itd. – No, i jak się jechało, panie Stanisławie? – zapytał beztrzesko dziennikarz po etapie, który Lichaczow wygrał z Szozdą, stosując swoje zagrywki, co wszyscy widzieli, a cały stadion gwizdał z oburzenia. – Albo jesteście sportowcami, albo bandytami – odparł Szozda. Tu dziennikarz zaczął machać rękami, zakrywać mikrofon. – Jest pan na pewno bardzo zdenerwowany, panie Staszku – próbował łagodzić i nie pozwolił już powiedzieć słowa polskiemu kolarzowi.

Było jeszcze wiele meczów i zawodów, podczas których sportowcy mieli na swoich barkach coś więcej niż tylko wynik sportowej rywalizacji. Nie zapomnę szalu radości, gdy w 1976 roku na hokejowych mistrzostwach świata w katowickim Spodku dokonaliśmy rzeczy niemożliwej. Pokonaliśmy Sborną 6:4. To coś więcej niżby dzisiaj na mundialu wygrać z Brazylią, Niemcami i Holandią. Znowu, nic nam to nie dało, resztę meczy przegraliśmy i spadliśmy z grupy, ale to już nie miało znaczenia.

No, i Gest Kozakiewicza z 1980 roku. Specjalnie pisany wielką literą, bo stał się symbolem zanotowanym w poważnych słownikach i popularnych alfabetych. Bo został pokazany w Moskwie podczas igrzysk olimpijskich na stadionie im. Lenina przez zwycięskiego polskiego sportowca gwizdzącej sowieckiej publiczności. W społecznej świadomości zawierał w sobie – i być może zawiera do dziś

– odpowiedź na to wszystko, co się nazywało przez dziesięciolecia w relacjach polsko-sowieckich.

Listę tę można by ciągnąć długo. Właściwie każde zawody z udziałem polskich i radzieckich sportowców miały podtekst historyczno-polityczny. Podporządkowani Moskwie na co dzień, niemający innych możliwości wyrażenia swoich poglądów, szukaliśmy pocieszenia, gwizdząc na stadionach. I przez chwilę je znajdowaliśmy.

A sportowcy? Jak oni się odnajdywali w tych rolach? Nie ma – jak wszystko, co dotyczy postaw w PRL – jednej odpowiedzi. Czesi mieli Věre Čáslavską i Emila Zátopka, którzy otwarcie poparli Praską Wiosnę i wystąpili przeciw sowieckiej agresji w sierpniu 1968 roku. Nasi sportowcy, choć świadomi zapewne roli, którą odgrywali w rywalizacji ze sportowcami ze Związku Radzieckiego i mający ze zwycięstw podwójną satysfakcję, nie decydowali się na otwarty sprzeciw. Poddani presji i inwigilacji bezpieki, wiedzieli, czym to grozi. Nawet w siermiężnej PRL życie sportowca zdecydowanie na korzyść różniło się od średniej krajowej. Dodatkowo zagraniczne wyjazdy dawały możliwości tak zwanego kombinowania, wykorzystywania niebotycznie wysokiego kursu dolara w stosunku do złotego. Stąd prawdopodobnie wiele gestów politycznego konformizmu, jak choćby wypowiedź Jacka Gmocha, który podkreślił, że rozgrywanie meczu, chyba z Danią w 1977 roku, właśnie 1 maja ma dla niego i dla drużyny dodatkowo motywujące znaczenie. Stąd też obecność sportowców w rozmaitych komitetach i nawet w sejmie. Akty protestu, niezgody na rzeczywistość najczęściej dokonywały się przez „wybieranie wolności”, pozostanie na Zachodzie podczas zawodów. Takiego wyboru dokonało wielu piłkarzy, Kozakiewicz i inni, którzy chcieli po prostu normalnie żyć – normalnie, czyli bez ideologicznego gorsetu i zakłamania, a także dostawać takie same pieniądze jak ich koledzy na Zachodzie. 🍷

Krzysztof Gottesman – dziennikarz, publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN



**Rok 1956 jest w polskiej historii datą niezmiernie ważną. Październikowa „odwilż” była momentem zakończenia masowych represji okresu stalinowskiego. Nie znaczy to, że lata późniejsze były czasem spokoju. Ubecy stali się funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa, a tępa przemoc zaczęła coraz częściej zastępować subtelniejszymi metodami. Jednak wciąż inwigilowali i niszczyli ludzi. Tym większy szacunek należy się tym, którzy potrafili odmówić współpracy z bezpieką.**

**F**achowość służb specjalnych ocenia się według tego, jak szybko i sprawnie zdobywają informacje potrzebne rządzącym oraz jak skutecznie potrafią je wykorzystać w sytuacjach kryzysowych. W państwach demokratycznych służby są rozliczane także z poszanowania prawa. Cały czas patrzy im się na ręce. W państwie komunistycznym, zwłaszcza w wydaniu stalinowskim, ta ostatnia zasada nie obowiązywała. Ubecy byli rozliczani z osiąganych wyników; brutalne metody, które stosowali, schodziły na dalszy plan. Mogli bić, znęcać się psychicznie czy grozić śmiercią najbliższych, byle tylko osiągnąć skutek w postaci rozbicia grupy uznanej za wroga. Nie musiał to być oddział partyzancki, mogła to być np. grupa młodzieży kultuwająca przedwojenne wzorce harcerskie czy prowadząca kółko samokształceniowe, w którym idee komunistyczne były negowane lub ignorowane.

Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, a od 1954 roku Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego, musiały zapewnić sobie „oczy i uszy” w wielu środowiskach uznawanych za wrogie. Pamiętajmy, że komuniści uznawali za takie większość społeczeństwa. Wrogiem byli więc żołnierze AK i innych niekomunistycznych formacji partyzanckich, duchowni (nie tylko katolicy) oraz przedwojenni społecznicy, pracownicy administracji publicznej, żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza, politycy niemal wszystkich formacji politycznych itd. Generalizując, w grę wchodziły zwłaszcza wszelkie grupy społeczne, które moglibyśmy określić mianem inteligencji i przedwojennych

elit. W języku komunistycznej propagandy byli to po prostu „wrogowie klasowi”.

Nic dziwnego, że komunistyczne służby, widząc wokół siebie niemal samych wrogów, musiały zadbać o ciągły dopływ informacji, czyli pozyskać rzeszę agentów, których zwykliśmy określać mianem tajnych współpracowników. Jest to jednak termin dość nieprecyzyjny, a w instrukcjach Służby Bezpieczeństwa pojawia się dopiero w 1960 roku. W okresie stalinizmu mieliśmy do czynienia z agentami, informatorami i rezydentami. Nie zawsze te osoby służyły idei komunizmu dobrowolnie. Często były to ofiary zbrodniczego systemu, których do współpracy zmuszono różnymi, przeważnie nielegalnymi, metodami. Dla niektórych zgoda na nią była jedynym sposobem na uniknięcie śmierci. Dlatego wokół oceny ich postawy do dziś toczą się głośne spory.

Pamiętajmy, że mówimy o dziesiątkach tysięcy ludzi. Wystarczy nadmienić, że pod koniec 1953 roku, w szczycie stalinowskich represji, liczba różnego rodzaju informatorów UB sięgnęła 85 tys. osób. Jak przyznawał Stanisław Radkiewicz, ówczesny minister bezpieczeństwa publicznego: „łamałiśmy tych ludzi dosyć sporo”. Niejednokrotnie werbowano, czyli zmuszano do współpracy, osoby, które – nie mając dojścia do wartościowych informacji – okazywały się dla ubeków nieprzydatne. Dlatego też w 1954 roku rozpoczęto redukcję siatki informatorów. Proces ten ustał wraz z likwidacją KdsBP, co miało miejsce w końcu listopada 1956 roku. W rezultacie osiągnięto stan ok. 20 tys. informatorów. Oczywiście osoby wyeliminowane

nie miały gwarancji spokoju. Oficer UB oświadczał przeważnie, że współpraca została „zawieszona”, a jej materialne dowody w postaci donosów i podpisanej deklaracji współpracy łądowały w ubekkim archiwum, skąd mogły zostać w każdej chwili wyjęte, by służyć np. do dalszego szantażu. Wyplątanie się z tego zakłętego kręgu wymagało odwagi.

Październikowa „odwilż” w 1956 roku spowodowała wiele zmian w funkcjonowaniu PRL. Prezentowany dokument pokazuje, że sfera ta nie ominęła także informatorów UB. Zresztą jedną z najważniejszych zmian końca 1956 roku była likwidacja KdsBP i utworzenie zamiast niego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i działającej w jego ramach Służby Bezpieczeństwa. Zmieniono kierownictwo tzw. resortu i wyrzucono ze służby najbardziej skompromitowanych oficerów. Taki obrót sprawy zmniejszył z pewnością poczucie strachu wśród wielu informatorów i ośmielił ich do odrzucenia możliwości dalszego donoszenia na własnych znajomych, a niejednokrotnie także członków rodzin.

Z dostępnych danych statystycznych wynika, że w roku 1957 bezpieka miała już tylko 11,5 tys. osobowych źródeł informacji, tj. o prawie połowę mniej niż jesienią '56. Nie ujęto w tych obliczeniach agentów wywiadu, ale ich liczba nie była tak duża, by miała wpływ na całościową ocenę. Nic więc dziwnego, że kierownictwo resortu rozpoczęło walkę o utrzymanie sieci agenturalnej. Odmowa zwrotu pisemnych deklaracji o współpracy miała ograniczyć ucieczkę agentów, w dalszej perspektywie zaś taki dokument był użytecznym elementem szantażu. Z treści prezentowanej instrukcji przebija także usytuowanie organów bezpieczeństwa ponad prawem. Wiceminister Antoni Alster pisze jasno, że wszelkie interwencje prokuratury należy sabotować i nie wydawać żadnych dokumentów, w tym deklaracji współpracy. Takie lekceważenie przepisów prawa było dla służb specjalnych PRL typowe przez cały okres ich istnienia. ■

**Grzegorz Wołk** – historyk, politolog, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN



IPN BU 01225/282  
 MINISTERSTWO SPRAW WNEĘTRZNYCH  
 Warszawa, dnia 11 lutego 1957 r.  
 Nr. AZ-100/57

Numer kancelaryjny pisma

Miejsce i data wytworzenia dokumentu

Postanowienia tego pisma przestały obowiązywać dopiero w 1961 roku

**UCHYLONE**

ŚCIŚLE TAJNE

Najwyższa klauzula tajności

Po utworzeniu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych za jednostki Służby Bezpieczeństwa odpowiadał zastępca komendanta wojewódzkiego MO ds. SB, w tym dokumencie nazywany „zastępca ds. bezpieczeństwa”

Z-CY KOMENDANTÓW WOJEWÓDZKICH M.O. DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA

407

Numer karty wpisany w miejscu, gdzie powinien znajdować się numer egzemplarza dokumentu

Teczka TW, w której gromadzono informacje dostarczane przez informatora

W ostatnim okresie zanotowane zostały wypadki śądania przez tajnych współpracowników /i b. tajnych współpracowników/ z aparatem bezpieczeństwa oraz niszczenia ich teczek personalnych i roboczych.

W instrukcjach SB kategorię „tajny współpracownik” wprowadzono dopiero w 1960 roku, wcześniej używano kategorii: agent, informator i rezydent

Pisemne zobowiązanie do współpracy było dodatkowym elementem szantażu osób, które chciały się ze współpracy wyplątać i poinformować o tym najbliższe otoczenie

O zwrot zainteresowanym osobom wspomnianych zobowiązań upominają się niekiedy również organa prokuratury /np. Wrocław/. W związku z powyższym podaje, że zobowiązań o współpracy podpisanych przez tajnych współpracowników w zasadzie zwracać nie należy, gdyż w zobowiązaniach tych mowa jest nie tylko o współpracy, ale również o obowiązku utrzymania faktu współpracy w tajemnicy, co ma znaczenie dowodowe, przy odpowiedzialności za zdradę tajemnicy. Sam fakt posiadania przez służbę bezpieczeństwa tego rodzaju zobowiązań wpływa hamująco w wielu wypadkach na ujawnianie przez tajnych współpracowników operacyjnych metod pracy i zainteresowań służby bezpieczeństwa. Tego nie należy nie doceniać. Nie wolno również niszczyć teczek roboczych i personalnych agentury.

Teczka TW, w której gromadzono informacje na temat informatora

Popaździernikowa odwilż spowodowała, że wielu złamanych torturami i przemocą agentów rezygnowało z dalszej współpracy, zarazem obawiając się, że zostaną zdemaskowani przez oficerów SB – co jednak nie miało miejsca

Beswalam na zwrot zobowiązań o współpracy w takich wypadkach, gdy zgodnie z Instrukcją Nr. 04/55 § 8 pkt. 5 zobowiązania można było nie odbierać, pod warunkiem jednak jedli istnieje aktualna ocena, że nie wpłynęło to ujemnie na samą współpracę, jak i na zachowanie w tajemnicy współpracy.

Instrukcja 04/55 z 11 marca 1955 roku o zasadach pracy z agenturą w organach bezpieczeństwa publicznego PRL mówiła, że w przypadkach „gdy istnieje pewność, że werbowana osoba, wyraziwszy ustną zgodę na współpracę z organami, będzie uczciwie i sumiennie wykonywać powierzone jej zadania [...] można również nie przyjmować zobowiązania [...], gdy sam fakt odebrania pisemnego zobowiązania może ujemnie wpłynąć na stan moralny werbowanej osoby”

W rozmowach z tajnymi współpracownikami /również z wyeliminowanymi/ jeżeli zwracają się z tego rodzaju śądaniem lub wątpliwościami, należy wyjaśnić i uspakajać, że zachowanie współpracy w tajemnicy należy wyłącznie od nich i że nikt nie ma zamiaru ujawniać ich współpracy z organami.

Organom Prokuratury w tych wypadkach gdy w tego rodzaju sprawach interweniuje należy odpowiadać, że posiadanie tego rodzaju dokumentów jest usankcjonowane odpowiednimi przepisami operacyjnymi, regulującymi metody pracy agenturalnej.

V - MINISTER  
/-/ A. ALSTER

Antoni Alster (1903–1968) – przedwojenny komunista, członek KPP, zastępca przewodniczącego KdsBP (1954–1956), następnie wiceminister spraw wewnętrznych (1956–1962)

za zgodność z oryginałem:  
V-Dyrektor Gabinetu Ministra  
St. Kończewicz, Mjr.

Stanisław Kończewicz (ur. 1922) – oficer UB/SB, m.in. Departamentu IV MBP/KdsBP (1948–1956) i Gabinetu Ministra Spraw Wewnętrznych (1956–1957)

Kierownictwo SB nie miało najmniejszego zamiaru ujawniać swojej agentury także przed organami prokuratorskimi, odwołując się do wewnętrznych przepisów



# Śmierć miasta w obiektywie niemieckich lotników

Konrad Ślusarski

Zdjęcie lotnicze wykonane przez samolot Luftwaffe znakomicie pokazuje powstańczą Warszawę z sierpnia 1944 roku.

Wojna światowa spowodowała wzrost znaczenia rozpoznania lotniczego. Stały postęp technologiczny skutkowało pojawianiem się coraz precyzyjniejszych urządzeń i materiałów do wykonywania zdjęć lotniczych, ich odczytu oraz interpretacji. Zdjęcia lotnicze pozwalały na bieżąco aktualizować mapy topograficzne, lokalizować nowe i znane już obiekty wojskowe i przemysłowe. Umożliwiało to także weryfikację informacji uzyskiwanych tradycyjnymi metodami wywiadowczymi, m.in. o ruchach wojsk, rejonach ich koncentracji czy nowym sprzęcie.

Rezultatem pracy rozpoznania lotniczego w latach 1939–1945 są miliony zdjęć wykonanych w zdecydowanej większości przez jednostki lotnictwa amerykańskiego, brytyjskiego i niemieckiego. Dotychczas fotografie lotnicze z lat wojny nie cieszyły się większym zainteresowaniem historyków. Było to w pewnym stopniu wynikiem ograniczonego dostępu do tych materiałów, które do lat siedemdziesiątych stanowiły cenne źródło dla wywiadów doby zimnej wojny. Utajnienie pozwalało zachować wyłączność na wiedzę wynikającą z tych fotografii, służących także jako materiał porównawczy pozwalający wykryć wszelkie inwestycje i zmiany poczynione przez przeciwnika. ➤



Centralny Dworzec Pocztowy (ul. Żelazna 21 róg Alej Jerozolimskich, vis-à-vis pl. Starynkiewicza), pomalowany jeszcze przed wybuchem Powstania w barwy maskujące



Kompleks Zakładów Norblinów



Ulice, zwłaszcza w rejonie Dworca Pocztowego, na ul. Twardej, Siennej, Prostej i Łuckiej są przedzielone barykadami



Zdjęcie wykonane 30 sierpnia 1944 roku o 15:16; samolot Luftwaffe leciał po osi wschód–zachód; na zegarze widoczne są data i godzina, a także dane pilota: stopień i nazwisko (Oberleutnant Theilig?)



Kompleks kolejowy z dworcem Warszawa Główna (dawny dworzec towarowy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej) i przyległymi bocznicami wzdłuż ul. Towarowej i Kolejowej, sięgającymi łukiem aż do ul. Grzybowskiej; zwracają uwagę dwie białe swastyki namalowane na dachu głównego budynku dworcowego

Wykop kolei średnicowej

ALEJE JEROZOLIMSKIE

Kwartał zabudowy między ul. Towarową, Proszą i Alejami Jerozolimskimi znajdował się w momencie wykonania zdjęcia pod kontrolą powstańczą; budynki są tu nienaruszone i zachowane w całości, z wyjątkiem pojedynczych miejsc będących najprawdopodobniej pozostałością gruzowisk po wyburzonych kamienicach zniszczonych we wrześniu 1939 roku



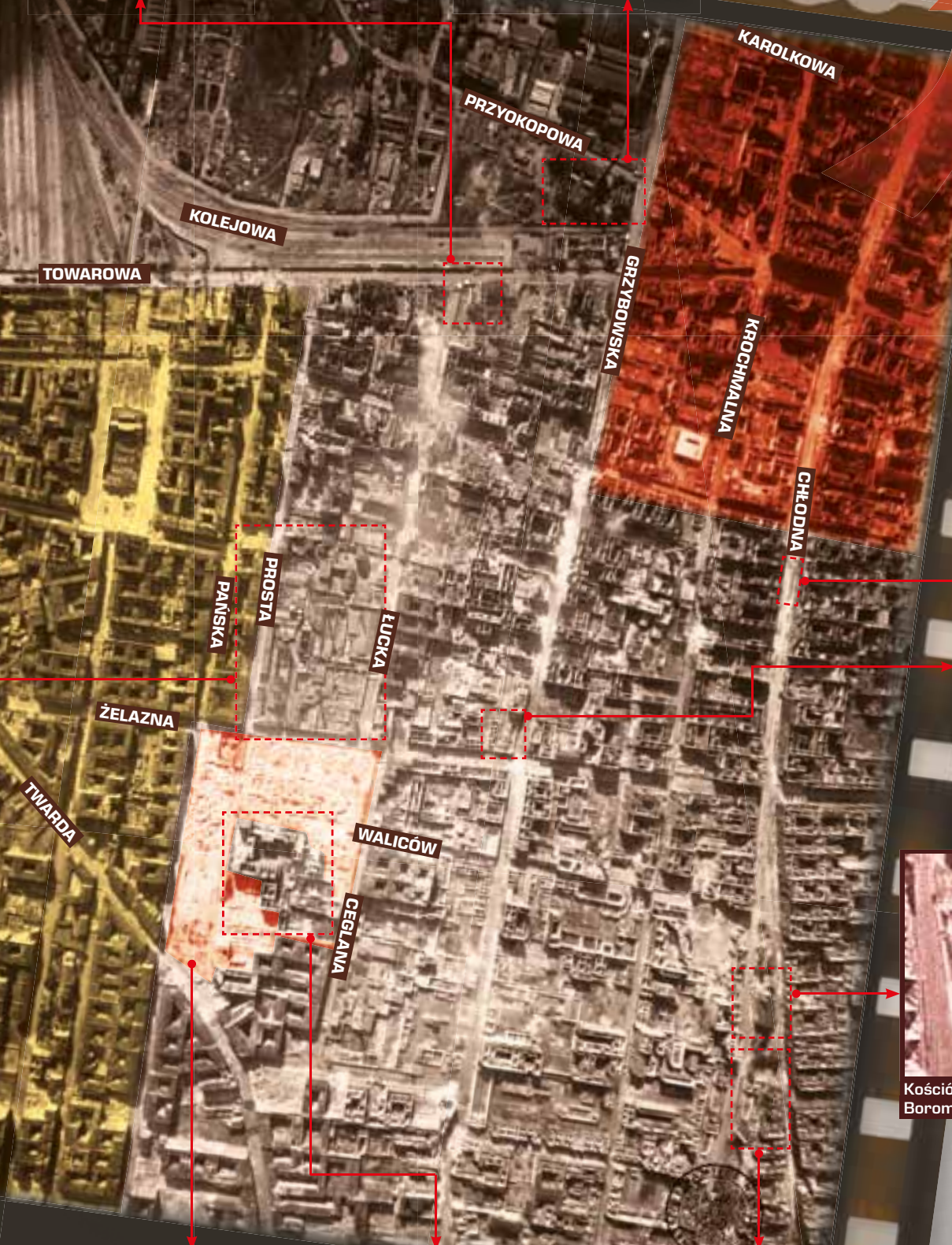


Na rogu ul. Towarowej i Łuckiej stanął po wojnie – wyburzony niedawno – biurowiec RSW „Prasa – Książka – Ruch”, a później centrali Instytutu Pamięci Narodowej



Przy ul. Przyokopowej róg Grzybowskiej widać budynek Elektrowni Tramwajowej, będący dziś siedzibą Muzeum Powstania Warszawskiego.

Fragment Woli między ul. Karolkową i ciągiem Towarowa–Okopowa, z zabudową wzdłuż ulic: Grzybowskiej, Krochmalnej, Wolskiej; znajdujące się tam budynki zostały spalone w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku



Na ul. Chłodnej widać kilka samochodów i – prawdopodobnie – powozów konnych



Zabudowania dawnego browaru firmy Kijok i Spółka (ul. Żelazna 59/61 róg Grzybowskiej)



Kościół św. Karola Boromeusza

Wyburzone jeszcze w czasie okupacji kwartały: Żelazna–Prosta–Twarda–Pańska i Żelazna–Ceglana–Waliców–Prosta

Gmach dawnej Szkoły Handlowej Zgromadzenia Kupców miasta Warszawy (ul. Prosta 14 róg Waliców 2/4)

Plac Mirowski i zachodnia Hala Mirowska





W zasobie archiwalnym IPN znajdują się dwie niezwykle klisze negatywowe. Są to reprodukcje zdjęć lotniczych ze zbiorów Narodowej Administracji Archiwów i Nagrań w College Park, przekazane w 1992 roku Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Początkowo błędnie uznano, że są to zdjęcia getta warszawskiego wykonane wiosną 1943 roku z pokładu samolotu amerykańskiego. Dokładna analiza pozwoliła ustalić, że fotografie zostały wykonane ponad rok później, i to przez Niemców. Jedną z nich zasługuje na szczególną uwagę.

Zdjęcie zostało wykonane 30 sierpnia 1944 roku o 15.16. Samolot Luftwaffe leciał po osi wschód–zachód. Na zegarze, w lewym dolnym rogu obrazu, widoczne są data i godzina, a także rozmazane dane pilota: stopień i nazwisko (Oberleutnant Theilig?). Fotografia ukazuje część Woli ograniczoną od zachodu ulicami Towarową, Przyokopową i fragmentem Karolkowej, od północy – Chłodną, od wschodu – Kominkową i Sosnową (niewidocznymi na obrazie), od południa – Alejami Jerozolimskimi. Na ulicach nie można dostrzec ludzi, co w części spowodowane jest znacznym oddaleniem obiektywu. Jedynie na kontrolowanej przez siły niemieckie ul. Chłodnej widać kilka samochodów i – prawdopodobnie – powozów konnych.

U góry zdjęcia po lewej znajduje się kompleks kolejowy z dworcem Warszawa Główna (dawny dworzec towarowy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej) i przyległymi bocznkami wzdłuż ul. Towarowej i Kolejowej, sięgającymi łukiem aż do ul. Grzybowskiej. Zwracają uwagę dwie białe swastyki namalowane na dachu głównego budynku dworcowego. Zostały one wykonane przez Niemców najprawdopodobniej w celu zaznaczenia własnych pozycji przed pomyłkowym zbombardowaniem przez Luftwaffe. Mogły też być oznaczeniem punktu orientacyjnego dla własnego lotnic-

stwa. Niedaleko końca bocznic, przy ul. Przyokopowej róg Grzybowskiej, widać budynek Elektrowni Tramwajowej, będący dziś siedzibą Muzeum Powstania Warszawskiego.

Na rogu ul. Towarowej i Łuckiej stanął po wojnie – wyburzony niedawno – biurowiec RSW „Prasa – Książka – Ruch”, a później centrali Instytutu Pamięci Narodowej. Biegący obecnie w tym rejonie ciąg ul. Kasprzaka i Prostej z Rondem Daszyńskiego powstał dopiero po wojnie.

Prawy górny narożnik obrazu zajmuje fragment Woli między ul. Karolkową i ciągiem Towarowa–Okopowa, z zabudową wzdłuż ulic: Grzybowskiej, Krochmalnej, Wolskiej. Znajdujące się tam budynki zostały spalone w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku, a mieszkańców Niemcy wymordowali w trakcie rzezi Woli lub wypędzili.

Niemal całą prawą połowę zdjęcia wypełnia zniszczona zabudowa na terenie wzdłuż ul. (od prawej) Chłodnej, Krochmalnej i Grzybowskiej po ciąg Łuckiej i Ceglanej. Obszar ten w latach 1940–1942 wchodził w skład warszawskiego getta (na południe od ul. Chłodnej znajdowało się tzw. małe getto). Budynki są tu wypalone i pozbawione dachów. Większość zabudowy najprawdopodobniej została spalona przez Niemców po zajęciu 7 sierpnia 1944 roku ciągu ul. Chłodnej i Elektoralnej. W rozwidleniu ul. Chłodnej widać kościół św. Karola Boromeusza. Poniżej znajdują się pl. Mirowski i zachodnia Hala Mirowska – miejsce masowych rozstrzelania cywilów dokonywanych przez jednostki niemieckie.

Pośrodku obrazu, między Proszą i Łucką, widać kompleks Zakładów Norblinów przy ul. Żelaznej, a tuż obok – zabudowania dawnego browaru firmy Kijok i Spółka (ul. Żelazna 59/61 róg Grzybowskiej). Poniżej wyróżniają się wyburzone jeszcze w czasie okupacji kwartały: Żelazna–Prosta–Twarda–Pańska i Żelazna–Ceglana–Waliców–Prosta. Zachował się

jedynie gmach dawnej Szkoły Handlowej Zgromadzenia Kupców miasta Warszawy (ul. Prosta 14 róg Waliców 2/4), ale i on nosi wyraźne ślady zniszczeń.

Po lewej na obrazie widać ciąg Alej Jerozolimskich na odcinku od pl. Zawiszy aż po rejon obecnego Dworca Centralnego, z biegnącym równoległe wykopem kolei średnicowej. Wyraźnie dominuje w tym rejonie Centralny Dworzec Pocztowy (ul. Żelazna 21 róg Alej Jerozolimskich, vis-à-vis pl. Starynkiewicza), pomalowany jeszcze przed wybuchem Powstania w barwy maskujące. Był on ważną redutą oddziałów powstańczych. Odbudowany po wojnie, został wyburzony na przełomie lat 2006 i 2007. Cały kwartał zabudowy między ul. Towarową, Proszą i Alejami Jerozolimskimi znajdował się w momencie wykonania zdjęcia pod kontrolą powstańców. Budynki są tu nienaruszone i zachowane w całości, z wyjątkiem pojedynczych miejsc będących najprawdopodobniej pozostałościami gruzowisk po wyburzonych kamienicach zniszczonych we wrześniu 1939 roku. Zapewne w ten sposób powstał plac u zbiegu ul. Srebrnej, Miedzianej, Twardej i Chmielnej (w miejscu rozebranego narożnego budynku przy ul. Srebrnej 1 róg Twardej 68). Ulice w tym rejonie są przedzielone barykadami, zwłaszcza w rejonie Dworca Poczтового, na ul. Twardej, Siennej, Prostej i Łuckiej.

Dolna krawędź obrazu pokrywa się ze wschodnią pierzeją obecnej al. Jana Pawła II na odcinku od ul. Elektoralnej do Alej Jerozolimskich, a więc z terenem zajmowanym obecnie przez Rondo ONZ (na miejscu budynków między Twardą i Pańską poniżej ul. Ciepłej) oraz Dworzec Centralny (obszar zasłonięty przez zegar) i centrum handlowe Złote Tarasy (w miejscu zabudowy na prawo od zegara do ul. Złotej). ❀



# Byliśmy czarnymi diabłami

Z ppor. Piotrem Juralewiczem, uczestnikiem walk pod Falaise, rozmawiają Maciej Foks i Tomasz Sudol

**Lądowanie aliantów w Normandii to jeden z przełomowych momentów w II wojnie światowej. Pana droga do Normandii rozpoczęła się w Kazachstanie. Kiedy został Pan wywieziony na Wschód?**

W 1939 roku zostałem zmobilizowany do ochrony linii kolejowej z Warszawy do Wilna. W pierwszym dniu wojny spadły trzy bomby na tory kolejowe, 60 m od miejsca, w którym stał mój brat. Niemcy nie doszli do Marcinkańc, naszej rodzinnej miejscowości. Przyszli tam bolszewicy. Brudni, z karabinami na sznurkach, spluwaczki z hoteli pobrali. Kiedy brat wrócił z frontu, przenocował tylko jedną noc. Zabrało go NKWD pod zarzutem nielegalnego przekroczenia granicy sowiecko-niemieckiej. Dostał 8 lat gułagu. NKWD trafiło również do naszego mieszkania. Zastali mnie z matką i ojcem. Siostra wyjechała pod Kraków z żołnierzem służącym w Korpusie Ochrony Pogranicza. Wywieziono nas do północnego Kazachstanu (z listu dowiedzieliśmy się, że brat jest na dalekiej północy). Zawieźli nas na step i powiedzieli: tu będziecie żyć i tu będziecie umierać. Budowaliśmy szałas, robiliśmy tzw. saman, czyli cegły ze słomy, gliny i wody o wymiarach 40x60 cm. Żadnego opału nie było – prócz tego, co ususzono latem, i wysuszonych odpadów gnojnych. Dostałem się do Kiełerowki do pracy przy budowie szkoły, a ojciec był w kołchozie złotą rączką.

**Jak Pan się dowiedział o formowaniu armii polskiej?**

Pewien Rosjanin pokazał mi jeden z numerów „Izwestii” i poinformował, że gen. Sikorski zawarł porozumienie ze Stalinem i że będzie formowana polska armia. W lutym 1942 roku dostałem z wojenkomatu (biura werbunkowego armii) kartę powołania. Miałem się stawić przed komisją wojskową w Nowosybirsku. Był mróz. Zamiast butów nosiłem pocięte szmaty ze starych worków – namoczone i okręcone wokół stóp – które twardniały na mrozie. Dowiedziałem się, że jedzie pociąg w kierunku Omska. Podeszedłem do parowozu. Maszynista jadł śledzia. „Czego chcesz?” – zapytał. „Jadę na komisję wojskową” – odpowiedziałem. „Nie kłam, u nas w wojsku teraz nie biorą” – powiedział.



Fot. Maciej Foks

**Piotr Juralewicz**, ur. 28 maja 1920 roku w Marcinkańcach na terenie dzisiejszej Litwy, ukończył szkołę techniczną w Wilnie. Deportowany w głąb ZSRR, wstąpił do Armii Polskiej gen. Władysława Andersa, służył w 8. Batalionie Strzelców 1. Dywizji Pancerniej gen. Maczka. Uczestniczył w bitwach w rejonie Caen i Falaise w 1944 roku.

Pokazałem dokument. Wziął mnie do parowozu. Głodny byłem niesamowicie. Na zesłaniu zaprzyjaźniłem się z pewnym Kazachem, który w zamian za moją odzież potajemnie zaopatrywał mnie w kumys (kobyłe mleko), ale i tak, kiedy stanąłem przed komisją poborową do armii polskiej, ważyłem tylko 40 kg i wszystkie zęby się ruszały.

**Pamięta Pan moment przyjęcia do wojska?**

Wchodząc na komisję lekarską, zobaczyłem polskiego lekarza w obcym mundurze z naszywką „Poland”. Prócz niego był jeszcze medyk sowiecki. Po badaniach umieszczono nas w pociągu. Dostaliśmy na drogę menażkę na wrzątek, suszoną rybę i po dwa sucharki. Wagony były zawzione. Przyjechaliśmy pod chińską granicę do stacji Ługowoje. Formowano tam 10. Dywizję. Dostaliśmy angielskie mundury – ciepłe, wełniane – oraz koce. Mieszkaliśmy w namiotach. Z chrustu

zebranego na stepie zrobiliśmy łoża, spaliliśmy w ubraniach i płaszczach. Broni jeszcze nie mieliśmy. Pewnej nocy obudzono nas. Wymarsz. Nie wiedzieliśmy, gdzie i po co. Doszliśmy do torów kolejowych. Załadowano nas w wagony. Dojechaliśmy do Krasnowodsk nad Morzem Kaspijskim. Nasz batalion załadowano na pokład okrętu, tak by jak najwięcej żołnierzy można było przetransportować – wszyscy siedzieli tuż obok siebie. Dotarliśmy do portu Pahlavi w Iranie. Niektórzy z zaokrętowanych żołnierzy byli tak osłabieni, że trzeba było ich wynosić.



Fot. ze zbiorów Piotra Juralewicza



### Rozpoczął się dla Panów nowy rozdział.

Przyprowadzono nas do obozu rekonwalescencyjnego, rozebrano do naga, ogolono, umyto pod prysznicem, zdezynfekowano i wyposażono w mundury brytyjskie. Dostaliśmy lekką żywność i witaminy. Następnie załadowano nas na samochody. Przez Iran, Irak, Syrię, Jordanię i Egipt trafiliśmy do Palestyny. Owoców i słodczy w bród – czuliśmy się jak w raj. Żołnierze polscy, którzy walczyli w Tobruku, śmiali się z nas, że mogliśmy tyle zjeść. Musieliśmy się odkarmić. W końcu okrzepliśmy. Zaczęliśmy ćwiczenia. Trafiłem do batalionu saperów w 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Przed wojną ukończyłem przysposobienie wojskowe drugiego stopnia. Z tych, którzy je mieli, tworzono kompanie eskortowe jeńców wojennych.

### Zadanie z pozoru bezpieczne.

Eskortowaliśmy jeńców, płynąc dookoła Afryki z Port Saidu przez Durban i Kapsztad do Wielkiej Brytanii. Nie mogliśmy płynąć przez Morze Śródziemne ze względu na niebezpieczeństwo ataku U-Bootów. Jeńców było 4 tys., a nasza kompania liczyła tylko 112 żołnierzy. Jeńców umieszczono na dole statku, nas na górze. Usłyszeliśmy, że Niemcy opanowali kiedyś jeden ze statków i zmienili jego kurs. Wąskie wyjścia z dołu obstawiliśmy karabinami. Przyplłynęliśmy do Glasgow w Szkocji. Wylądowano jeńców, a nas przydzielono do punktów organizacyjnych wojsk gen. Maczka. Powstawała dywizja pancerna. Przeszliśmy kurs walk ulicznych, szturmowej, jazdy górskiej. Po przeszkoleniu dywizja okrzepla i wylądowaliśmy w Normandii.

### Jak zapamiętał Pan inwazję?

Pamiętam załadunek z marszu na statki w Londynie i lądowanie w Normandii, w suchym porcie, na plaży. Sprowadzałem z okrętu na ląd kilka samochodów. Znaleźliśmy się przed mia-

stem Caen, które przechodziło z rąk do rąk. Anglicy nie mogli go opanować. Po nawałnicy artylerii, bombardowaniu z powietrza i ataku piechoty szturmowej rzeka zmieniła koryto.

Byliśmy głodni walki, by jak najszybciej wojna się skończyła i byśmy mogli dotrzeć do Polski. Służyłem w 1. plutonie 4. kompanii 8. batalionu, który dostał przydomki „Bramandzki” i „Krwawych Koszul”. Żadna armia nie miała takiej piechoty szturmowej jak 1. Dywizja Pancerna. Kiedy spotkaliśmy się w Olsztynie z kolegą, który też brał udział w walkach, ten powiedział do mojej żony, że byłem „wariat w wojnie”. Czy trzeba było wariować? Zwycięzał ten, kto nie miał stracha. Kto tylko przestał wierzyć, padał pierwszy. Nie liczyłem się z niczym, mimo że w Wielkiej Brytanii była żona z dzieckiem. Wygrywałem na tym.



Fot. ze zbiorów Piotra Juralewicza

► W Szkocji, 1943 rok

### Walki w rejonie Falaise należały do szczególnie trudnych?

To były najgorsze boje. Tam, gdzie było najciężej, rzucono Polaków. Szliśmy za czołgami. Mieliśmy likwidować piechotę. Wtedy odbyła się czterogodzinna walka na bagnety, po której nasz batalion dostał nieformalną nazwę 8. Batalion „Krwawych Koszul”. To było straszne. Krew się lała niesamowicie. Biliśmy się z esesmanami. Przyjęli walkę, ale się przeliczyli. Po paru dniach była już inna dywizja niemiecka. Na szczęście z plutonu, którym dowodziłem, nie zginął ani jeden żołnierz. Stale dążyliśmy do walki wręcz, bo byliśmy pewni zwycięstwa. Niemcy nie dorównywali nam w szermierce. Nikt nie zdołałby policzyć trupów niemieckich, które widziałem. W walce nasz żołnierz był od Niemców bardziej zajadły; esesmani bali się nas okropnie. Mieliśmy rozkaz, by żołnierzowi bez broni nie robić krzywdy, tylko brać do niewoli. Uratowałem później życie żołnierzowi, który prowadził samotnie grupę ok. 60 jeńców. Trzymali ręce na głowach. Zauważyłem, że jednemu z nich wystaje długi nóż.

Żołnierz wywołał Niemca i zabrał go ze sobą. Co z nim zrobił, nie wiem. Zdarzało się, że wśród jeńców byli Polacy. Byli to Ślązacy, przechodzili do naszej armii.

W rejonie Falaise wybiłem całą załogę niemieckiego karabinu maszynowego. Miałem pierwsze miejsce w batalionie w odległości rzutu granatem bojowym.

Widziałem spod hełmu, jak Niemiec złapał granat, ale nie zdążył odrzucić. Zniszczyłem też czołg, a było to tak: byliśmy

► Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia po demobilizacji; na zdjęciu: Piotr Juralewicz, Michał Leszkiewicz i Edward Wołosewicz; Anglia, czerwiec 1946 roku



okopani, spodziewaliśmy się kontrnatarcia. Przeszły przez nas trzy czołgi. Wiedziałem, że w pobliżu jest artyleria przeciwpancerna. Jeżeli choć jeden wróci, to będzie cud. I tak było. Wrócił tylko jeden. Wziąłem PIAT-a z pociskiem wyrzucanym sprężyną. Trafiłem nad gąsienicą. Czołg stanął w ogniu. Nie wiem, co się stało z załogą. Z bitwy zapamiętałem masę trupów. Droga była usłana zwłokami do tego stopnia, że buldożer musiał przejechać i jak pługiem zwałać je na bok. Naszych chowano z honorami, a Niemców to tak spychali. Niemcy byli dobrymi żołnierzami, ale mieli cholernych dowódców, którzy potrafili strzelać do własnych żołnierzy.

### Mieliście u Niemców specyficzny przydomek...

Którego dnia ulokowaliśmy się we czterech pod drzewem. O świcie słyszemy strzały. Na drzewie był niemiecki snajper. Dużo nie mógł zrobić ze względu na odległość. Oparłem łokieć o drzewo. Puściłem do góry serię. Niemiec poruszył się. Puściłem kolejną. Niemiec zrzucił granat. Odskokczyliśmy na bok. Granat wybuchł przy samym pniu. Nic nam się nie stało. Ściągnęliśmy strzelca. Przy sobie miał list do Niemiec, napisał, że już od jakiegoś czasu walczy z „polskimi czarnymi diabłami”. Tak nas nazywali żołnierze niemieccy po naramiennikach. W końcu dywizja spotkała się z oddziałami amerykańskimi. Było nam lżej.

### Jak by Pan scharakteryzował gen. Maczka?

Żołnierze mówili o nim: rzeźnik – za bardzo szafował żołnierzami. Pozycja musiała zostać zdobyta – i była zdobywana. Nie pamiętam momentu, żeby zadanie nie zostało wykonane. Dobrym i odważnym człowiekiem był ppłk Aleksander Nowaczyński, dowódca batalionu. Potrafił być w pierwszej linii, mobilizował nas i pocieszał. Po mojej rekonwalescencji przysłał żołnierza do szpitala, by zapytać, jak się miewam.

### Był Pan ranny?

Pod Falaise, w rękę. Przerzucono mnie do szpitala w okolicach Birmingham. Chcieli mi uciąć dłoń, ale nie wyraziłem zgody. „Jeżeli trzeba będzie uciąć rękę po łokieć, nie będziemy pytać pana o zgodę” – powiedział lekarz. Antoni Jurasz, wybitny chirurg, Polak, który pracował w Edynburgu w polskim szpitalu, powiedział, że dobrze zrobiłem, że nie zgodziłem się na amputację, będę miał rękę. Zakwalifikowano mnie jako inwalidę wojennego. Chciałem szybko wyjść

ze szpitala. Opiekowali się mną starsi ludzie, których córka zabierała mnie do teatru czy popatrzeć na lodowisko. Opieka była wspaniała. Przewieźli nas do miasta Torquay nad kanałem La Manche. Chciałem wrócić do żony w Szkocji. Udało mi się. Zgłosiłem się na ochotnika do obozu repatriacyjnego na powrót do Polski.

### Jak Pan zapamiętał powrót do kraju?

Nie wróciłbym, bo z żołnierzy 2. Korpusu i 1. Dywizji Panцерnej utworzono jednostki robocze. Otrzymałem samochód z szoferem do dyspozycji. Jeździłem z budowy na budowę, tłumacząc Polakom, co mają robić. Żona dostała z Łomży list od matki, że wróciła z siostrą żony z Syberii. Mój teść, policjant Franciszek Krzemiński, zginął w Kатыniu. Żona chciała wrócić do Polski. Odradzałem jej, mówiąc, że tacy jak my nie są tam pożądanymi. Wróciliśmy. Przyjechaliśmy do Sopotu, gdzie czekaliśmy na rodzinę żony – wujka oraz matkę i siostrę, które powróciły ze zsyłki na Sybir. Z Sopotu przywieziono nas do Elbląga. Dano mi zaświadczenie z urzędu repatriacyjnego ze stemplem, że otrzymałem pewną sumę. Niczego

nie dostałem. Oni te pieniądze zabierali. Nie mogłem dostać pracy. Zaczęłem sprzedawać koce, by mieć za co żyć. Napisałem rozpaczliwy list do brata w Anglii. Przed moim powrotem umówiliśmy się, że dam mu znać, czy może śmiało wrócić do Polski. Miałem napisać po litewsku. *Sėdėk ten* po litewsku oznacza „siedź tam”, ale mogło zostać uznane przez postronnego czytelnika za imię i nazwisko. Brat przysłał mi adres koleżanki Jurgielowej pracującej w „Społem” w Biskupcu, z którą nawiązałem kontakt. Przyjechałem do niej. Powiedziałem, że chciałbym uciec z Elbląga. Zamieszkałem u niej. Do pracy przyjął mnie warszawiak, kierownik „Społem”. Przeszedł w końcu rozkaz, żeby tych z Zachodu przyjąć do kombatanów. Przyjęli mnie, mimo to byłem prześladowany przez Urząd Bezpieczeństwa. Na moich oczach na ul. Długiej w Elblągu ubek zastrzelił Polaka w mundurze armii polskiej na Zachodzie. Kierownik Rudnicki, patriota, bronił mnie przed UB, powiedział mi, że musi się tłumaczyć ze znajomości ze mną, namawiał mnie, bym się zapisał do PPS. Zapisałem się. Później partia ta połączyła się z PPR, tworząc PZPR. Po pewnym czasie wyrzucili mnie z PZPR jako andersowca. Mówiłem im, że się mylą, że w 2. Korpusie byłem krótko, zostałem oddelegowany do dywizji gen. Maczka. Pepeesowcy mnie bronili, ale się nie udało. Mimo to przetrwałem PRL. ■



► Piotr Juralewicz z żoną Janiną i jej siostrą Wiesławą; Elbląg, grudzień 1947 roku

Fot. ze zbiorów Piotra Juralewicza



# Człowiek z blizną

Piotr Łapiński

► Kapral Tadeusz Westfal, Poznań-Ławica, jesień 1938 roku

**T**ak opisał swego dowódcę Jan Płoński „Dąbek” – jeden z pierwszych konspiratorów na terenie powiatu wysokomazowieckiego. O Tadeuszu Westfalu, dowódcy Kedywu i oddziałów partyzantskich Okręgu AK Białystok, jeszcze do niedawna niewiele wiedziliśmy. Imię, nazwisko, kilka podstawowych faktów oraz zaledwie jedno zdjęcie – tyle tylko można było odnaleźć w pozornie obfitej literaturze przedmiotu. Aurę tajemniczości otaczającą „Karasia” potęgowała jego zagadkowa śmierć w lipcu 1944 roku.

## Pilot i partyzant

Tadeusz Westfal urodził się 8 kwietnia 1915 roku w Promnicach koło Poznania, w rodzinie robotnika rolnego. Po śmierci ojca, który poległ latem 1917 roku gdzieś pod Ypres w dalekiej Belgii, i ponownym zamążpójściu matki przeniósł się wraz z rodziną do pobliskiego Bolechowa. Ukończył siedem klas szkoły powszechnej, jednak z powodu złej sytuacji materialnej nie mógł kontynuować nauki. Rozpoczął natomiast pracę w folwarku Szlachęcin, jako robotnik. Jak większość młodzieńców w jego wieku wykazywał zainteresowanie wojskiem. Zdobył Państwową Odznakę Sportową oraz Odzna-

Fot. ze zbiorów Bartosza Kędziory

**„We mnie osobiście budził nieufność, ponieważ nikt z nas go nie znał i nic o nim nie wiedział. Nie wiadomo, czy mówił prawdę, opowiadając, że był lotnikiem i poparzył twarz, wyskakując z płonącego samolotu. Nie zdradził nam też nigdy swojego imienia i nazwiska, ani skąd pochodzi. Posługiwał się tylko pseudonimem »Karaś«. Brak zaufania pozostał we mnie do końca jego życia”.**

► Samolot liniowy PZL.23A „Karaś”





kę Strzelecką, był zahartowany fizycznie i nawykły do wysiłku.

Po ukończeniu osiemnastego roku życia zgłosił się jako ochotnik do czynnej służby wojskowej. W kwietniu 1934 roku został wcielony do 55. Poznańskiego Pułku Piechoty w Lesznie, którym dowodził płk Stefan Rowecki – późniejszy gen. „Grot” i komendant główny AK. Po przeszkoleniu rekruckim służył w plutonie łączności, następnie ukończył kurs dla kandydatów na podoficerów rezerwy. Wyróżniał się podczas służby i zdecydował się pozostać w wojsku jako podoficer nadterminowy.

W maju 1936 roku, pod wpływem tryumfów święconych przez polskie lotnictwo na arenie międzynarodowej, zgłosił się ochotniczo na kurs pilotażu. Po ukończeniu szybowcowego kursu eliminacyjnego został przydzielony do 3. Pułku Lotniczego w Poznaniu. Zetknął się wówczas z maszyną PZL.23 „Karaś” – lekkim samolotem bombowym i rozpoznawczym rodzimej produkcji. Nowoczesna jak na owe czasy konstrukcja wywarła na Westfału ogromne wrażenie – do tego stopnia, że jej nazwę przyjął później za swój pseudonim konspiracyjny. Dwa lata później, już jako pilot III klasy i podoficer zawodowy, został instruktorem pilotażu w pułkowej Eskadrze Treningowej. W marcu 1939 roku, po rozwiązaniu macierzystej eskadry, otrzymał przydział do 32. Eskadry Liniowej, którą niebawem

podczas mobilizacji przemianowano na eskadrę rozpoznawczą.

W kampanii wrześniowej 1939 roku walczył w szeregach 32. Eskadry Rozpoznawczej, przydzielonej do Armii „Łódź”, znajdującej się na głównym kierunku niemieckiego uderzenia na Łódź i Warszawę. 5 września 1939 roku pilotowany przez niego PZL.23B „Karaś”, startujący w godzinach porannych z lotniska w folwarku Skotniki, został zaatakowany i zestrzelony przez myśliwce niemieckie. Westfał zdołał wówczas przymusowo wylądować płonącym samolotem, odniósł przy tym jednak trwałe poparzenia twarzy i rąk (w walce powietrznej zginął strzelec pokładowy kpr. Józef Nitzke, a ciężko ranny obserwator por. Edward Maliszewski zmarł później w szpitalu). Początkowo trafił do szpitala w Łodzi, a następnie został ewakuowany do Pińska na Polesiu, skąd zbiegł na wieść o sowieckiej agresji 17 września 1939 roku. Przybył wtedy na teren powiatu wysokomazowieckiego, znajdującego się już pod okupacją sowiecką, i osiedlił się we wsi Brzóska-Markowizna. W ten sposób swe dalsze losy związał z Podlasiem.

23 grudnia 1939 roku został zaprzysiężony w szeregach lokalnej organizacji niepodległościowej, która na początku następnego roku podporządkowała się Związkowi Walki Zbrojnej. Najprawdopodobniej był wówczas żołnierzem Batalionów Śmierci Strzelców Kresowych (zwanych także Legionem Podlaskim i Podlaskimi Batalionami Śmierci) – dokumenty śledcze NKWD jeszcze w styczniu 1941 roku informowały o „komendancie

organizacji powiatowej” posługującym się pseudonimem „Tadek”, który miał być „byłym polskim lotnikiem”. Faktycznie w strukturach konspiracyjnych Westfał początkowo pełnił funkcję komendanta placówki, a następnie komendanta rejonu obejmującego południową część powiatu wysokomazowieckiego (placówki: Łapy, Poświętne, Piekuty, Szepietowo, Klukowo, Czyżew i część gminy Wysokie Mazowieckie łącznie z miastem).

W grudniu 1940 roku Westfał objął stanowisko oficera informacyjno-wywiadowczego Obwodu ZWZ-AK Wysokie Mazowieckie, który od ostatnich dni czerwca 1941 roku znajdował się już pod okupacją niemiecką. W końcu 1943 roku krótko pełnił funkcję referenta organizacyjno-personalnego Obwodu AK Wysokie Mazowieckie, następnie kolejno sprawował stanowiska: p.o. I zastępcy komendanta obwodu oraz p.o. komendanta obwodu. W marcu 1944 roku został mianowany dowódcą Kedywu i oddziałów partyzanckich Okręgu AK Białystok. Jednocześnie w maju 1944 roku objął funkcję referenta Kedywu Inspektoratu Podlaskiego AK, a tym samym dowódcy oddziału partyzanckiego o kryptonimie „Warta”. Mimo że posługiwał się wówczas pseudonimami „Miś” oraz „Ostroga”, powszechnie znany był jako „Karaś”.

### Kłopotliwe bliźny

„Karaś” był jednym z pierwszych organizatorów polskiego podziemia niepodległościowego w powiecie wysokomazowieckim. Pozyskał i zaprzysięgł ▶





w szeregi ZWZ-AK wielu żołnierzy podziemia, m.in. pchor. Kazimierza Kamińskiego „Gryfa” – późniejszego kpt. „Huzara”, słynnego dowódcę oddziału samoobrony Obwodu AKO-WiN Wysokie Mazowieckie oraz VI Brygady Wileńskiej AK. W kwietniu 1943 roku „za wyróżniającą się służbę żołnierską w szeregach wojska w konspiracji” Westfal został odznaczony Krzyżem Walecznych, a w styczniu 1944 roku awansowano go do stopnia podporucznika.

Ślady po oparzeniach z września 1939 roku w znacznym stopniu zaważyły na działalności konspiracyjnej „Karasia”. Fałszywe dokumenty, którymi się posługiwał (m.in. na nazwisko Tadeusz Brzozowski), mogły wprawdzie zmienić jego tożsamość, nie były jednak w stanie ukryć wizerunku. Blizny pokrywające twarz i ręce Westfala sprawiały, że łatwo było go zapamiętać i zidentyfikować, co wymagało szczególnej ostrożności w pracy podziemnej. Poza tym budziły zainteresowanie – o ich pochodzenie pytali Westfala Niemcy. Przekonywał ich wówczas, że poparzenia to skutek wybuchu zbiornika... w trakcie pędzenia bimbrowa. Produkcją alkoholu zajmowało się w czasie okupacji wiele osób, więc tłumaczenie było wiarygodne. Jesienią 1943 roku został jednak zdekonspirowany i zaczął się ukrywać, a władze okupacyjne rozesłały za nim listy gończe.

Za pomoc w jego ujęciu wyznaczono wysoką nagrodę pieniężną. Jak wskazują zachowane analogiczne obwieszczenia, najprawdopodobniej była to kwota 5 tys. *Reichsmark*.

Pomimo trwałego oszpececia „Karaś” próbował ułożyć sobie życie osobiste. Kiedy osiedlił się w Brzósłkach-Markowicznie, poznał tam córkę gospodarzy – Mariannę Brzoskę. Najprawdopodobniej na początku 1943 roku wzięli ślub, którego potajemnie udzielił ksiądz z pobliskiej

parafii w Kuleszach Kościelnych. Marysia, bo tak była powszechnie nazywana, również rozpoczęła działalność w konspiracji – została łączniczką „Karasia”. Młodym małżonkom nie było dane jednak cieszyć się szczęściem. Na początku września 1943 roku Marysię zatrzymała żandarmeria i niebawem rozstrzelała dziewczynę. Pośmiertnie odznaczono ją Krzyżem Walecznych. Zachowany wniosek odnaczeniowy zawiera krótkie, lecz wstrząsające w swej wymowie uza-



▶ Podporucznik Tadeusz Westfal „Karaś”, stoi trzeci z lewej, w otoczeniu żołnierzy Kedywu Okręgu AK Białystok; powiat wysokomazowiecki, jesień 1943 – wiosna 1944 roku

sadnienie: „Ideowy żołnierz Wolności. Pracowała z narażeniem życia. W dniu 4 września aresztowana, po trzydniowych badaniach i strasznych katuszach w dniu 7 września rozstrzelana wraz z rodziną. W czasie badań nie załamała się – była w szóstym miesiącu ciąży”.

Wiosną 1943 roku dowództwo AK znacząco rozszerzyło dotychczasowe kompetencje „Karasia”. Westfalowi podporządkowano komórkę likwidacyjną, której zadania przejął niebawem

Kedyw – nowo utworzony pion walki bieżącej AK. Kedyw wysokomazowiecki prowadził ożywioną działalność zbrojną. Akcje likwidacyjne wymierzone były przede wszystkim we współpracowników niemieckich sił policyjnych. Eliminowano również dawnych współpracowników okupacyjnych władz sowieckich z lat 1939–1941 oraz byłych żołnierzy Armii Czerwonej (tzw. okrużeńców) i funkcjonariuszy sowieckich przybyłych z ZSRS (tzw. wostoczniaków), trudniących się zarówno komunistyczną agitacją, jak i pospolitym rabunkiem. Likwidowano także członków komunistycznych band rabunkowych (tzw. turystów) oraz miejscowych przestępców. Według niepełnych danych, od stycznia 1943 do czerwca 1944 roku wysokomazowiecki Kedyw zlikwidował co najmniej 220–240 osób, co w skali całego Okręgu AK Białystok było najwyższą liczbą wykonanych wyroków śmierci. Dziełem Kedywu były także akcje zbrojne wymierzone w niemieckie siły policyjne. Polegały przeważnie na likwidowaniu wyjątkowo szkodliwych funkcjonariuszy policji pomocniczej (*Schutzmannschaft*), tzw. szucmanów – ochotników rekrutowanych spośród miejscowej ludności. Żołnierze „Karasia” rozbijali też szczególnie uciążliwe posterunki żandarmerii, atakowali napotkane patrole i organizowali zasadzki na szlakach komunikacyjnych.

Do najpoważniejszego starcia doszło 11 lipca 1943 roku w kolonii Krasowo-Wółka w pobliżu wsi Krasowo-Częstki (według dokumentów AK była to kolonia Kalnik), gdzie zaskoczony na kwaterze oddział Kedywu starł się z żandarmerią. Partyzanci zbyt późno dostrzegli zbliżające się furmanki z żandarmami, co sprawiło, że nie mogli wycofać się niepostrzeżenie



do lasu. Dlatego przygotowali zasadzkę, w której zastrzelili trzech Niemców (bez strat własnych). Wkrótce jednak na miejscu pojawiło się zaalarmowane przez ocalałych żandarmerii *Jagdkommando*, czyli specjalny oddział wojskowy do zwalczania partyzantki, z Wysokiego Mazowieckiego. Akowcy przywitani pościgiem ogniem erkaemów i granatami. W zażartym boju zginęło trzech partyzantów i kolejnych pięciu niemieckich żołnierzy. Z kolei 25 maja 1944 roku w zasadzce zorganizowanej na szosie Białystok–Łomża w rejonie Radul został zabity zastępca komendanta żandarmerii z Tykocina, Philipp Schweiger, a także miejscowy komisarz gminy. Podobnych akcji było więcej – Białostoczczyzna w oczach władz okupacyjnych była wówczas terenem szczególnie niespokojnym. Już od czerwca 1943 roku uznano ją za *Bandenkampfgebiet*, czyli „obszar walk z bandami”, i w związku z tym poddano specjalnemu traktowaniu. Wiązało się to ze wzrostem terroru, pacyfikacjami i stosowaniem przez okupanta odpowiedzialności zbiorowej. Akcje Kedywu sprawiły jednak, że niemieccy żandarmi z lokalnych posterunków odczuwali respekt przed miejscowym podziemiem.

### Kto zabił „Karasia”?

W miarę zbliżania się ze wschodu Armii Czerwonej na terenie Okręgu AK Białystok pojawiało się coraz więcej sowieckich dywersantów oraz komunistycznych partyzantów. Grupy desantowe próbowały wprawdzie nawiązywać kontakty z miejscowymi strukturami konspiracyjnymi, równocześnie jednak skrupulatnie zbierały informacje zarów-

no o okupacyjnych siłach niemieckich, jak i o polskim podziemiu. Coraz częściej dochodziło wówczas do starć oddziałów AK z nieznanymi uzbrojonymi grupami.

8 lipca 1944 roku Tadeusz Westfal otrzymał informację, że w lesie nieopodal wsi Brzozowo-Korabie biwakują dwóch podejrzanych osobników. Poderwał część oddziału i sam objął dowództwo nad grupą likwidacyjną. Intruzi nie dali się jednak zaskoczyć. Zbliżając się do skraju lasu, partyzanci dostrzegli nagle erkaemistę, który bez chwili wahania otworzył do nich ogień. Jan Michałowski „Zapałka” zginął na miejscu, natomiast „Karasia” padł ciężko ranny. Po wymianie ognia jeden z napastników zdołał zbiec, drugi jednak wpadł w ręce partyzantów. Według przekazów uczestników wydarzeń, mundur i broń miał niemieckie, ale posługiwał się językiem ukraińskim. Nie zdradził jednak, kim był i dokąd zmierzał. Westfal skończył na rękach kolegów i został pogrzebany w pobliżu miejsca starcia.

Początkowo sprawcy śmierci „Karasia” konsekwentnie określani byli jako własowcy, czyli obywatele ZSRS służący ochotniczo w armii niemieckiej. Po przemianach ustrojowych z lat 1989–1990 zaczęto wskazywać na sowieckich spadochroniarzy z grupy dywersyjno-rozpoznawczej. Jak było naprawdę? Jeszcze w szeregach konspiracji było w tej sprawie prowadzone dochodzenie przez kolejnych szefów wywiadu Obwodu AK-AKO-WiN Wysokie Mazowieckie. Również w latach siedemdziesiątych środowisko kombatantów starało się rozwikłać



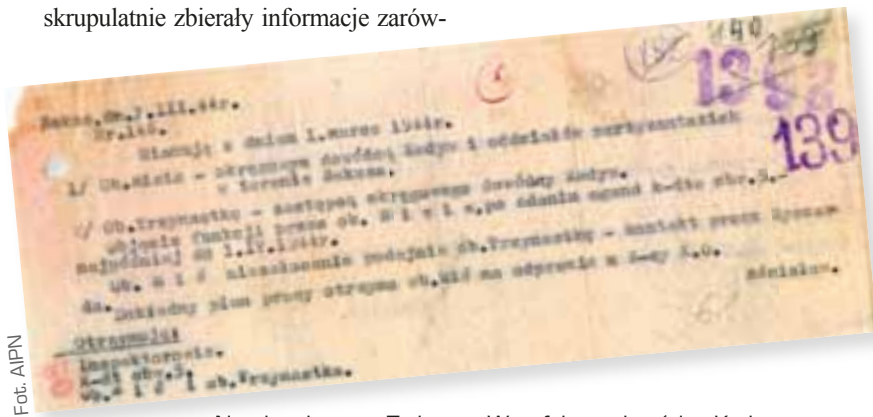
Fot. ze zbiorów Piotra Łapińskiego

► Nagrobek na mogile ppor. Tadeusza Westfala „Karasia”; Poświętne, lipiec 2011 roku

sprawę śmierci „Karasia”. Według dostępnych przekazów, odrzucono wówczas wersję o przypadkowej śmierci, a jako przyczynę wskazano „zdradę połączoną z zemstą” miał to być jakoby rewanz ze strony krewnych osób zlikwidowanych uprzednio przez Kedyw, którzy wprowadzili Westfala w zasadzkę). Na obecnym etapie badań trudno jednoznacznie rozstrzygnąć, kim byli napastnicy.

Zwłoki „Karasia” zostały przeniesione na cmentarz parafialny w Poświętnem. Lata powojenne nie sprzyjały jednak pielęgnowaniu pamięci o poległych żołnierzach AK, szczególnie na Białostoczczyźnie, gdzie opór stawiany przez podziemie trwał wyjątkowo długo. Dopiero w 1976 roku staraniem towarzyszy broni został ufundowany nagrobek z prawdziwego zdarzenia. W latach sześćdziesiątych Tadeusz Westfal został pośmiertnie odznaczony przez płk. Władysława Liniarskiego „Mścisława”, byłego komendanta Okręgu AK Białystok, Orderem Virtuti Militari V klasy. 🇂🇵

Piotr Łapiński – historyk, pracownik OBEP IPN w Białymstoku



Fot. AIPN

► Nominacja ppor. Tadeusza Westfala na dowódcę Kedywu i oddziałów partyzanckich Okręgu AK Białystok, 1 marca 1944 roku



# Zanim nadeszła „Burza”

Waldemar Grabowski

„Nikt nigdy nawet nie planował konkretnego użycia brygady [spadochronowej] w Polsce” – tak niedawno w wywiadzie prasowym stwierdziła Halik Kochanski, autorka książki *Orzeł niezłomny*. Jest to teza zupełnie nieprawdziwa. Wykorzystanie desantu złożonego z formacji polskich tworzonych poza krajem było stałym elementem planów powstańczych Polskiego Państwa Podziemnego. I to od samego początku.

► Żołnierz 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej podczas skoku ćwiczebnego z wieży, Largo House, Szkocja 1941–1942

nych do walki bieżącej, powoływano struktury przewidziane do wystąpienia zbrojnego dopiero w okresie powstania.

## Plany powstań w Europie

Po klęsce Francji w czerwcu 1940 roku wojnę z koalicją Niemiec, Włoch i Japonii prowadziła Wielka Brytania, wspierana przez oddziały wojskowe tworzone przez uciekinierów z krajów podbitych przez państwa Osi. Szukając możliwości przeniesienia głównego ciężaru działań wojennych na kontynent europejski, władze brytyjskie niezwłocznie powołały specjalną formację – Kierownictwo Operacji Specjalnych (Special Operations Executive, SOE), którego głównym celem były organizacja i koordynacja działań dywersyjnych i wspieranie ruchu oporu w Europie. W gronie oficerów SOE zrodził się pomysł utworzenia w krajach okupowanych

„armii podziemnych”. Zwolennikiem tej koncepcji był również brygadier Colin McVean Gubbins, pierwszy szef sekcji polskiej SOE, a następnie całego SOE. Dodajmy, że w 1939 roku Gubbins był członkiem Brytyjskiej Misji Wojskowej w Polsce. Już we wrześniu 1940 roku pracownicy brytyjskiego wywiadu raportowali: „Chociaż nie uważa się, żeby organizacje podziemne w Polsce i Czechosłowacji, ich uzbrojenie i zasoby oraz możliwość ich zaopatrywania osiągnęły do marca 1941 roku stan, który uzasadniałby wybuch ogólnego powstania, można uznać, że prawdopodobieństwo wytworzenia się w tych krajach sytuacji umożliwiającej powstanie przeciwko Niemcom na przyszlą wiosnę, jest stosunkowo największe”.

W dalszych planach brytyjskich dotyczących wyzwolenia kontynentu spod okupacji niemieckiej przewidywano wybuch powstań w kilku rejonach. Na zachodzie Europy miało to mieć miejsce w Norwegii, Holandii, Francji i Danii. W centralnej części kontynentu powstania miały zostać zorganizowane w Polsce i Czechosłowacji, a na Bałkanach – w Grecji i Jugosławii. Wojska brytyjskie i sojusznicze miały przeprowadzić ofensywę z Turcji (na Bałkany), Holandii (w kierunku Berlina) oraz Norwegii. Co dla nas najbardziej interesujące, działania z Norwegii miały – przez Szwecję – kierować się na polskie wybrzeże, działania z Danii miały zaś przenieść się na Pomorze Zachodnie ze Szczecinem.

Umieszczenie przez Brytyjczyków obok Polski również Czechosłowacji może dla niektórych czytelników być zaskakujące. Warto jednak wspomnieć o tym, że, podobnie jak Polacy, także nasi południowi sąsiedzi mieli swoich „cichociemnych” – planowano przerzucenie tam ok. 800 żołnierzy, którzy mieli wziąć udział w powstaniu. Notabene zrzuty spadochroniarzy w Czechosłowacji trwały dłużej niż w Polsce. Na przykład ekipa „Platinum”, licząca czterech żołnierzy, została zrzucona w nocy z 16 na 17 lutego 1945 roku, a w tym samym roku (do końca marca) w Czechosłowacji zrzucono jeszcze pięciu spadochroniarzy i 37 ton

**G**łównym zadaniem struktur polskiej konspiracji (Polskiego Państwa Podziemnego) było przygotowanie i przeprowadzenie zwycięskiego powstania powszechnego. Stąd też właściwie od początku tworzenia konspiracyjnego wojska oprócz formacji przeznaczo-



zaopatrzenia. W Polsce natomiast ostatnie zrzuty miały miejsce w nocy z 27 na 28 grudnia 1944 roku. Wynikało to w dużej mierze z braku zgody władz sowieckich na przeloty samolotów nad terenami zajętej przez Armię Czerwoną.

Plany brytyjskie z 1940 roku były wówczas zbieżne z planami rządu RP na uchodźstwie, który polskie oddziały wojskowe tworzone w Wielkiej Brytanii zamierzał w całości przeznaczyć do działań mających wspierać przyszłe powstanie powszechne w Polsce. Polskie plany już w grudniu 1940 roku uwzględniały trzy tereny powstańcze: Polskę, Czechy oraz Bałkany. W kolejnych latach doszły jeszcze Węgry, gdzie przewidywano wystąpienie polskich żołnierzy internowanych tam od 1939 roku. Na Węgrzech utworzono nawet specjalną komórkę Armii Krajowej, która przygotowywała się do obioru zrzutów lotniczych (operacje „Anioł” i „Natał”). Działania zbrojne miały być prowadzone we współpracy z Węgrami.

### Zapewnić transport

W październiku 1940 roku Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski nakazał jak największą część sił lądowych przystosować do przetransportowania lotniczym do kraju, a Polskie Siły Powietrzne miały zostać przygotowane do wsparcia i osłony powstania.

Siły powietrzne miały również zostać zreorganizowane. Zamierzano utworzyć możliwie dużą liczbę dywizjonów myśliwskich (przewidywano dwanaście) oraz cztery dywizjony bombowców nurkujących. Całość zmian miała zostać przeprowadzona do końca 1942 roku. Naj-

dotkliwszy okazał się brak własnego lotnictwa transportowego. Być może sytuacja byłaby inna, gdyby udało się utrzymać działalność Polskich Linii Lotniczych „LOT”.

Zmiany w Polskich Siłach Powietrznych przeprowadzono w 1942 roku. Dywizjon 309 został wyposażony w samoloty Mustang, natomiast w dywizjonie 307 wprowadzono na uzbrojenie samoloty Mosquito (jego wersję myśliwsko-bombową otrzymano w sierpniu 1943 roku). Niestety, planowane dywizjony bombowców nurkujących (lub szturmowych) nigdy nie powstały.

Jeszcze w 1940 roku przystąpiono do opracowania zasad wyposażenia szkolonych w Anglii oddziałów dywersyjnych, spadochronowych i desantowych. Wśród oddziałów specjalnych (dwa, trzy bataliony), które miały zostać przerzucone do kraju, wymieniano:

– zaporowe oddziały minerskie, wyspecjalizowane w dokonywaniu zniszczeń linii kolejowych i dróg, aby przeszkodzić w dopływie posiłków i dla stwarzania zapór dla broni pancernej nieprzyjaciela;

– specjalne oddziały szturmowe, wyszkolone w taktyce opanowywania, a także niszczeniu lotnisk i obiektów lotniczych;

– specjalne partyzanckie oddziały dywersyjne, przeznaczone do niszczenia komunikacji, urządzeń łączności i waż-

nych obiektów wojskowych;

– oddziały łączności, wyposażone w nowoczesny sprzęt radiowy małych rozmiarów, z zadaniem szybkiego organizowania łączności dla dowództw zgrupowań wojsk powstańczych.

Zakładano, że przynajmniej część oddziałów specjalnych znajdzie się w Polsce jeszcze przed podjęciem działań powstańczych, aby przeprowadzić wzmoczoną dywersję. To, jak wyobrażano

sobie udział wojsk polskich spoza kraju w akcji powstańczej, obrazuje protokół z narady w Sztabie Naczelnego Wodza z października 1940 roku: „a) Baon spadochronowy ląduje w nocy jako pierwszy rzut powietrzny wyprawy, w jednej fali, z zadaniem zajęcia węzła lotnisk dla wyprawy. Przy d-cy baonu znajduje się zastępca d-cy wyprawy, oficer łącznikowy lotnictwa bombowego i oficer łącznikowy lot-

nictwa myśliwskiego. b) Lądowanie baonu spadochronowego wspiera pośrednio lotnictwo bombowe (ogólnego działania) działające na cele operacyjne. c) Za baonem spadochronowym ląduje lotnictwo myśliwskie (szturmowe) z zadaniem osłony i wsparcia od świtu działań desantu piechoty. W ślad za lotnictwem myśliwskim przybywają samoloty-cysterny. d) O świcie ląduje piechota powietrzna falami batalionowymi jako drugi rzut wyprawy. W tym okresie wyprawy ląduje lotnictwo bombowe, ▶



Fot. AIPN

▶ Powojenna wersja Znaku Spadochronowego

▶ Żołnierze 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej ćwiczą desant z powietrza, Wielka Brytania 1941–1942



W 1942 roku polscy spadochroniarze ciągle jeszcze mieli nadzieję, że umiejętności zdobyte podczas ćwiczeń na Wyspach Brytyjskich będą mogli wykorzystać w trakcie desantu w okupowanej Polsce; Largo House, Szkocja 1941–1942

przydzielone dla wsparcia piechoty”. Podobnie przedstawiał w listopadzie 1940 roku działania początkowe płk dypl. Stanisław Sosabowski, wówczas dowódca 4. Brygady Kadrowej Strzelców. Osiągnięcie gotowości bojowej Brygady Spadochronowej – jej stan osobowy miał wynosić nie mniej niż 400 oficerów i podoficerów – przewidywał na koniec kwietnia 1941 roku.

Jak widać, jesienią 1940 roku, zarówno dla polskich władz, jak i dla żołnierzy sprawa była jasna – cała brygada zostanie użyta bojowo w Polsce w czasie powstania powszechnego. Potwierdzają to wytyczne szefa sztabu Naczelnego Wódza, płk. dypl. Tadeusza Klimeckiego, ze stycznia 1941 roku. Klimecki oczekiwał „przygotowania się do wyłonienia z siebie dowództwa dyspozycyjnego, przeznaczonego do objęcia kierownictwa nad mobilizacją i organizacją oddziałów krajowych na pewnym obszarze w oparciu o baon spadochronowy oraz oddziały kadrowe, zdolne do rozwinięcia się w 3–4 baony piechoty, a następnie objęcia nad tymi oddziałami dowództwa”.

Ponadto w planie powstania powszechnego (Meldunek operacyjny nr 54) z początków 1941 roku wyraźnie zapisano konieczność zrzucenia w czterech najważniejszych dla powstania rejonach Polski przynajmniej po jednym batalionie spadochroniarzy. Jeszcze 2 lipca 1942 roku ppłk dypl. Michał Protase-

wicz („Rawa”) depešował do Komendy Głównej AK: „W związku z planem wsparcia i koniecznością przetrzutu drogą powietrzną wojsk spadochronowych oraz lotu bojowego i transportowego do kraju potrzebne są nam dane dot. węzłów lotnisk i urządzeń lotniskowych istniejących na nich”.

W czerwcu 1942 roku Naczelny Wódz i premier gen. Sikorski zastrzegali jednak wyraźnie: „Rola powstania nie jest jeszcze należycie doceniana przez Anglików”. Dodajmy, że gen. Sikorski mylił się, niestety, stwierdzając, że rola powstań nie jest JESZCZE należycie doceniana przez Anglików – ona JUŻ nie była należycie doceniana. Brytyjczycy wcześniej, przed 1942 rokiem, poważnie myśleli o powstaniach zbrojnych w kilku krajach Europy, ale po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, a zwłaszcza po zatrzymaniu szybkiego pochodu Wehrmachtu w głąb ZSRS, rola powstań narodowych wyraźnie traciła na znaczeniu w planach brytyj-

skich. Jednocześnie gen. Sikorski informował gen. Stefana Roweckiego „Grota”, komendanta głównego AK, o nierealności planów przetrzucenia drogą powietrzną... dywizji pancernej. Pomysł ten pojawił się już w marcu 1942 roku, przy czym dwie, trzy dywizje pancerne planowano zrzucić na teren okupowanej Polski nie tyle z myślą o powstaniu powszechnym w Polsce, ile raczej stworzeniu tu bazy do uderzenia na centrum III Rzeszy.

Jak szacowano w polskim sztabie w Londynie, w momencie rozpoczęcia powstania w Polsce były możliwości uzbrojenia dwunastu pułków piechoty (czyli czterech dywizji), a zasoby ludzkie pozwalały na sformowanie trzydziestu pułków (dziesięciu dywizji). Brakowało więc uzbrojenia dla osiemnastu pułków piechoty (czyli 54 baonów). Do przetrzucenia drogą powietrzną jednego batalionu piechoty potrzeba było 37 samolotów transportowych. Podobna ich liczba była potrzebna do przetrzucenia broni i amunicji dla pięciu batalionów. Ciężar broni i amunicji potrzebnej do uzbrojenia dywizji piechoty szacowano na 436–441 ton. Samolot typu Albatros, który uznawano za najwydajniejszy, zabierał 2,5 tony ładunku. Oznaczałoby to konieczność zorganizowania ponad 170 lotów. Do przetrzucenia jednym transportem całej potrzebnej broni i amunicji potrzeba było 1056 samolotów. W lecie 1942 roku wśród zadań SOE przewidywano zaangażowanie pięćdziesięciu samolotów i wykonanie dwóch tysięcy lotów, choć główny ciężar działań zaopatrzeniowych SOE był już wówczas skierowany na Francję, Belgię oraz Holandię. Te priorytety zostały utrzymane również w roku 1943. Polska i Czechosłowacja były na czwartym miejscu, wyżej umieszczono Włochy,



Balkany i Francję. Generał Kazimierz Sosnkowski pisał w grudniu 1940 roku: „Należałoby przygotować zawczasu w Centrali specjalną grupę oficerów fachowców, która w czasie właściwym uda się do Kraju, jako Sztab Lotniczy Komendy Głównej Z[wiązku] W[alki] Z[brojnej]. W grupie tej winien się znajdować troskliwie dobrany oficer wyższy, upatrzony na dowódcę sił lotniczych powstania”.

W grudniu 1940 roku na ziemiach polskich wytypowano kilka podstawowych baz działań powstańczych. Współdziałanie z Czechosłowacją zakładano w rejonie KR (Kielce–Kraków–Rzeszów). Do rejonu P (północne i środkowe Pomorze) pomoc miała dotrzeć drogą morską. Oslonę baz powstania od wschodu miały stanowić siły powstańcze skupione w rejonach W1 (Łomża–Białystok–Brześć–Siedlce), W2 (Chełm–Kowel–Sokal–Zamość) i W3 (Rawa Ruska–Lwów–Stryj–Przemysł).

Już w 1940 roku komendanci obwodów ZWZ opracowywali plany opanowania terenu, które – ciągle aktualizowane – stały się w wielu przypadkach podstawą działań podejmowanych w 1944 roku w ramach akcji „Burza”. Powstały one w zasadzie na całym terenie Generalnego Gubernatorstwa, ale także w odniesieniu do struktur Armii Krajowej na Kresach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej.

### Plany do szuflady

Druga połowa 1941 roku przyniosła zasadnicze zmiany w układzie walczących sił. Najpierw 22 czerwca wojska III Rzeszy zaatakowały Związek Sowiec-

ki, a w grudniu w Pearl Harbor wojska japońskie zadały dotkliwe straty armii USA. Nawiązanie współpracy przez Wielką Brytanię z ZSRS miało zasadniczy wpływ na dalsze koleje wojny oraz – niestety – na coraz słabszą pozycję władz Rzeczypospolitej w obozie aliantów.

Władze brytyjskie, w tym SOE, coraz większą wagę przywiązywały do wspierania Armii Czerwonej. Coraz mniej realne stawały się tym samym dotychczasowe plany tworzenia armii podziemnych w Polsce i Czechosłowacji. Niemniej nigdy nie zostały całkowicie zarzucone. Zarówno Polacy, jak i Czesi nadal uzgadniali z Brytyjczykami kwestie zaopatrzenia w broń i wyposażenie ich organizacji konspiracyjnych.

Od końca 1943 roku loty zaopatrzeniowe odbywały się trasą południową – z Afryki Północnej, a następnie z Włoch. Trasa ta była organizowana jako uzupełnienie trasy północnej, prowadzącej z Wysp Brytyjskich. Jednak wbrew oczekiwaniom Polaków i SOE – stała się jedyną funkcjonującą trasą. Loty zaopatrzeniowe dla Armii Krajowej z Wielkiej Brytanii do Polski zawieszono.

Warto zwrócić uwagę na poglądy gen. Stefana Roweckiego „Grota” na możliwości rozwoju sytuacji militarnej w Europie w początkach 1943 roku. W związku z rozciągnięciem sił niemieckich od Narwiku po Saloniki oraz od Morza Białego do Morza Czarnego pisał: „Powinno wyjść nowe decydujące i główne uderzenie sprzymierzonych przez Balkany na Austrię, Węgry i Rumunię, z udziałem naszej armii formowanej na Bliskim Wschodzie oraz w ewentualnym wkroczeniu do woj-

ny Turcji”. Przy sprzyjających okolicznościach – według gen. „Grota” – operacja na Balkanach mogłaby się rozpocząć w drugiej połowie lata 1943 roku. Ostatecznie załamanie Niemiec, przy zrealizowaniu tego planu, mogłoby nastąpić późną jesienią 1943 roku. Plan aliantów, forsowany przez pewien czas, zwłaszcza przez Brytyjczyków, nie został ostatecznie zrealizowany.

W październiku 1943 roku plan powstania powszechnego został zastąpiony planem „Burza” (pisaaliśmy o niej w styczniowym numerze „Pamięci.pl”).

Plany powstania powszechnego – przygotowywane zarówno w Warszawie (KG ZWZ), jak i w Londynie (Sztab NW) – mogły zostać zrealizowane w końcowym okresie wojny. Głównym powodem ich zarzucenia były gwałtowne zmiany w polityce naszych aliantów oraz dynamiczna sytuacja militarna na frontach II wojny światowej. Zasadniczym elementem tych zmian był wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 roku i pojawienie się w obozie aliantów „sojusznika naszych sojuszników”, który miał zamiary zasadniczo odmienne od planów kreślonych przez polskich wojskowych i polityków. 🇺🇸

dr hab. Waldemar Grabowski – pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, autor m.in. *Państwo polskie wychodzi z podziemi. Cywilne struktury Polskiego Państwa Podziemnego w Powstaniu Warszawskim* (2007)

### Rezultaty operacji zrzutowych wg danych brytyjskich:

	Polska		Czechosłowacja	
	osoby	zaopatrzenie (w tonach)	osoby	zaopatrzenie (w tonach)
1941–1943	197	37	33	1
1944–1945	144	343	42	35
razem	341	380	75	36



# Akcja „Ostra Brama”

Paweł Rokicki



Fot. CAW

**Walka tysięcy kresowych żołnierzy AK z Niemcami w ramach akcji „Burza” była jednocześnie polityczną demonstracją przeciwko zaborczej polityce Kremla. Kulminacją tego wysiłku stała się akcja „Ostra Brama” – bitwa Armii Krajowej o Wilno.**

► Wspólny polsko-sowiecki patrol na ul. Wielkiej na Starym Mieście w Wilnie po zakończeniu walk; lipiec 1944 roku

**„G**ospodarz nie ucieka od domu, który się pali – ale go gasi [...]. Pozostaliśmy na miejscu. Los nasz będzie taki sam, jak i czeka całą Rzeczpospolitą”. Tymi słowami dowódca Armii Krajowej na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie, ppłk Aleksander Krzyżanowski „Wilk”, przypomniał swoim podkomendnym o ich obywatelskiej i żołnierskiej powinności w chwili, gdy w lipcu 1944 roku decydowały się losy polskich ziem północno-wschodnich.

## Pierwsze strzały

Wieczorem 6 lipca 1944 roku wileńskie przedmieścia pełne były oddziałów niemieckich, które od kilku dni szerokim strumieniem napływały od strony Mińska. Cofały się pod naporem rozpoczętej przed dwoma tygodniami sowieckiej ofensywy, która doprowadziła do załamania się fron-

tu wschodniego. Szosą oszmiańską nieprzerwanie ciągnęły kolumny czołgów, ciężarówek, furmanek i piechoty. Oprócz Wehrmachtu tworzyły je także różnego rodzaju wschodnie formacje kolaboranckie, których szlak znały często rabunki i gwałty na ludności cywilnej. Jeden z takich pododdziałów zatrzymał się na noc w kolonii wsi Poręby Rekanciskie, pod samym miastem. Gdy zapadł zmrok, został tam niespodziewanie zaatakowany przez polskich partyzantów. Po krótkim oporze kolaboranci Niemców zostali wybici, a partyzanci pospiesznie wypełnili plecaki i kieszenie znalezionymi w taborach granatami i... czekoladą. Niefortunnie dla siebie, nieprzyjaciół zatrzymał się akurat na trasie przemarszu 3. Brygady Wileńskiej AK, której żołnierze parli do ataku na Wilno. Strzały oddane podczas tej potyczki były jednymi z pierwszych, które padły w bitwie o miasto.

## Nocny szturm

Rozciągnięte w szerokim pasie natarcia nowogródzkie bataliony i wileńskie brygady AK pod osłoną zmroku podchodziły na pozycje szturmowe. Siły uderzeniowe wchodziły w skład dwóch zgrupowań bojowych nr 1 i 3, liczących łącznie ok. 3 tys. żołnierzy. Partyzanci przekroczyli nieobsadzoną przez wroga pierwszą linię obrony, przygotowaną w pobliżu granicy administracyjnej miasta. Jedynie niewielkie posterunki niemieckie podniosły alarm wystrzałami, zanim zostały przepędzone lub zlikwidowane. Oddziały Armii Krajowej rozwinęły się w tyralieri i po przebyciu kolejnych 2–3 km zaatakowały główną linię obrony na wileńskich przedmieściach. Niestety, broniło jej kilka niemieckich batalionów z grupy mjr. Hartwiga Sotha, które zagroziły partyzantom drogę do centrum miasta. Niektóre z oddziałów



AK uwikłały się tymczasem w ciężkie walki z nieprzyjacielem napotkanym na trasie natarcia.

Wspomniana 3. Brygada Wileńska AK, dowodzona przez por. Gracjana Fróga „Szczerbca”, nad ranem 7 lipca stoczyła kilkugodzinną walkę z załogą niemieckiego pociągu opancerzonego w pobliżu przystanku kolejowego Kolonia Wileńska. Poniosła przy tym znaczne straty. Tylko część brygady zdołała się przebić na drugą stronę torów, sforsować rzekę Wilenkę i uderzyć na niemieckie pozycje na wzgórzach Belmontu. Tam natarcie zatrzymał ogień z nieprzyjacielskich umocnień. Walkę przy przekraczaniu torów stoczyła również 8. Brygada AK por. Witolda Turonka „Tura”, która, idąc na lewym skrzydle 3. Brygady, kierowała się na Markucie. Gwałtowna nocna walka wybuchła we wsi Góry, przez którą atakował III batalion 77. pułku piechoty AK por. Bolesława Piaseckiego „Sablewskiego”. Opór stawili nocujący tam Niemcy i ich kolaboranci. Długotrwały bój partyzanci stoczyli następnie z załogą ufortyfikowanej szkoły psów policyjnych, położonej na skraju wsi. Zniszczyli ją, wykorzystując m.in. zdobyczone działko przeciwpancerne, jedno z dwóch, którymi dysponowały atakujące siły AK. Nacierający nieopodal I batalion 77. pułku piechoty zdobył niemieckie tabory biwakujące koło sąsiedniej wsi Hrybiszki, biorąc przy tym jeńców.

Lewe skrzydło polskiego natarcia, złożone z I i VI batalionu 77. pułku piechoty oraz 9. Brygady AK, pierwsze dotarło do głównej linii niemieckiej obrony na Lipniskach, Rossie i Hrybiszkach. Zostało jednak powstrzymane silnym ogniem broni maszynowej i moździerzy, prowadzonym ze stanowisk dobrze zamaskowanych i słabo widocznych w ciemnościach. W walce zginęli m.in. dowódca 9. Brygady AK chor. Jan Kolenko „Mały” i dowódca I. kompanii VI batalionu ppor. Zdzisław Bułak-Bałachowicz „Zdrój” (syn generała WP Józefa Bułak-Bałachowicza). Jednym z kluczowych elementów niemieckiej obrony był punkt oporu na wzgórzu przy torze kole-

jowym na Hrybiszkach, przy wieży ciśnienia (tzw. wodokacze). Z górującego nad polem bitwy obiektu niemieckie karabiny maszynowe skutecznie powstrzymywały atakujących partyzantów. Wraz z nastaniem ranka natarcie zupełnie wytraciło impet. Wobec wzmagającego się ostrzału nieprzyjacielskiej artylerii i wejścia do akcji niemieckiego lotnictwa rozpoczął się ogólny odwrót oddziałów AK spod miasta. Tak zakończyła się akcja, której celem miało być samodzielne zajęcie Wilna przed nadejściem Armii Czerwonej.



► Pułkownik Aleksander Krzyżanowski „Wilk”, komendant Okręgów AK Wilno i Nowogródek, lipiec 1944 roku

W wyniku nieudanego szturmu poległo około stu żołnierzy AK, a wielu innych zostało rannych. Przyczyną niepowodzenia było kilka. Dziś nie ulega wątpliwości, że skala przedsięwzięcia przewyższała możliwości lokalnych sił Armii Krajowej. Oddziały partyzanckie nie były bowiem równorzędnym przeciwnikiem dla niemieckich wojsk frontowych. Szturmowanie umocnionych pozycji bez broni ciężkiej, lotnictwa i innych nowoczesnych środków walki nie mogło być skuteczne. Pokazało to wyraźnie późniejsze oblężenie miasta przez Armię Czerwoną, która potrzebowała aż tygodnia na jego zdobycie.

Czy miejscowe dowództwo AK nie było tego świadome? Wszystko wskazuje na to, że głównej szansy upatrywano

w zaskoczeniu Niemców i sparaliżowaniu ich obrony, zanim zostaną obsadzone fortyfikacje przygotowywane od kilku miesięcy. Rachuby te częściowo się zresztą sprawdziły. Zgodnie z planem, niemal bez walki przekroczono pierwszą linię obrony. Na drugiej jednak nieprzyjaciel był przygotowany, zwłaszcza na odcinku, który zaatakowali partyzanci. Inne odcinki były słabiej obsadzone lub nie były obsadzone wcale, a znaczna część głównej linii obrony w ogóle nie była ukończona. Tyle tylko że owe słabiej bronione odcinki wbrew planom nie zostały zaatakowane przez AK. I to właśnie problem ze skoordynowaniem działań dużej liczby oddziałów był kolejną przyczyną niepowodzenia.

Większość jednostek, które przewidziano do ataku, nie wzięła w nim udziału, głównie ze względu na zbyt późne dostarczenie odpowiednich rozkazów. Zawinił w tej sytuacji archaiczny model łączności bojowej oparty na kurierach, który nie sprawdził się w warunkach błyskawicznie zmieniającej się sytuacji wojennej. Bez łączności radiowej niemożliwe było skuteczne dowodzenie zgrupowaniami partyzanckimi rozproszonymi na przestrzeni ponad 100 km. Zwłaszcza gdy ofensywa sowiecka nabrała zaskakującego tempa i zmusiła ppłk. „Wilka” do przyspieszenia natarcia o jedną dobę. Nie udało się już wówczas podciągnąć kilku batalionów nowogródzkich, a nawet na czas powiadomić konspiracyjnego garnizonu miasta Wilna, który miał od wewnątrz wesprzeć atakujące oddziały partyzanckie. Przy czym skuteczność tego wsparcia też musiała być ograniczona, bo przygniatająca większość żołnierzy garnizonu nie miała broni.

Osobną kwestię stanowi problem karności niektórych dowódców połowych AK, szczególnie tych, którzy do niedawna toczyli intensywne walki z partyzantką sowiecką. Ich działania wskazują raczej na niechęć do wzięcia udziału w walce, po której zmuszeni byłiby do ujawnienia swoich żołnierzy przed Sowiecami i zdania





Fot. ze zbiorów rodziny Banasikowskich

## Pamięci kapitana Edmunda Banasikowskiego „Jeża” (1914–2010)

Jednym z bohaterów akcji „Ostra Brama” był oficer operacyjny 3. Zgrupowania AK kpt. Edmund Banasikowski „Jeż”. Jeden z jego podkomendnych wspominał: „To, co zostało w mojej pamięci po tej całodziennej walce, pełnej szybkich zmian i wciąż nowych sytuacji, to spokój i odwaga »Jeża«”. Taki właśnie był przez cały czas służby w podziemiu. A pełnił ją, sprawując odpowiedzialne funkcje na niewralgicznych odcinkach walki, m.in. w wywiadzie ofensywnym i akcji dywersyjnej „Wachlarza” na zapleczu frontu wschodniego. Następnie w konspiracji i partyzantce wileńskiej AK, gdzie dał się poznać jako jeden z najbardziej pracowitych oficerów sztabowych w oszmiańskim Inspektoracie „F”. Był jednym z tych, którzy nie złożyli broni w lipcu 1944 roku i kontynuowali walkę przeciwko nowemu okupantowi. Wyróżnił się, wyprowadzając dowodzony przez siebie oddział „Wisieńcza” z bolszewickiego okrężenia w Puszczy Ruskiej.

Po ewakuacji z Wilna przedostał się na Zachód w 1946 roku. Osiadł w USA i tam działał w środowisku polonijnym, m.in. w Radzie Głównej Kongresu Polonii Amerykańskiej oraz Radzie Naczelnej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Pisarz i publicysta, autor znakomitej książki wspomnieniowej *Na zew Ziemi Wileńskiej* (Warszawa–Paryż 1990). Kawaler najwyższych polskich odznaczeń: Orderu Virtuti Militari, Krzyża Komandorskiego, Krzyża Oficerskiego i Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyża Walecznych.

25 lipca 2014 roku w Panteonie Żołnierzy Polski Walczącej na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie zostanie odłonięta tablica upamiętniająca płk. Edmunda Banasikowskiego. Udział w uroczystości zapowiedzieli prezes IPN dr Łukasz Kamiński oraz przedstawiciele rodziny: Barbara Banasikowski-Smith i Ryszard Banasikowski.

się na ich (nie)łaskę. W akcji „Ostra Brama” nie wziął udziału np. rtm. Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, który nie przyjął rozkazu do ataku, przekazanego przez łącznika (tłumacząc to jego niewłaściwą formą) i odmaszerował ze swoją 5. Brygadą Wileńską AK w stronę Grodna. Skądinąd słusznie zakładał, że jego żołnierze mogą stać się ofiarami sowieckich represji. Jednak swoim odejściem przyczynił się do istotnego osłabienia sił atakujących Wilno i niepowodzenia całej akcji.

## Hasło „Wilno”, odzew „Londyn”

Akcja „Ostra Brama” była elementem uzupełniającym ogólnopolskiej akcji „Burza”, zatwierdzonym przez Dowódcę AK 12 czerwca 1944 roku. Podobnie jak późniejsza walka o Lwów i Powstanie w Warszawie, była dramatyczną próbą ratowania pogarszającej się sytuacji politycznej Polski. Uznano, że jedynie spektakularne działania na dużą skalę są w stanie zwrócić uwagę świata i stać się atutem w rozgrywce z Sowietami. Aktywność bojowa polskich formacji wojskowych na Wileńszczyźnie, podległych legalnemu rządowi Rzeczypospolitej, miała demonstrować prawa Polski do tych ziem. Zanim oddziały AK ruszyły do ataku na Wilno, na terenie dwóch okręgów – Wileńskiego i Nowogródzkiego – zostały uruchomione działania w ramach akcji „Burza”. W jej trakcie dokonano licznych aktów dywersji na niemieckich liniach kolejowych i zasadzek na drogach. Rozległe tereny wiejskie między Wilią a Niemnem już od kilku miesięcy były zaś w rzeczywistości wyzwolone z rąk okupanta w wyniku działań partyzanckich.

Nocny szturm AK na Wilno okazał się preludem do wielodniowej bitwy o miasto, którą kontynuowały frontowe oddziały sowieckie od 7 do 13 lipca 1944 roku. Przez cały czas wspierali je polscy partyzanci i oddziały powstańcze AK wewnątrz miasta. Pierwsza w rolę sojusznika weszła 3. Brygada Wileńska AK, która mimo niepowodzenia pozostała na miejscu walki na Belmoncie i jeszcze 7 lipca nawiązała współpracę z nadciągającymi oddziałami Armii Czerwonej. Wspólnie z nimi ponowiła atak na Niemców. Najszerzej

współdziałało z Sowietami 2. Zgrupowanie AK mjr. Mieczysława Potockiego „Węgielnego”, które tego samego dnia podporządkowało się taktycznie dowódcy 277. Dywizji Strzeleckiej Armii Czerwonej i do 12 lipca brało udział w walkach frontowych na północ od Wilna, zwłaszcza w okolicy Mejszagoły. Żołnierze AK zdobyli tam m.in. kilka niemieckich haubic, dzięki czemu sformowali własny pododdział artylerii. Końcowym akordem bitwy wileńskiej stał się bój stoczony przez 2. Zgrupowanie AK z resztką niemieckiego garnizonu Wilna (w sile 3 tys. ludzi), która przebiła się z sowieckiego okrężenia nad ranem 13 lipca. W wielogodzinnej walce w okolicach wsi Krawczuny–Nowosiółki obie strony poniosły znaczne straty. Poległo lub zaginęło ponad stu żołnierzy AK, m.in. dowódca 1. Brygady Wileńskiej AK por. Czesław Grombaczewski „Jurand”. Straty niemieckie zaś wyniosły kilkuset zabitych i wziętych do niewoli. Pozostałe 2 tys. żołnierzy wroga zdołało przebić się przez front.

Swoją rolę w bitwie odegrały także powstańcze oddziały garnizonu miejskiego AK. W trakcie zajmowania przez Sowietów kolejnych dzielnic do akcji wkraczały miejscowe plutony AK, zdobywając na wrogu potrzebną broń. W końcowym momencie bitwy zbiorcze zgrupowanie powstańcze por. Władysława Roszkowskiego „Białego” osiągnęło stan około pięciuset żołnierzy. 13 lipca 1944 roku żołnierze AK zawiesili biało-czerwoną flagę na górującej nad miastem Baszcie Gedymina. Późniejsze zdjęcie polskiej flagi przez Sowietów stało się czytelną zapowiedzią dalszego rozwoju wypadków. W czasie walki jednak – i przez kilka dni po jej zakończeniu – relacje polsko-sowieckie układały się w miarę poprawnie. Radiodepesza wysłana 14 lipca do Londynu przez dowódcę Okręgu AK Nowogródek, cichociemnego, ppłk. Adama Szydłowski „Poleszuka” informowała: „Wilno zdobyte przy znacznym udziale AK, która weszła do miasta. Duże zniszczenia i straty. Stosunki z armią sowiecką poprawne. Rozmowy w toku. – Wilno przeżywa bardzo krótką, ale jakże radosną chwilę wolności 14 VII. Polskość mia-



sta bije w oczy. Pełno naszych żołnierzy. Służba opl [obrony przeciwlotniczej] polska. W fabrykach i warsztatach tworzą się komitety i zarządy polskie. Władze administracyjne ujawnią się w najbliższym czasie. Litwinów nie ma”.

### Finał braterstwa broni

W połowie lipca 1944 roku ppłk Aleksander Krzyżanowski „Wilk” kilkakrotnie pertraktował w dowództwie sowieckiego III Frontu Białoruskiego w sprawie zorganizowania z miejscowych oddziałów AK regularnych oddziałów frontowych, które przy boku Armii Czerwonej miałyby kontynuować walkę z Niemcami. W tym celu polskie oddziały zostały skoncentrowane pod Wilnem w rejonie Rudomino – Turgiele. Do 17 lipca zgromadziło się tam ok. 13 tys. żołnierzy i wielu ochotników, z których rozpoczęto formowanie 19. Dywizji Piechoty i Wileńskiej Brygady Kawalerii AK.

Jednak rankiem 17 lipca Sowietci skrycie aresztowali w Wilnie ppłk. „Wilka”, a po południu liczną grupę oficerów AK zaproszonych na odprawę do wsi Bogusze. Od świtu następnego dnia przystąpili zaś do rozbierania oddziałów AK. Mimo prób wydostania się z okrażeń i przyjęcia walki w Puszczy Rudnickiej, większość polskich oddziałów złożyła broń lub rozwiązała się. Tysiące żołnierzy osadzono w obozie w Miednikach, a wobec odmowy wstąpienia do podporządkowa-



Fot. ze zbiorów Marii Skrzyńskiej-Plawińskiej

▶ Ppor. Więńczysław Barsegow „Harap”, dowódca plutonu w szwadronie kawalerii 3. Brygady AK w czasie bitwy o Wilno w lipcu 1944 roku

nej Sowietom armii Berlinga wywieziono ich wkrótce w głąb ZSRS i przymusowo wcielono w szeregi Armii Czerwonej.

Okazało się, że likwidacja oddziałów Armii Krajowej od początku była głównym celem Sowietów, a okres pozornego sojuszu był niezbędny jedynie do rozpoznania polskich sił i zgromadzenia odpowiedniej ilości wojsk NKWD niezbędnych do przeprowadzenia operacji rozbrojeniowej. W ten sposób powtórzyła się sytuacja, która wcześniej miała miejsce na Wołyniu. Późniejsze wypadki we Lwowie i na kolejnych zajmowanych przez Armię Czerwoną ziemiach polskich nie odbiegały od tego schematu. Akcja „Burza” na wschód od Wisły wszędzie miała podobny finał. Ujawniona kadra dowódcza AK i funkcjonariusze Delegatury Rządu trafiali do sowieckich więzień i obozów, sze-

regowi żołnierze zaś byli wcielani do armii Berlinga, Armii Czerwonej albo wywożeni do obozów w ZSRS.

Żołnierze AK, którzy uniknęli rozbrojenia pod Wilnem w lipcu 1944 roku, kontynuowali walkę partyzancką – tym razem przeciwko Sowietom. Jednym z jej symboli stała się śmierć w boju pod Surkontami cichociemnego, mjr./ppłk. Macieja Kalenkiewicza „Kotwicza”, autora koncepcji akcji „Ostra Brama”.

Bitwa o Wilno przeszła do historii jako jedno z największych przedsięwzięć militarnych Armii Krajowej w 1944 roku. Ogółem poległo w niej około trzystu żołnierzy AK. Wielu innych straciło później życie w komunistycznych więzieniach i obozach. Wśród nich był mjr./ppłk Antoni Olechnowicz „Pohorecki”, który dowodził 1. zgrupowaniem AK. Został on rozstrzelany w więzieniu mokotowskim w Warszawie 8 lutego 1951 roku, a jego szczątki odnaleziono niedawno na powązkowskiej „Łączce” w wyniku prac ekshumacyjnych prowadzonych przez Instytut Pamięci Narodowej. Na Mokotowie został rozstrzelany także 11 maja 1951 roku por./kpt. Gracjan Fróg „Szczerebiec”, który szczególnie wyróżnił się w bitwie, dowodząc 3. Brygadą Wileńską AK. W tym samym więzieniu został zamęczony 29 września 1951 roku dowódca wileńsko-nowogródzkiej AK, płk Aleksander Krzyżanowski „Wilk”.

dr Paweł Rokicki – adiunkt w Instytucie Studiów Politycznych PAN, zastępca naczelnika Wydziału Edukacji Historycznej Biura Edukacji Publicznej IPN



Fot. Stanisław Białozyt „Brom”

▶ Rozbrojeni żołnierze AK w sowieckim obozie na zamku w Miednikach pod Wilnem, lipiec 1944 roku



# Najdłuższy dzień Powstania

Maciej Żuczowski

**Sześćdziesięciu powstańców – wśród ruin, pod ostrzałem – przez cały dzień przebijało się ze Starego Miasta do Śródmieścia. Większość tego czasu spędzili ukryci w piwnicy płonącego domu, do której Niemcy, na wszelki wypadek, wrzucali granaty. Dla nich 31 sierpnia 1944 roku był najdłuższym dniem Powstania.**

**S**ily powstańcze, które 1 sierpnia 1944 roku o godzinie „W” podjęły walkę o Stare Miasto, liczyły niewiele ponad tysiąc słabo uzbrojonych żołnierzy. Mimo to w ciągu kolejnych czterech dni udało się im opanować zasadniczą część tej dzielnicy. Nie zdołali jednak zająć Dworca Gdańskiego i przyległych do niego terenów – punktu kluczowego dla łączności Starówki z Żoliborzem. 7 sierpnia udane niemieckie natarcie wzdłuż ulic Wolskiej i Chłodnej doprowadziło do odcięcia Starego Miasta od Śródmieścia. To wydarzenie zapoczątkowało okres przeszło trzytygodniowych walk w obronie Starówki prowadzonych przez utworzoną tego samego dnia Grupę „Północ”, dowodzoną przez ppłk./płk. Karola Ziemskiego „Wachnowskiego”. Za najważniejsze zadanie – oprócz wzmocnienia obrony podległego mu obszaru – uznał on przywrócenie łączności z Żoliborzem i Śródmieściem. Posłużyły do tego tzw. drogi specjalne: 10 sierpnia

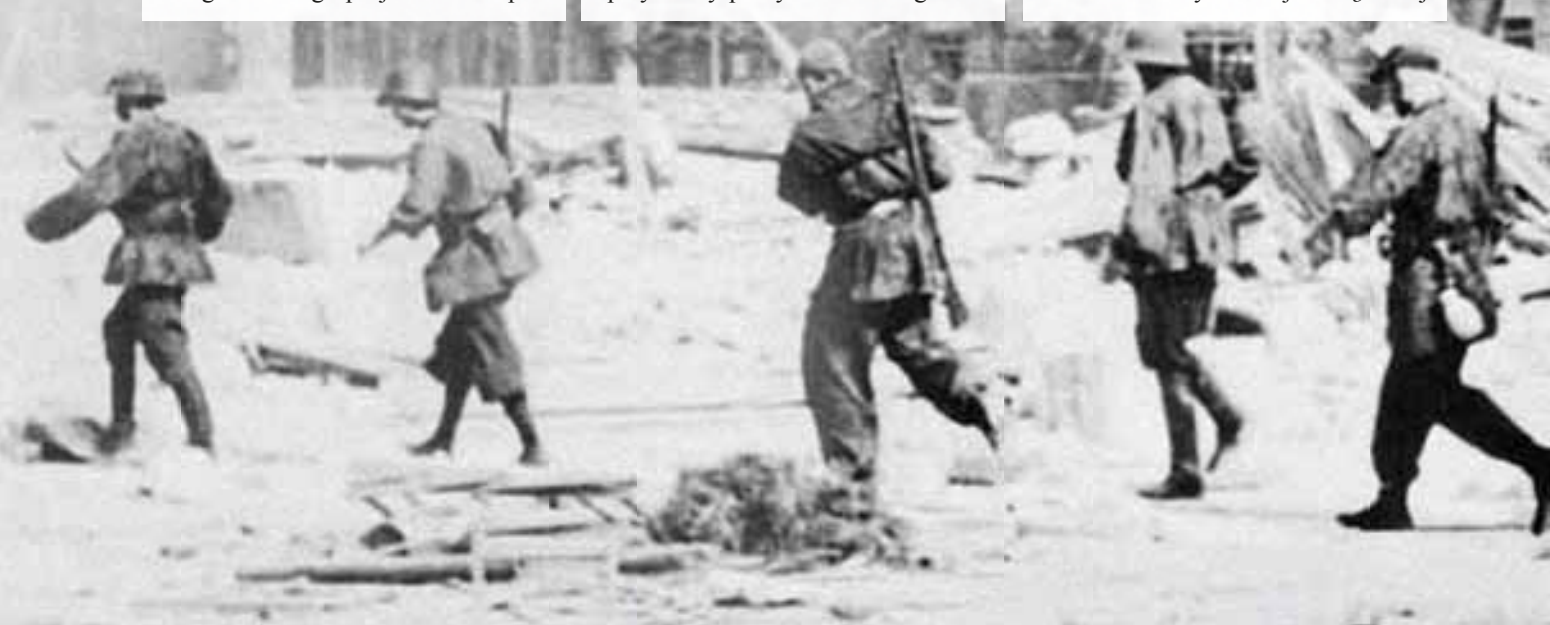
pierwsze patrole przedarły się kanałami do obu tych dzielnic.

Stare Miasto jednak nadal było okrążone. W ciągu kolejnych dwóch tygodni przeprowadzono trzy próby rozerwania niemieckich sił izolujących tę dzielnicę. Niestety, wskutek ogromnej dysproporcji siły ognia, słabości polskich oddziałów i braku koordynacji ich działań, wszystkie natarcia przyniosły jedynie straty w postaci kilkuset zabitych i rannych żołnierzy AK. W tej sytuacji zaniechano kolejnych ataków.

## Ambitny plan

Przez cały sierpień napór Niemców na Stare Miasto wzrastał, w dodatku lotnictwo i ciężka artyleria systematycznie obracały je w ruinę i coraz bardziej kurczył się teren broniony przez powstańców. Dlatego 25 sierpnia rozpoczęła się stopniowa ewakuacja sił polskich kanałami. Na początku do Śródmieścia przeszli oficerowie Komendy Głównej AK i przywódcy polityczni Polskiego Pań-

stwa Podziemnego. Jednakże drogą specjalną z okrążonej dzielnicy mogło się wydostać stosunkowo niewielu ludzi. W sztabie płk. „Wachnowskiego” powstał wówczas – zatwierdzony przez dowódcę powstania płk. Antoniego Chruściela „Montera” – projekt zbrojnego przebicia się staromiejskich oddziałów Grupy „Północ” wraz z rannymi oraz ludnością cywilną do Śródmieścia. Przygotowano skomplikowany plan zakładający równoczesne natarcie z obu stron, ze Starówki i Śródmieścia, skoordynowane z desantem na pl. Bankowy, przeprowadzonym z kanałów. Odległość między pozycjami wyjściowymi obu polskich zgrupowań wynosiła ok. 800 m. Tej długości „korytarz” należało wywalczyć, a potem utrzymać. Jego docelowa szerokość miała wynieść ok. 400 m. Zaplanowano natarcie dwoma skrzydłami. Prawą kolumnę pod dowództwem mjr. Gustawa Billewicza „Sosny” stanowiły: batalion „Chrobry I”, oddział Korpusu Bezpieczeństwa i niedobitki harcercy batalionu „Parasol”. Łącznie siły tej kolumny wynosiły około dwustu żołnierzy. Miała ona nacierać z pozycji wyjściowych przy ul. Długiej w Pasażu Simonsa i z reduity Matki Boskiej. Po opanowaniu Pałacu Radziwiłłów przy ul. Bielańskiej miała zaatakować przez ul. Długą i Tłomackie w kierunku ul. Rymarskiej. Lewą, silniej-





szą kolumną dowodził ppłk Jan Mazurkiewicz „Radosław”. Składała się ona z grupy kpt. Eugeniusza Konopackiego „Trzaski”, dowodzącego pododdziałami batalionów „Wigry”, i Wojskowej Służby Ochrony Powstania „Dzik” oraz z brygady „Broda” mjr. Jana Andrzejewskiego „Jana” w składzie „Zośka”, „Topolnicki” i „Dysk”. Łącznie do natarcia miało ruszyć około trzystu żołnierzy. To właśnie oddziały lewej kolumny miały wziąć na siebie główny ciężar przebiecia. Ich zadanie polegało na szturmowaniu z obu stron Banku Polskiego przez ruiny domów między ul. Bielańską a Senatorską z ogólnym kierunkiem natarcia na Szpital Maltański i pl. Bankowy. Stamtąd – po połączeniu się z desantem kanałowym i we współpracy z oddziałami mjr. „Sosny” – kolumna miała prowadzić dalsze natarcie wzdłuż ulic: Elektoralej, Zimnej i Przechodniej w kierunku na Hale Mirowskie i pl. Żelaznej Bramy, gdzie powinno nastąpić spotkanie z oddziałami nacierającymi od strony Śródmieścia.

Integralną częścią natarcia przeprowadzonego ze Starego Miasta miał być wspomniany desant kanałowy na pl. Bankowy. Zadaniem stworzonego

na potrzebę tej konkretnej akcji oddziału dowodzonego przez por. Zbigniewa Ścibor-Rylskiego „Motyla” było opanowanie pl. Bankowego, a następnie współdziałanie z kolumną główną w natarciu w kierunku Szpitala Maltańskiego.

Zadaniem oddziałów śródmiejskich w łącznej sile prawie 550 żołnierzy było opanowanie niemieckich koszar przy ul. Ciepłej, a następnie zdobycie hal targowych i pl. Mirowskiego, które miały zostać utrzymane do czasu dotarcia oddziałów ze Starego Miasta.

### Nieudana próba

Pierwszy do walki miał przystąpić desant kanałowy. Po opanowaniu pl. Bankowego miał dać zieloną rakietą sygnał do równoczesnego natarcia siłom powstańczym ze Starego Miasta i ze Śródmieścia. Zgodnie z planem miało to nastąpić kilka minut po 23.00. Niestety, wkrótce po osiągnięciu pl. Bankowego przez oddział por. „Motyla” okazało się, że założenia całej akcji oparte są na błędnym rozpoznaniu. Na pl. Bankowym znajdowały się znaczne siły niemieckie, w dodatku dwóch z trzech studzienek, którymi miał nastąpić „desant”, nie udało się otworzyć. W rezultacie po kilkudziesięciu

minutach walki i stracie kilku żołnierzy oddział musiał się wycofać, nie zrealizowawszy zamierzonych celów.

Także natarcie ze strony Śródmieścia, rozpoczęte pomimo braku sygnału od desantu kanałowego ok. 1.00 w nocy, nie osiągnęło wyznaczonych celów i zmuszone było cofnąć się na pozycje wyjściowe, chociaż oddziałom tym udało się dotrzeć do Hal Mirowskich. Nie miało to jednak znaczenia wobec rezultatu walk stoczonych przez kolumny nacierające ze Starego Miasta.

Na skutek zatoru spowodowanego przez rannych i cywilów przygotowujących się do przejścia do Śródmieścia oddziały ppłk. „Radosława” i mjr. „Sosny” osiągnęły pozycje wyjściowe dopiero ok. 1.00 w nocy. Wobec niepowodzenia na pl. Bankowym rezultatem tego opóźnienia było zmarnowanie większości i tak krótkiej nocy oraz utrata elementu zaskoczenia. Ostatecznie natarcie rozpoczęło się dopiero ok. 3.00 nad ranem. Pierwszy zaatakował kilkudziesięciosobowy oddział kpt. „Trzaski”, któremu za cenę znacznych strat udało się sforsować ul. Bielańską, jednakże w skutek silnego niemieckiego oporu i wysokich strat grupa ta, z wyjątkiem samego kpt. „Trzaski”,



▶ Oddział powstańców idących do walki; Warszawa, ul. Jasna, sierpień 1944 roku





Fot. PAP/CTK

musiała się wycofać na pozycje wyjściowe. Widząc jej niepowodzenie, trzy plutony kompanii „Rudy” pod bezpośrednią komendą dowódcy batalionu „Zośka” kpt. Ryszarda Białousa „Jerzego” szczęśliwie przebiegły ul. Bielańską. Chwilę później została ona jednak zablokowana na tyle skutecznym ogniem niemieckim, że tylko dowódcy „Brody” ze sztabem i kilku żołnierzom kompanii „Maciek” baonu „Zośka” udało się ją przekroczyć. Niestety, ten nieliczny oddział chwilę później został wystrzelany z zamaskowanego w ruinach stanowiska karabinu maszynowego.

Niemiecki ogień położony wzdłuż ul. Bielańskiej uniemożliwił sforsowanie ulicy grupie mjr. „Sosny”, a także odwrót wspomnianej kompanii „Maciek”. Grupie tej, wzmocnionej o pojedynczych żołnierzach z innych oddziałów (m.in. osamotnionego kpt. „Trzaskę”), udało się przeniknąć w rejon ul. Senatorskiej naprzeciwko ruin kościoła św. Antoniego. Mając odcięty odwrót, kpt. „Jerzy” oraz dowódca kompanii ppor. Andrzej Romocki „Morro” zdecydowali się kontynuować w tej chwili już nie tyle przebijanie, ile przedzieranie się w kierunku Śródmieścia. Kapitan „Jerzy” po latach wspominał: „[...] decyduję się zmienić kierunek natarcia na kościół św. Antoniego, bibliotekę Zamoyskich, Ogród Saski, palmiarnię, gmach Giełdy, Królewską, Zielną, gdzie są już nasi. Natarcie to najlepiej byłoby prowadzić nocą, ale utrzymanie do nocy budynku, w którym jesteśmy, nie wydaje się możliwe

ze względu na specjalnie trudną obrotę”. Przygotowania do przeskoku przez ul. Senatorską do kościoła św. Antoniego przerwała informacja, że od ul. Bielańskiej nadchodzą Niemcy. Oddajmy jeszcze raz głos kpt. „Jerzemu”: „Wstaję szybko i nakazawszy reszcie pozostanie na miejscu i obserwację przedpola, sam biorę ze sobą dwóch ludzi z lkm-em [lekkim karabinem maszynowym – M.Ż.] i kilku stenistów [nazwa od brytyjskiego zrzutowego pistoletu maszynowego sten – M.Ż.] i udaję się na pierwsze piętro budynku [...]. Rzeczywiście, szeroką falą tyraliery posuwają się Niemcy w sile, którą oceniam na dwie drużyny. Podchodzą, przetrząsają ruiny i zbliżają się do nas, nie zachowując żadnej prawie ostrożności [...]. Szeptem wydają rozkazy, podczas gdy Witold umieszcza lkm-y na stanowiskach, sam z kilkoma ludźmi z pm-ami [pistoletami maszynowymi – M.Ż.] zajmują miejsce naprzeciw otworu w murze, którym już wlewają się Niemcy. Niespokojne spojrzenia chłopców uderzają we mnie, a raczej moją podniesioną rękę, która wnet opadła, rozpoczynając nagle szal ognia, jakim z bliskiej, bo około 30 metrów liczącej odległości, nasze lkm-y i pm-y rażą wroga. [...] nie widziałem żadnego Niemca, który by krył się czy uciekał”. Po krótkiej walce „Jerzy” wraz z „Morro” zaplanowali przeskoczenie przez ulicę Senatorską: „Mamy skakać przez ulicę frontalnie, dość zwartym rojem, osłonięci z obu stron dymem naszych »filipinek« [granaty konspira-

cyjnej produkcji – M.Ż.]”. Plan się udał: niemieckie karabiny maszynowe, do tej pory szczelnie blokujące ul. Senatorską, przestały strzelać na kilka sekund. To wystarczyło, aby przeszło sześćdziesięcioosobowa grupa powstańców wbiegła do kościoła św. Antoniego. Na środku ulicy pozostał tylko jeden ciężko ranny powstaniec – ten, który się zawahał. Większość członków grupy była ranna, w tym obaj dowódcy: por. „Morro”, który otrzymał postrzał w twarz, i kpt. „Jerzy”, zraniony w nogę. Mimo to „Morro” poprowadził rozpoznanie w kierunku biblioteki Zamoyskich.

Oczywiste było, że niemożliwe jest kontynuowanie przedzierania się do Śródmieścia w dzień. Z kolei na utrzymanie się w zrujnowanym kościele do nocy też nie było większych nadziei, szczególnie że Niemcy wprowadzili do walki czołgi. Groźba zniszczenia całej grupy była duża. Po powrocie ze zwiadu „Morro” i „Jerzy” postanowili opuścić wraz z oddziałem kościół, wykorzystując hałas czyniony przez niemieckie natarcie, i ukryć się w piwnicach pobliskiego wypalonego budynku. Stanisław Lechmirowicz „Czart” wspominał: „[...] gęsta, puszysta trawa tłumi uderzenia kroków, a dalej są już gruzy. Mijamy węgiel jakiegoś muru i wbiegamy do piwnicy zagradzającej nam drogę budynku. Wejście do suteren zamyka erkaem, drugi ustawia się w głębi, na wprost okienka, z którego widać Ogród Saski. Stłoczeni, usiłujemy się pomieścić w wąskim, ciasnym korytarzu”.



O napięciu, jakie towarzyszyło żołnierzom, świadczy tragiczny wypadek opisany na podstawie relacji świadków tamtych wydarzeń przez Aleksandra Kamińskiego w książce *Zośka i Parasol*: „Ledwo erkaem zajął stanowisko, gdy z zewnątrz rozległ się tupot kroków, pchnięto drzwi i w rozslonecznionej ich ramie ukazał się żołnierz w wehrmach-towskim mundurze, z bergmanem gotowym do strzału. Ta-ta-ta-ta – zajazgotał erkaem i żołnierz wbiegający w drzwi zwałił się twarzą na posadzkę korytarza piwnicznego”. Dopiero wówczas okazało się, że był to powstaniec, który dołączył do „Zośki” w czasie walk na Starym Mieście. Jak wyglądał pobyt w piwnicy, najwięcej opisał Stanisław Likiernik „Machabeusz”: „Nieprzyjaciele nie wiedzieli, gdzieśmy się podziiali. Przez okienka w piwnicy widać ich nogi na podwórzu. Nie wolno mówić, kaszleć, jęczeć ani się ruszać. Ściany, rozgrzane pożarem, pełnią rolę kaloryferów, w tej porze roku absolutnie zbędnych. Upał jak w łaźni. Czekamy. Na co i jak długo? O szóstej rano zajęliśmy, o dziesiątej wieczorem opuściliśmy tę przeklętą piwnicę. Około jedenastej w południe Niemcy usłyszeli jakiś szelest. Na wszelki wypadek wrzucili nam parę granatów. Wybuch i cisza. Szczęśliwie nie ma strat. Ukrywamy się poza załomami murów i czekamy, krztusząc się kurzem. Znowu wybuchy, krótkie serie cekaemu po naszych oknach i znowu spokój. Szkozy mimo wszystko boją się wejść. Nasze sanitariuszki resztą wody z manierek poją rannych. »Bor« (Zygmunt Siennicki) jęczy, zatykamy mu ręką usta. Cicho, cicho, to nasza jedyna szansa. Pot zalewa oczy, rany boją, granatniki w odstępach półgodzinnych stanowią »miłą rozrywkę«. Był to chyba najdłuższy dzień w moim życiu”. Dopiero po 22.00, na rozkaz kpt. „Jerzego”, oddział wyruszył w dalszą drogę: „Zapowiadam wszystkim – wspominał później »Jerzy« – aby milczeli, jedynie »Drogosław« [Jan Więckowski] i »Witold« [Witold Morawski], znający dobrze niemiecki, mają iść na czele i odpowiadać na ewentualne pytania”.

Powstańcy, umundurowani w niemieckie bluzy polowe i hełmy zdobyte w magazynach na Stawkach, w ciemnościach z powodzeniem uchodzili za oddział Wehrmachtu zmierzający na pierwszą linię walk. W ten sposób, z małymi emocjami towarzyszącymi każdemu spotkaniu z Niemcami, dzięki zimnej krwi i perfekcyjnej znajomości języka niemieckiego przez „Drogosława” oddział bez walki dotarł do budynku Giełdy, o który kpt. „Jerzy” spodziewał się stoczyć bój z Niemcami. Na szczęście ich tam nie było. W tym momencie od „polskiego” Śródmieścia grupę kpt. „Jerzego” dzieliła już tylko ul. Królewska. „Czart” wspominał: „W tym momencie dostajemy wściekły ogień broni maszynowej i działek szybkostrzelnych. Gdzieś od Świątynki pikują w nas serie kul. Jednocześnie budzi się Śródmieście. Głuche dudnienie dalekich cekaemów wplata się w grzechot działek z Saskiego, a z prawej strony giełdy zrywają się krzyki Ukraińców. Ktoś z naszych pada. »Dobijcie mnie! Dobijcie mnie!«. Jęk rannego rozsnuwa się błagalnym skowytym, ktoś podbiega. Suchy trzask pistoletu i skurczony w mroku cień milknie. Z głębi Granicznej rozsiekał się naraz głębokim jazgotem Maxim. Śródmieście czuwa – spodziewając się natarcia. Cekaem pruje równo po ścianie, za którą stojmy. W otworze okna staje Andrzej Morro.

► Ranny otrzymuje pierwszą pomoc na ulicy

Potężnym głosem próbuje przekrzyczeć ujadanie kaemu: »nie strzelać, idą polskie oddziały ze Starówki! Baon Zośka! Niech żyje Polska!«. Maxim zdaje się chwilę wahać – i cichnie. Skaczymy w kierunku rogu Próźnej i Zielnej, gdzie prawdopodobnie są nasi, na wszelki wypadek gotujemy się do szturm. Zeskakujemy niezdarnie z wysokich okien w ruinach i potykając się o zwisające nisko nad jezdnią druty tramwajowe, przebiegamy ulicę. [...] Przesadzamy niskie okna i wskakujemy do mrocznego wnętrza. W pokoju nie ma nikogo. Ktoś otwiera z rozmachem drzwi i nagle oślepia nas strumień elektrycznego światła. »Nasi! Nasi!«”.

Ogółem do Śródmieścia przedarło się 59 żołnierzy, w tym czterdziestu z batalionu „Zośka”. I chociaż ich dokonanie z wojskowego punktu widzenia miało bardzo niewielkie znaczenie, to jednak jest ono jednym z tych wydarzeń, które zbudowały legendę Powstania i przede wszystkim harcerskiego baonu „Zośka”. ■

Maciej Żuczkowski – historyk, pracownik Wydziału Badań Naukowych BEP IPN





Spotkali się jesienią 1942 roku w stalagu VIII B Lamsdorf, zlokalizowanym w Łambinowicach położonych między Nysą a Opolem. Hubert Brooks był kanadyjskim chorążym lotnictwa, John Duncan sierżantem elitarnego szkockiego pułku piechoty. Połączyły ich przyjaźń, odwaga i brawura, a także wspólna służba w Armii Krajowej.

► „Jubelt” latem 1944 roku

## „Jubelt” i „John” – alianci w podhalańskiej AK

Dawid Golik

**S**ierżant John „Curly” Duncan był Szkotem i od 1928 roku służył jako zawodowy żołnierz w elitarnym brytyjskim pułku Gordon Highlanders na terenie Afryki i Indii. Po wybuchu II wojny światowej został skierowany w ramach brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego do Francji. Podczas walk pod Dunkierką w czerwcu 1940 roku dostał się do niewoli niemieckiej, z której przed spotkaniem z Brooksem dwukrotnie uciekał. Pierwsza ucieczka zakończyła się sukcesem i przez ponad rok Duncan ukrywał się na terenie Francji. Do obozu trafił ponownie, gdyż zdradziła go zazdrosna o jego względy Francuzka. Kolejna próba wyrwania się z niewoli była już nieudana.

Z kolei chorąży Hubert Brooks był ochotnikiem do służby w kanadyjskim lotnictwie i otrzymał przydział do 419. Dywizjonu Bombowego. W nocy z 8 na 9 kwietnia 1942 roku samolot, którego był nawigatorem, został zestrzelony nad

niemieckim Oldenburgiem. Brooks dostał się wówczas do niewoli i – zamieniwszy się dokumentami z szeregowym Nowozelandczykiem – trafił do stalagu VIII B, z którego – podobnie jak Duncan, dwukrotnie podejmował próbę ucieczki.

### Partyzanci „Wilka”

We wrześniu 1942 roku Duncan i Brooks znaleźli się w podległym stalagowi obozie pracy w Toszku pod Gliwicami, gdzie byli zatrudnieni pod strażą Niemców w miejscowym tartaku. Szybko doszli do wniosku, że kolejną ucieczkę powinni przeprowadzić wspólnie. Zaczęły się drobiazgowo przygotowania – gromadzenie zapasów żywności, pozyskiwanie map, szukanie kontaktów z polskim podziemiem. Od pewnej Niemki udało się im nawet zdobyć mały kompas. Wiedzieli, że nie będą już mieli kolejnej szansy i że jeżeli tym razem im się nie uda, to trafią do obozu karnego, z którego ucieczka będzie niemożliwa. Dlatego też byli cierpliwi,

nie spieszyli się i czekali na sprzyjający moment. Swoje plany zrealizowali po ośmiu miesiącach, 10 maja 1943 roku. „Krótco przed północą [...] przekroczyliśmy skład drewna i zniknęliśmy w nocy. Jak zwykle podróżowaliśmy w nocy i spaliśmy w lesie w dzień” – wspominał Brooks. Dzięki pomocy jednego z Polaków udało się im przedostać z terenów Rzeszy do Generalnego Gubernatorstwa. Tam z kolei kanałami Armii Krajowej zostali przerzuceni w okolice Częstochowy.

Miejscowa AK opiekowała się nimi przez kolejne pół roku, jednak w związku ze zbliżającą się zimą postanowiono przerzucić ich w góry i umieścić w jednym z działających tam oddziałów partyzanckich. W ten sposób w listopadzie 1943 roku Duncan i Brooks znaleźli się na Podhalu i za pośrednictwem Komendy Obwodu AK Nowy Targ trafili do obozu partyzanckiego pod Czerwonym Groniem w Gorcach. Kanadyjczyk pierwszą wizytę w oddziale „Wilk” zapamiętał tak:



„To był październik [właśc. listopad] i na szczytach Karpat leżał już śnieg, kiedy wreszcie dotarliśmy do kryjówki naszego oddziału partyzanckiego. Był to toporny schron wybudowany w górskim zboczu i kiedy przybyliśmy, większość z czterdziestu bojowników AK siedziała właśnie i jadła kolację. Nasz wzrok padł na stojące przed nami talerze. Musiały się na nich znajdować co najmniej dwa funty wołowiny. Po naszej ubogiej diecie, czarnym chlebie i niemieckich racjach żywnościowych była to niesamowita uczta. »Możemy tak żyć i żyć« – oświadczyłem. »Już niedługo zmęczysz się tym mięsem« – odpowiedzieli partyzanci; i okazało się to prawdą, że jedliśmy mięso podczas każdego posiłku, wołowinę, dziczyznę i wieprzowinę”. Już niedługo dwaj alianci stali się ważną częścią oddziału, nadano im też pseudonimy, które były pochodną ich imion – „Mr. John” (częściej jednak po prostu „John”) oraz „Jubel”. Brooksa zapamiętano jako sympatycznego i szczerego człowieka. Duncan ujmował wszystkich osobowością i niesamowitą wiedzą wojskową. Był też znakomitym strzelcem, czego dowód dawał niejednokrotnie podczas walki.

► Zdjęcie ze stalagu VIII B Lamsdorf zrobione w grudniu 1942 roku; stoją (od prawej): John Duncan i Hubert Brooks



Fot. ze zbiorów Jerzego Krzewickiego

► W szeregach AK latem 1944 roku; od lewej: Hubert Brooks, Tadeusz Olszyna „Ptak” i John Duncan

Chrzest bojowy obaj przeszli w lutym 1944 roku, kiedy na rozkaz dowódcy oddziału „Wilk”, por. Krystyna Więkowski „Zawiszy”, wzięli udział w akcji rozbicia posterunku policji „granatowej” w Ochotnicy Dolnej. Opanowano budynek oraz zdobyto zmagazynowaną w nim broń i amunicję (przy stracie jednego par-

tyzanta), ale za wycofującymi się na nartach akowcami ruszyła niemiecka oblawa. Nad ranem 21 lutego 1944 roku dotarła ona na położone nad Szczawnicą osiedle Przysłop, gdzie w jednym z domów odpoczywali partyzanci z mordowani długotrwałym marszem w śniegu. Niemal natychmiast wywiązała się chaotyczna walka, w której poległo pięciu żołnierzy podziemia, a reszta musiała ratować się ucieczką do pobliskiego lasu. W starciu tym wyróżnił się szczególnie Duncan. „Wybitną przytomność umysłu i zimną krew wykazał wtedy zwłaszcza John [...]. Najpierw ze stoickim spokojem wykończył [...] [gestapowca] Maiwaldę, później, uciekając do lasu, zdążył jeszcze zabrać MG 42 z rąk [zabitych] Kruka i Sławka” – relacjonował jeden z akowców.

### Podhalańczycy z AK

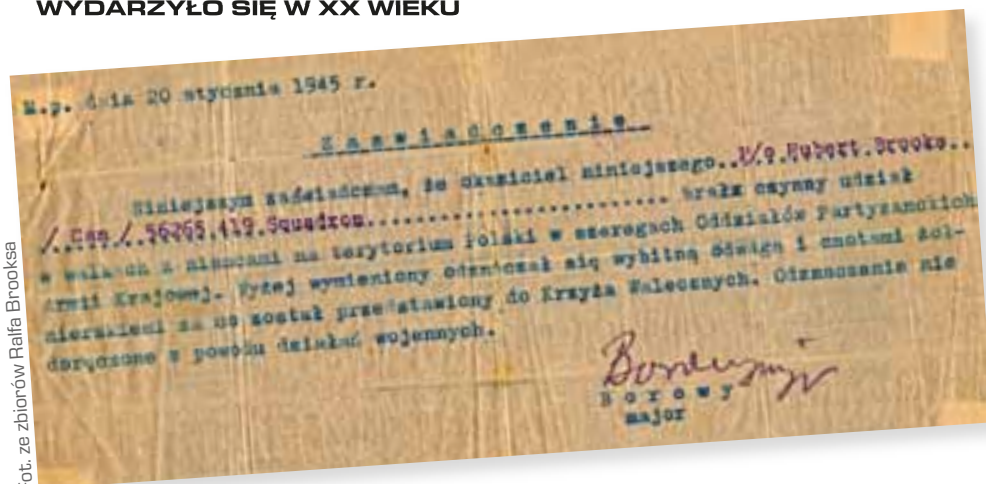
Po starciu na Przysłopie oddział „Wilk” musiał czasowo ograniczyć swoją działalność i dopiero wiosną 1944 roku na nowo rozpoczął aktywną walkę z okupantem. Przez ten czas zarówno Brooks, jak i Duncan na stałe zdomowili się w szeregach podhalańskiej Armii Krajowej. Formalnie ►



Fot. ze zbiorów Ralfa Brooksa



Fot. ze zbiorów Ralfa Brooksa



► Zaświadczenie wystawione Hubertowi Brooksovi przez mjr. Adama Stabrawę „Borowego” w styczniu 1945 roku

byli żołnierzami „Zawiszy”, często jednak chodzili swoimi ścieżkami i wykonywali zadania zlecone im przez oficerów inspektoratu AK Nowy Sącz. Zaprzyjaźnili się też z wieloma góralskimi rodzinami z rejonu Zbludzy, Kamienicy i Szczawy. W sierpniu 1944 roku, po rozpoczęciu akcji „Burza”, obydwaj otrzymali przydział do działającego koło Limanowej Oddziału Partyzanckiego AK „Topór”. Zastępca dowódcy tego oddziału, por. Jerzy Wiśniewski „Sochacki”, tak pisał na temat „Johna”: „Trudno dziś ustalić, czy John był bardziej komiczny, czy bardziej odważny. Obie te cechy składały się na postać jedyną w swoim rodzaju, niepowtarzalną. [...] Dziś jeszcze widzę tę roześmianą gębę, połyskującą w słońcu miedziane włosy i zdobyczonego psa Duxa, kroczącego majestatycznie za swoim panem. [...] Wystrojony przez Johna w niemiecki hełm i zdobyty przez mnie krzyż z frontu wschodniego – tzw. Winterschlacht, Dux przyjmował naszą defiladę”. Wesoły, odważny, ze sztuczną szczęką, gdyż własne zęby stracił jeszcze przed wojną podczas jakiejś awantury – po polsku poprawnie posługiwał się tylko kilkoma przekleństwami i imionami dziewcząt, które wymawiał bezbłędnie. Wszyscy zapamiętali, jak zniknął nierzaz na kilka dni, a swoje „meliny” określał imionami żeńskimi: „Hanusia”, „Marysia” itd. „Odważa była jednak dominującą cechą Szkota – konstatawał »Sochacki« – kochał walkę, podczas której przygasały jego marzenia o dziewczętach”.

„Jubelt” był z kolei bardziej zamknięty w sobie, skryty, chociaż pod sam koniec wojny mówił już po polsku bardzo dobrze. Nie poddawał się emocjom,

był skrupulatny w wykonywaniu zadań, czym zaskarbiał sobie szacunek oficerów. Był też pod sam koniec wojny zaufanym człowiekiem dowódcy 1. pułku strzelców podhalańskich AK, mjr. Adama Stabrawy „Borowego”, który wykorzystywał go m.in. do kontaktów z innymi lotnikami przebywającymi pod opieką pułku. Pewnego dnia Brooks miał sprawdzić, w jakich warunkach oni mieszkają i czy mają jakieś oczekiwania względem AK. Po powrocie do dowództwa zameldował: „Gdy wszedłem do chaty, lotnicy siedzieli na podłodze dookoła dużej glinianej makutry. Jeden z nich tłuczkiem do ugniatania kartofli ucierał kogel-mogel z kopy jaj, inny moczył nogi w cebrzyku, po czym wytarł je szmatą, owinął nogi jedwabnymi mapami lotniczymi i włożył buty. Przywitałem się i zapytałem, jak im się powodzi. »Fucken Europe, fucken Hitler, fucken Poland« – brzmiała odpowiedź”. Gdy – zaniepokojony postawą lotników – „Borowy” zaproponował Brooksovi zamieszkanie z nimi i stopniowe wytłumaczenie im, na czym polega życie w partyzantce, ten zdecydowanie odmówił. Podkreślał, że nie chce być ich niańką i woli pozostać w dowództwie, z Polakami. Podczas kolejnej inspekcji u lotników mjr Stabrawa przypomniał im wypowiedziane przez nich słowa „fucken Poland” i stwierdził, że jeśli nie podoba im się opieka polskich partyzantów, to w każdej chwili może im przysłać przewodnika, który zaprowadzi ich do obozu jednego z oddziałów sowieckich, kwaterujących w pobliżu.

Problemy z alianckimi lotnikami dowództwo 1. pułku strzelców podhalań-

skich AK miało do końca wojny. Pisał o tym zastępca „Borowego”, rtm. Włodzimierz Budarkiewicz „Podkowa”: „W pobliżu kwatery lotników ukrywał się Volksdeutscher Freytag, syn właściciela sklepu »Nur für Deutsche« w Zakopanem. [...] Lotnicy dopadli go i zabili, zdjęli przy tym z palca złoty pierścień z brylantem. Kieszonkowe wydane na lot bojowy topniały, za pierścień mogli nabyć żywność, w tym i jaja na kolejny kogel-mogel”. Nic dziwnego, że zżyci z żołnierzami AK Duncan i Brooks nie chcieli mieć z grupą Amerykanów i Brytyjczyków wiele wspólnego.

### Sowiecka „pomoc”

Do końca wojny „Johna” i „Jubelta” wykorzystywano do różnych akcji. Uczestniczyli w likwidacjach konfidentów niemieckich, rozbijaniu posterunków żandarmerii, a w trakcie trwania „Burzy” brali udział w walkach





z Niemcami podczas ataku na stację kolejową w Kasinie Wielkiej oraz w starciach w rejonie Wiśniowej i Gruszowca. Po sformowaniu 1. psp AK przebywali czasowo przy dowództwie pułku oraz przy Komendzie Obwodu AK Limanowa. Duncan, często ubrany po cywilnemu, z krótką bronią, prznosił meldunki i – jak sam mawiał – chadzał „wygrzać się” do zaprzyjaźnionych gospodarzy. Pewnego dnia wraz z ppor. Ludwikiem Schweigerem „Siwym” zjawił się w domu lekarki współpracującej z AK. Pisał o tym rtm. „Podkowa”: „Przed domem, profilem do zbliżających się, stał niemiecki żołnierz z karabinem. W ostatniej chwili John zorientował się w niebezpieczeństwie, cofnął się parę kroków tyłem i szepnął do »Siwego« – „niemiecki, shot, shot!» (strzelaj). »Siwy« błyskawicznie wy dobył pistolet i oddał do Niemca kilka strzałów, żołnierz jęknął i upadł. Trójka wykonała zwrot do tyłu i zaczęła uciekać, za chwilę posypały się za nimi strzały. Wszyscy wyszli z przygody bez szwanku, tylko »Siwy« stracił plecak zrzucony z ramion dla ułatwienia biegu; pierwszy wiał pies »Dux«”.

Z kolei Brooks w ostatnich tygodniach wojny otrzymał zadanie wyszukania odpowiedniego lądowiska, z którego przed nadejściem frontu specjalnie przysłany samolot mógłby zabrać do Włoch zgromadzonych przy pułku Amerykanów i Brytyjczyków. Takie miejsce znaleziono i dokładne koordynaty zostały wysłane drogą radiową aliantom. Samolot jednak nigdy nie przybył i wszyscy musieli wspólnie z akowcami czekać na nadejście Armii Czerwonej, nie spodziewając się jednak niczego dobrego z jej strony.

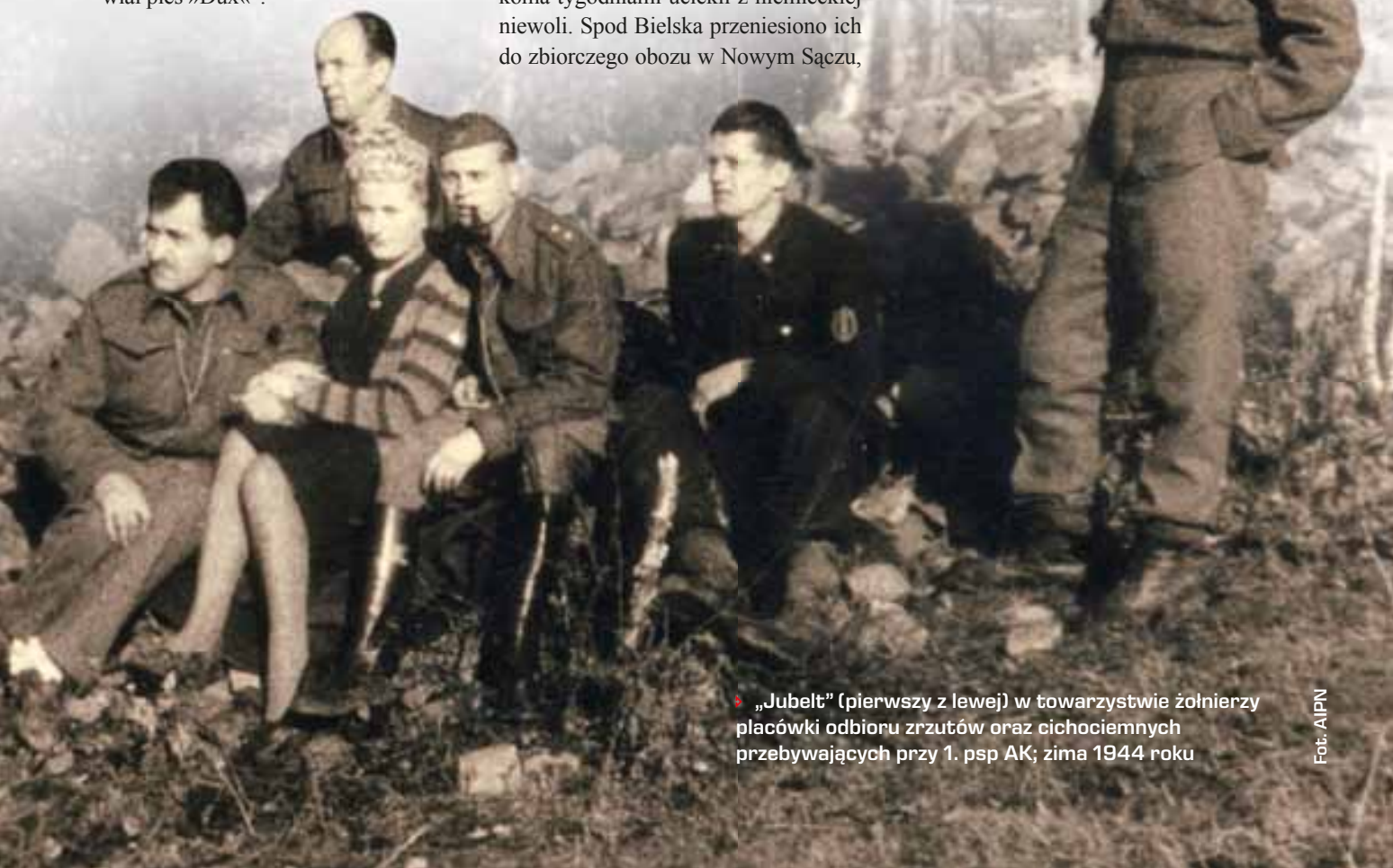
19 stycznia 1945 roku rozwiązany został 1. psp AK i wszystkich żołnierzy tej jednostki urlopowano. Brooks i Duncan w towarzystwie jeszcze jednego pilota przeczekali w górach przejście pierwszej fali wojsk sowieckich, a następnie postanowili maszerować w kierunku Warszawy. Szybko jednak zostali zatrzymani przez patrol NKWD, który przewiózł ich najpierw do Myślenic, a następnie na linię frontu w rejonie Bielska. Nie przyznali się do tego, że byli żołnierzami Armii Krajowej – wiedząc, czym to grozi, zeznawali, że dopiero przed kilkoma tygodniami uciekli z niemieckiej niewoli. Spod Bielska przeniesiono ich do zbiorczego obozu w Nowym Sączu,

gdzie spotkali pozostałych obcokrajowców znanych im z podhalańskiej AK. Wszystkich po jakimś czasie przetransportowano na wschód i przez Lwów, Kijów, Odessę, Port Said i Kair dotarli wiosną 1945 roku do Londynu.

Tam drogi dwóch przyjaciół ostatecznie się rozeszły – Brooks wrócił do Kanady, a Duncan wyjechał do rodzinnej Szkocji. Przez kolejne lata pisali do siebie, wysyłali kartki na święta. Nigdy już jednak nie odwiedzili Polski. Mimo to pamięć o tej oryginalnej dwójce, nazywanej niekiedy „syjamskimi braćmi”, do dziś przetrwała we wspomnieniach ich kolegów z AK oraz beskidzkich górali. ❀

**dr Dawid Golik** – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Krakowie

Zainteresowanych historią „Jubelta” i „Johna” odsyłamy na angielskojęzyczną stronę internetową [hubertbrooks.com](http://hubertbrooks.com), założoną przez Ralfa Brooksa, syna Huberta.



❀ „Jubelt” (pierwszy z lewej) w towarzystwie żołnierzy placówki odbioru zrzutów oraz cichociemnych przebywających przy 1. psp AK; zima 1944 roku



# Lwów: dekonstrukcja 1944–1946

**Damian Markowski**

Zajęcie Lwowa przez Armię Czerwoną w ostatnich dniach lipca 1944 roku oznaczało dla miasta znacznie więcej niż tylko powrót znanej już Polakom i Ukraińcom okupacji sowieckiej, zresztą szczerze przez większość z nich znieawidzonej. Władze Związku Sowieckiego mogły bowiem zrealizować swój plan depolonizacji Galicji Wschodniej, nie wyłączając zeń stolicy regionu. W myśl zamierzeń Stalina i Chruszczowa, miasto Lwa już nigdy nie miało być takie jak dawniej.





► Lwów w 1944 roku był jeszcze polskim miastem...

**D**ecyzje wielkich mocarstw zapadłe po myśli przywódcy ZSRS nie pozostawiały cienia wątpliwości odnośnie do przyszłego losu Lwowa: miał on „pozostać” w granicach Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, gdyż według Sowietów zachodnia granica ich państwa przebiegała (z nieznacznyymi poprawkami) jak przed 22 czerwca 1941 roku, a nie przed 1 września 1939 roku. „Problem” pozostających nadal we Lwowie Polaków miał zostać rozwiązany drogą „miękkiej” deportacji, chociaż jej późniejszy przebieg stawiał ten przymiotnik pod wielkim znakiem zapytania.

Za sprawą postanowień sowieckiego rządu, miasto miało w ciągu dwóch lat od „wyzwolenia” przeżyć swoistą transfuzję krwi – rosadę żywej tkanki tworzonej z mieszkańców, w przeważającej mierze zamieszkujących je od wieków. Przedwojenni lwowiaczy nadal stanowili większość ludności liczącej na początku sierpnia 1944 roku ok. 150 tys. osób (w tym ok. 70 proc. Polaków), mimo przesiedleń, wywózek do obozów koncentracyjnych i na roboty do Rzeszy oraz terroru obu okupantów.

Dla władz sowieckich priorytetem było wysiedlenie Polaków z terenów, do których pretensje rościł sobie Związek Sowiecki. Ich miejsce mieli zająć Ukraińcy i Rosjanie, przede wszystkim ci sprawdzeni, pochodzący ze wschodnich obwodów Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, już do pewnego stopnia ukształtowani przez

życie w Sowietach. Nieliczni lwowscy Żydzi, którym udało się przetrwać Szosah, w większości wyjeżdżali do Polski. W sierpniu 1944 roku okazało się, że ze stutysięcznej przedwojennej żydowskiej społeczności miasta pozostało zaledwie 3–4 tys. ludzi. Uratowali się głównie ci, którzy zdążyli wyjechać ze Lwowa przed utworzeniem getta, w mniejszym stopniu ci, którym pomogli polscy i ukraińscy sąsiedzi. Jedyne nieliczne i bliżej nieokreślona grupa Żydów lwowskich zdecydowała się pozostać w mieście. Pozostali stosunkowo szybko opuszczali dotychczasową ojczyznę, miejsce zagłady swych współziomków.

### Wyjechać czy pozostać?

Po raz wtóry zatem mieszkańcy Lwowa stanęli wobec perspektywy dostosowania się do systemu komunistycznego, niezważającego na prawa człowieka i wolności demokratyczne. Jedyne nieliczni zdecydowali się na otwartą walkę z bronią w rękę z państwem sowieckim, w nadziei na wybuch kolejnej wojny światowej i zwycięski marsz armii zachodnich na wschód. Inni po prostu starali się przeżyć w nowej rzeczywistości, przywdziewając w zależności od zaistniałych sytuacji rozmaite maski, ale i próbując wykorzystać wąski margines życia społecznego pozostawiony przez opresyjne państwo. Podstawowym, z czasem coraz bardziej naglącym, pytaniem pozostawała kwestia potencjalnego wyjazdu na zachód, do nowej Polski, nieznannej, ale jednak Polski.

Ekspatriacja polskich lwowian, stanowiących – na przekór długofalowym działaniom okupantów – jeszcze jesienią 1944 roku większość mieszkańców miasta, miała być pierwszym znaczącym krokiem w operacji dekonstrukcji starożytnego Lwowa. Jednym z kolejnych było dopisanie własnej wersji historii zajętych terenów, w czym Związek Sowiecki miał już spore doświadczenia. Znaczna część dotychczasowych mieszkańców miasta została wprost uznana przez szefa obwodu Iwana Samijłowycza Hruszeckiego za ludność niepożądaną. Hruszeckij jeszcze 21 czerwca 1944 roku, a zatem ponad miesiąc przed zdobyciem miasta, pisał do szefa partii bolszewickiej na Ukrainie Nikity Chruszczowa, że obwód lwowski jest „szczególnie zaśmiecony ukraińsko-niemieckimi i polskimi nacjonalistycznymi elementami i ich pomocnikami”.

Kluczem do złamania polskiego ducha oporu, przejawiającego się w zamiarze pozostania w mieście wbrew ogłoszonej „repatriacji”, było zniszczenie silnych we Lwowie struktur polskiego podziemia. Polityczne fiasko operacji „Burza” umożliwiło Sowietom przeprowadzenie aresztowań członków Polskiego Państwa Podziemnego i żołnierzy Armii Krajowej, którzy ujawnili się podczas walk z wycofującymi się Niemcami. Szczególnie dotkliwym ciosem była akcja NKWD i NKGB w nocy z 3 na 4 stycznia 1945 roku, kiedy we Lwowie aresztowano 772 osoby narodowości polskiej – przywódców życia narodo-





profesorów, 21 inżynierów, sześciu lekarzy, pięciu duchownych i trzech artystów. Uderzenie było celne i bolesne – dotknęło głównie warstwy przywódcze i elity, które trudno było zastąpić wobec ogromnych strat inteligencji lwowskiej poniesionych w latach 1939–1944.

Akcje represyjne i zastraszające, a także groźby traktowania Polaków jak obywateli ZSRS (czyli np. możliwość wcielenia ich do Armii Czerwonej), były bezwzględnie potrzebne sowieckiej władzy w celu przekonania lwowskich Polaków do wyjazdu na zachód. Represje oraz ogólny stan życia w mieście przynosiły oczekiwane rezultaty. Pułkownik Bezpieczeństwa Państwowego Griebczienko z radością odnotował w piśmie do jednego z urzędników odpowiedzialnych za ewakuację: „W związku z ostatnimi [w styczniu 1945 roku] masowymi aresztowaniami antysowieckich elementów wśród Polaków, a szczególnie wśród katolickiego duchowieństwa, wzrosła liczba podań o [zezwoleń na] wyjazd do Polski”.

### Kłęska nowych Orląt

Akcji przesiedleńczej stawiały opór funkcjonujące nadal w trudnej rzeczywistości, nieustannie tropione przez organa bezpieczeństwa struktury polskiego podziemia niepodległościowego. Żołnierze Polski Podziemnej likwidowali konfidentów, osoby szczególnie zaangażowane w akcję przesiedleńczą, aktywistów lwowskiego oddziału podporządkowanego Sowiетom Związku Patriotów Polskich; stacali potyczki z milicją i funkcjonariuszami

NKWD, utrzymywali łączność z resztą kraju i Rządem RP w Londynie. Stałi jednak na straconej pozycji w starciu z brutalnym imperium Stalina. Polskie podziemie było stopniowo rozpracowywane przez NKWD, NKGB i SMIEKSZ w ramach sprawy agenturalnej o kryptonimie „Sejm”. Od lipca 1944 do lipca 1945 roku sowieckie organa bezpieczeństwa wewnętrznego aresztowały w obwodzie lwowskim (głównie w samym Lwowie) co najmniej 1535 członków polskiego podziemia, zdobywając podczas tych akcji osiemnaście radiostacji. Pomimo desperackiego oporu i ponoszonych strat, klęska nowych Orląt lwowskich stawała się faktem.

Podsumowując operację „Sejm”, gen. lejtnant Aleksandr Woronin, naczelnik Zarządu NKGB obwodu lwowskiego, pisał pod koniec sierpnia 1945 roku: „W ciągu całego okresu [sprawozdawczego: sierpień 1944 – sierpień 1945] polskie podziemie zmieniało metody i taktykę walki z władzą sowiecką. W ostatnim czasie, w wyniku represyjnych przedsięwzięć przeprowadzonych w celu rozbicia polskich antysowieckich formacji w mieście Lwowie, ze strony dowództwa białopolskiego podziemia [tak Sowietci nazywali polskie podziemie niepodległościowe] podjęte zostały kroki, by pogłębić konspirację i pracę kontrwywiadowczą, nad ujawnieniem i likwidacją polskich patriotów, sprzyjających polskiemu Rządowi Jedności Narodowej [chodzi o zdominowany przez komunistów Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej] i lojalnie nastawionych do władzy sowieckiej. W niektórych przypadkach podziemie przeszło do bardziej aktywnych metod walki-terroru, tj. fizycznej likwidacji wymienionych osób. [...]

Po odniesieniu dotkliwych ciosów polskie podziemie stawia sobie jako jedno z podstawowych zadań przeniesienie destrukcyjnej działalności na terytorium właściwej Polski. Część dowództwa Obszaru i Okręgu Lwowskiego AK obecnie została przeniesiona do m[ia]sta Krakowa, skąd ma być kierowana wszelka działalność destrukcyjna we Lwowie i na terenie obwodu. Jednocześnie w całym okresie sprawozdawczym prowadzona jest aktywna robota w celu zerwania porozumienia lubelskiego zawartego przez PKWN z rządem USRS o przesiedleniu Polaków ze Lwowa do Polski, propagowane są idee, że Lwów będzie należał do Polski. Rozpowszechniane są rozliczne prowokacyjne wymysły i jedna z ostatnich wersji – że kwestia granic Polski i przyłączenia Lwowa zostanie rozstrzygnięta na konferencji pokojowej”.

► Sowietkie czołgi na ulicach Lwowa, lipiec 1944 roku





► Warszawa, 1945 rok; repatrianci z za Buga czekają na pociąg, który ma ich zawieźć na Ziemię Odzyskaną

Raport Woronina donosił ponadto o aresztowaniu „ponad 140 aktywnych członków nacjonalistycznej organizacji Armia Krajowa i Delegatura Rządu”, natomiast ogólny bilans operacji w odniesieniu do polskiego podziemia zamknął się rachunkiem 57 „wykrytych i zlikwidowanych polskich antysowieckich nacjonalistycznych organizacji” oraz aresztowaniem 269 osób. Niektórzy nie przetrwali bestialskiego śledztwa, inni zostali skazani na karę śmierci, część prawdopodobnie w wyniku tortur lub szantażu zgodziła się na współpracę z okupantem, jeszcze inni otrzymali wyroki skazujące na wiele lat łagrów.

Niknące nadzieje na powrót Lwowa w granice Polski, perspektywa życia w Związku Sowieckim i wszechobecna samowola nowych władz skłaniały jednak coraz liczniejszych Polaków do opuszczania rodzinnego miasta. Jesienią 1944 roku Lwów niszczał w zaskakującym tempie, domy były pozbawione ogrzewania, bieżącej wody, energii elektrycznej, ulice tonęły w śmieciach. Z czasem pojawiało się pytanie o przyszłość w coraz bardziej sowieckim mieście. Skłaniało to do podejmowania coraz częstszych decyzji o wyjeździe. Według raportu lwowskiej Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy, 20 czerwca 1945 roku we Lwowie mieszkało już ponad 300 tys. ludzi, w tym ponad

85 tys. Polaków, co świadczyłoby (zakładając autentyczność sowieckich obliczeń i przyjmując, że nie zostały one sfałszowane) o zmniejszeniu się liczby polskich mieszkańców miasta o co najmniej 15 tys. osób w ciągu 10 miesięcy.

### Inny świat

Na oczach mieszkańców Lwowa ich miasto stawało się dla nich obce. Nikt nie mógł być pewny jutra z powodu mnożących się aresztowań, a żołnierze sowieccy i funkcjonariusze służb mieli swoisty, oryginalny stosunek do własności prywatnej, pozbawiając jej osoby napotkane na ulicy, jeśli uznali to za słuszne. Równie realna była groźba wyrzucenia z mieszkania tych, którzy podlegali wyjazdowi na zachód. W myśl sowieckiego prawa lokale po Polakach były przecież wolne. Czerwonoarmiści siali popłoch na ulicach, codziennością były pobicia i gwałty, nie mówiąc już choćby o aktach wandalizmu i chamstwa przenoszonego do kin i teatrów, ochoczo odwiedzanych przez żołnierzy z uwagi na brak rozrywki, do niedawna jeszcze dostępnej dla nich w podbitych Niemczech.

Złudzeń nie pozostawiał również charakter polskojęzycznego organu lwowskiego komitetu obwodowego, „Czerwonego Sztandaru”. Na łamach tytułu polscy i ukraińscy publicyści – opłacani przez obwodowy komitet partii – ata-

kowali niepodległościowe podziemie i legalny rząd RP, przeciwstawiając jego polityce „słuszną” koncepcję sojuszu ze Związkiem Sowieckim i „aktywną walkę” z Niemcami. Za przykład może posłużyć fragment jednego z takich artykułów: „Polska wskutek polityki panów Becków została zdeptana hitlerowskim butem i pomimo strasznych doświadczeń, następny, niby już »inny« rząd w Londynie nie wziął z tego żadnej nauki. Dalej grał cieniutko, przy wtórce niemieckich, flet »niebezpieczeństwa« ze wschodu. Grała dalej ta orkiestra zgodnie, jak np. w sprawie katyńskiej, tej największej zbrodni niemieckiej. Dla zamydlenia zaś oczu powstała teza »wyczekiwania«. Niech te dwie potęgi wyczerpią się, a my przyjdziemy z kawiarni londyńskich do Polski – na gotowe. [...] Najlepsi synowie Polski i Związku Radzieckiego krwią swoją dokumentują przyjaźń, która nie jest chwilowa. Przyjaźń odwieczną słowiańską, która przez pola bitewne poprowadzi wszystkich prawdziwych Polaków do wolnej, potężnej i demokratycznej Polski”.

Jednocześnie trwała sowietyzacja szkolnictwa. Polskich pedagogów sukcesywnie zastępowano przybyłymi z głębi ZSRS kadrami nauczycielskimi, przekazującymi uczniom „odpowiednią” wykładnię nauki, marksistowskiej ideologii i bieżącej sytuacji politycznej. ►

Stopniowo usuwano także ślady „burżuazyjnej” przeszłości miasta w zakresie nazewnictwa ulic oraz „oczyszczano” sferę pamięci obecną w przestrzeni miejskiej Lwowa. U progu 1945 roku dokonano m.in. następujących zmian nazw ulic Batorego na Watutina, Sobieskiego na Komsomolską, Unii Lubelskiej na Huculską, Łyczakowskiej na Lenina, Pełczyńskiej na Dzierżyńskiego, Leona Sapiehy na Stalina; Zborowskich na Doniecką, Żółkiewskiego na Bohdana Chmielnickiego.

Zdecydowana większość władarzy miasta oraz decydentów całego obwodu przybyła do Lwowa ze wschodu, wcześniej nie mieli oni żadnego związku z miastem i regionem. Wspomniany już sekretarz obkomu KP(b)U, Iwan Hruszeckij (z pochodzenia rosyjski Żyd), pracował wcześniej w jednym ze wschodnich obwodów jako... zastępca szefa oddziału ds. kolchozów. Według stanu na 1 stycznia 1945 roku, w aparacie urzędniczo-partyjnym Lwowa pracowało 547 osób, w tym 275 Ukraińców, 175 Rosjan, 15 Żydów i 82 przedstawiciele innych narodowości, głównie Polaków. Niemal 83 proc. wspomnianych osób przybyło

ze wschodu od sierpnia 1944 roku. W radzie miejskiej zasiadało 27 osób: piętnastu Ukraińców, ośmiu Rosjan, trzech Żydów i jeden Polak. Dwie trzecie radnych przybyło z głębi ZSRS. Kolejnym zastrzykiem siły ludzkiej dla obwodu była fala zdemobilizowanych czerwonoarmistów, kierowanych na określone posady i funkcje w aparacie administracyjno-partyjnym. Tylko do czerwca 1947 roku do miasta przybyło 26 tys. byłych żołnierzy armii sowieckiej, w tym 5682 członków Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) i 1650 osób znajdujących się na stażu kandydackim. Stopniowo uruchamiany proces sowietyzacji życia społecznego i przestrzeni publicznej zataczał coraz szersze kręgi.

### Pożegnanie z miastem Lwa

Z upływem kolejnych miesięcy Polacy przekonywali się, że trzeba ułożyć sobie życie gdzieś indziej. Gasły nadzieje na wybuch nowej wojny, na powrót Polski do Lwowa, wreszcie – na powrót w miarę przynajmniej normalnego życia, pozbawionego wszechobecnej indoktrynacji, korupcji i terroru. Według informacji sowieckich, do 12 marca 1945 roku we Lwowie zarejestrowało się na wyjazd do Polski 29 919 osób, z tego wyjechały jednak zaledwie 7472 osoby. Akcja gwałtownie przybrała na sile w miesiącach letnich 1945 roku:

do 25 października na 76 849 osób zarejestrowanych na wyjazd wyjechało 40,5 tys. Dokument opisujący stan ewakuacji z 20 maja 1946 roku mówił o zarejestrowaniu 104 036 osób do wyjazdu. Wyjechać miało dotąd 62 612 osób. Prawdopodobnie do końca 1946 roku we Lwowie pozostało ok. 30–40 tys. Polaków, przez co udział osób tej narodowości został zredukowany do zaledwie kilkunastu procent ogólnej liczby mieszkańców miasta.

Lwów był zmuszony przeżyć po raz kolejny trudną próbę zmiany swego charakteru, którym szczylił się przed wojną i który nadawał mu niepowtarzalną duszę, swoisty *genius loci Leopoliensis*. Sowietyzacja kresowego miasta Rzeczypospolitej była przeprowadzana odgórnie, choć jednocześnie sprzyjała jej, nierzadko bezwiednie, znaczna część przybyszów z głębi ZSRS, masowo napływających w pierwszych latach po ponownym „wyzwoleniu”. Lwów przestał istnieć w postaci, w której funkcjonował do 1939 roku. Z konglomeratu kultur, narodowości, wyznań i idei, utworzonego trudem dziesiątków pokoleń, pozostały zgliszcza. Na ruinach dawnego „burżuazyjnego” świata miało powstać nowe miasto, industrialne, ukraińskie w formie, sowieckie w treści. „Tamten Lwów”, by użyć sformułowania Witolda Szolgińi, przeszedł do historii. ❄

► Wrocław, 1947 rok;  
Zbiory Biblioteki Zakładu  
Narodowego im. Ossolińskich  
ze Lwowa, zwrócone przez  
Bibliotekę Akademii Nauk USRS  
w 1946 roku



Damian Markowski – historyk, sowietolog,  
pracownik Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa,  
autor monografii *Plonące Kresy. Operacja „Burza”  
na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej* (2011)



▶ Aleksiej Stachanow podczas pracy, wrzesień 1935 roku

# Od Stachanowa do Pstrowskiego

Hubert Wilk

Ciągła mobilizacja była jedną z podstawowych cech komunizmu. Słowa „więcej, szybciej, lepiej” stały się bonmotami charakteryzującymi całą epokę.

**W**nocy z 30 na 31 sierpnia 1935 roku w kopalni „Centralnaja Irmينو” Donieckiego Zagłębia Węglowego Aleksiej Stachanow wydobył 102 tony węgla, przekraczając czterestokrotną dzienną normę wydobywania. Kilkanaście lat później polski górnik Wincenty Pstrowski dokonał niemal bliźniaczego czynu, a 27 lipca 1947 roku dodatkowo wezwał polskich górników do podjęcia współzawodnictwa w przekraczaniu norm wydobywania węgla kamiennego.

## „Awantura organizowana kolanem”

Próby podniesienia wydajności robotników przez współzawodnictwo były spowodowane bardzo niskim

jej poziomem. Odpowiedzialny za polską gospodarkę Hilary Minc mówił w czerwcu 1945 roku: „Mamy do czynienia ze zjawiskiem, które pobudza nas do bicia na alarm, do dzwonięcia w wielki dzwon niepokoju. Mamy do czynienia ze zjawiskiem niezmiernie niskiej wydajności”. Wtórował mu Władysław Gomułka, sekretarz generalny Polskiej Partii Robotniczej: „Jeżeli my nie rozwiążemy zagadnienia wydajności pracy, to nie rozwiążemy żadnego z zagadnień, które stoją przed nami”. Dość powiedzieć, że po zakończeniu II wojny światowej wydajność polskich robotników wynosiła zaledwie 45 proc. tego wskaźnika z 1937 roku. Wyjściem z sytuacji miało być zatem współzawodnictwo pracy.

Jednak pierwsze próby jego wprowadzenia były bardzo skromne –

w niektórych kopalniach węgla kamiennego starano się zainteresować górników zwiększeniem wydobywania, ale spotykało się to z nikłym odzewem. Większym sukcesem, choć wciąż o dość ograniczonym zasięgu, był kilkuetapowy Młodzieżowy Wyścig Pracy (zapoczątkowany wśród łódzkich włóknarzy), prowadzony w latach 1945–1948, w którym udział wzięło około 440 tys. młodych robotników. Dopiero list Pstrowskiego dał impuls do rozpoczęcia prawdziwej rywalizacji na tony węgla, metry tkaniny czy też liczbę cegieł zużytych podczas budowy. Górnicy, włóknarze, murarze, hutnicy – nie było branży, która z większym lub mniejszym zapalem nie włączyłaby się do współzawodnictwa. Kilka gałęzi przemysłu dość ostrożnie podeszło do nowej inicjatywy, jak choćby przemysł chemiczny, którego przedstawiciele pisali do władz centralnych: „Ze względu na specyficzny charakter naszego przemysłu nie przewiduje się przeprowadzenia w naszych zakładach akcji wyścigu pracy. Przeważnie w zakładach naszych robocizna w znacznej mierze uzależniona jest od samej aparatury i procesów technologicznych. Ponadto wielka różnorodność produkcji w wielu ▶

wypadkach uniemożliwia porównanie pracy między poszczególnymi zakładami”. W przemyśle spożywczym także nie prowadzono współzawodnictwa „z powodu braku możliwości”.

Dość obojętna reakcja niektórych branż na nową inicjatywę rodzi pytanie o stopień jej przygotowania. W Związku Radzieckim rekordową zmianę Stachanowa poprzedziły bardzo długie i skrupulatne procedury. Wybór właściwej osoby, naszykowanie odpowiedniego szybu, zapewnienie materiałów i pomocy – wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. W Polsce współzawodnictwo pracy co krok napotykało kolejne przeszkody. Młodzieżowy Wyścig Pracy był traktowany z nieufnością nie tylko przez robotników, lecz także instytucje. Państwowa Inspekcja Pracy wskazywała na niebezpieczeństwo zwiększenia liczby wypadków oraz niepotrzebne narażanie młodych robotników na przeciążenia. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej zalecało, aby młodzieżowych współzawodników poddawać badaniom lekarskim, a podczas akcji cały czas kontrolować ich stan zdrowia. Mieczysław Popiel z Ministerstwa Przemysłu nazwał wyścig pracy „lewacką awanturą organizowaną kolanem”. Rekordy Wincentego Pstrowskiego prawdopodobnie także zo-

► Przodownik pracy Wincenty Pstrowski, Warszawa, luty 1948 roku



Fot. PAP

stały dość dokładnie przygotowane. Jego wydajność była obserwowana przez kilka miesięcy poprzedzających lipiec 1947 roku. Chciano w ten sposób uniknąć wrażenia, że rekordowe przekroczenia norm były przypadkami jednostkowymi. Starano się udowodnić, że przy odpowiedniej organizacji pracy było możliwe „złamanie norm”.

W kolebce ruchu współzawodnictwa – Łodzi – swoje trzy grosze do rozwoju ruchu dołożyli włókniarze, a dokładniej – włóknarki. Wobec braku rąk do pracy w przemyśle włókienniczym do obsługi kilku maszyn jednocześnie przystąpiła Wanda Gościmińska wspólnie z Lidią Milczarek. „Wielowarsztatowość” wymagała jednak dobrej jakości surowca i odpowiednich maszyn. Z tego też powodu wzbudzała liczne obiekcje wśród robotnic, które często były przesuwane ze swoich stanowisk na inne, aby zwolnić krosna dla „wielowarsztatowców”. Taka polityka stała się wkrótce przyczyną niesnasek

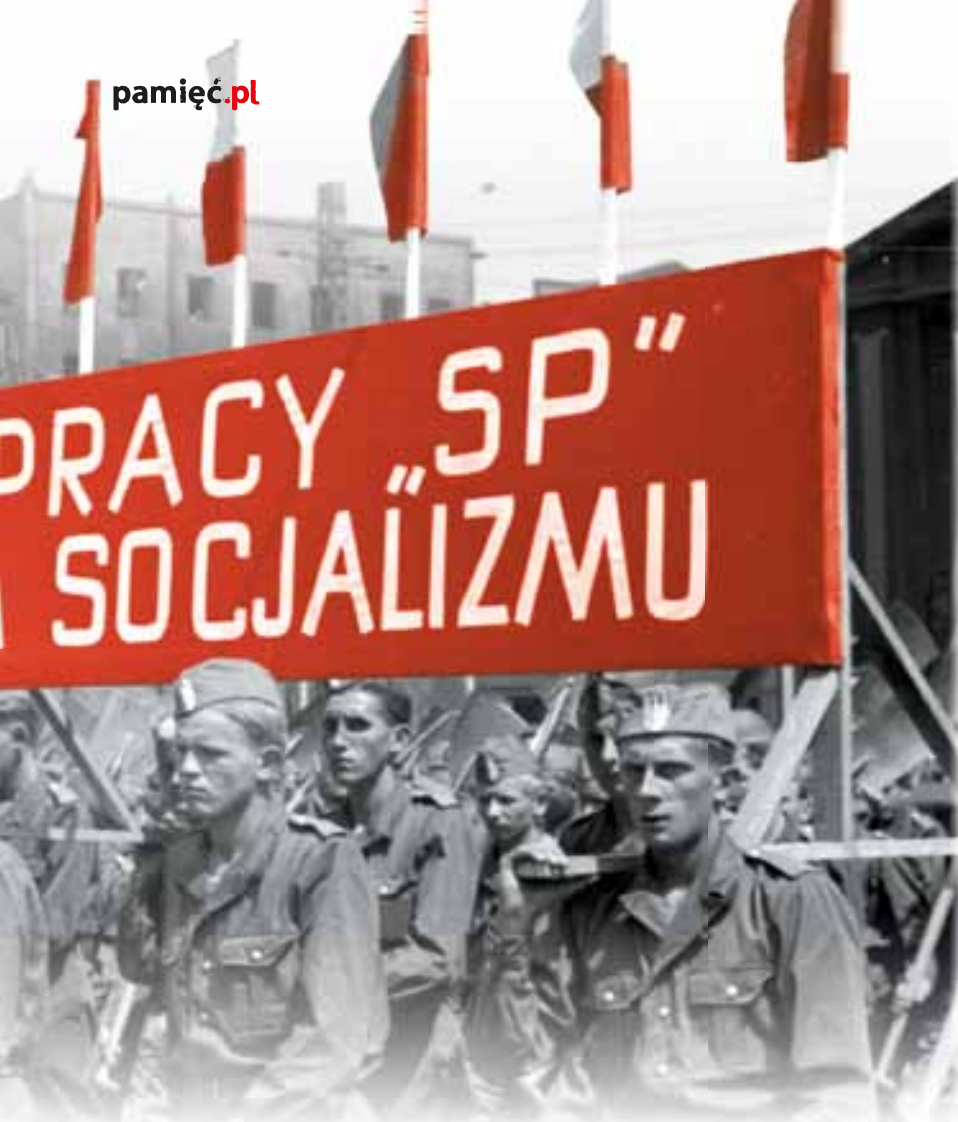
w zakładach pracy, łącznie ze strajkiem – jednym z największych w latach powojennych, bo prawie dwutygodniowym – w Państwowych Zakładach Przemysłu Bawełnianego nr 2 (dawnym „Poznańskim”). Nie powstrzymało to decydentów przed próbami przeniesienia ruchu wielowarsztatowego na inne gałęzie przemysłu, m.in. do fabryk budowy maszyn rolniczych czy maszyn elektrycznych.

### Rekord pobity, przodownik nie żyje

Radzieckie metody przeszczepione na polskie warunki dały najbardziej spektakularne efekty w budownictwie. Michał Krajewski, który pracował na budowach w Moskwie, po powrocie do kraju zainicjował słynne trójki murarskie. Pokazy murowania nowym systemem na warszawskim Mariensztacie stały się impulsem do prawdziwego wyścigu na cegły i kielnie. W ciągu kilku miesięcy 1949 roku murarze pracujący na budowach







Fot. ze zbiorów Ośrodka KARTA

► Uroczyste obchody 9. rocznicy ogłoszenia Manifestu PKWN, Stalinogród (Katowice), 22 lipca 1953 roku

całej Polski pokazali, że nie ma norm, których nie byłoby w stanie przekroczyć. Trójka Władysława Szadkowskiego w ciągu jednej zmiany wymurowała ponad 6,5 tys. cegieł. Kilka dni później rekordowy wynik wynosił już 10,6 tys. i był dziełem zespołu Andrzeja Religi. Jednak już wkrótce i ten wynik został poprawiony – na 15 059 cegieł ułożonych w ciągu ośmiogodzinnej zmiany przez trójkę murarską pracującą przy budowie Mirowa. Na tym nie koniec – w bezpośrednim pojedynku dwóch zespołów: Czesława Woźniaka i Czesława Musiała padły kolejne bariery – odpowiednio 15 588 i 15 539 cegieł. Odbudowywana z gruzów Warszawa stała się prawdziwą areną rekordów: pracujący przy budowie Ministerstwa Sprawiedliwości „włożyli 259 włączników, kontaktów i przycisków schodowych, 6 włączników hotelowych, 35 przełączników dzwonkowych obsa-

dzonych w futrynach i 36 dzwonek”, co w sumie stanowiło 1690 proc. normy. Oczywiście, bez odpowiedniego przygotowania miejsca pracy, zapewnienia odpowiednich ilości i jakości surowca wszystkie te rekordy nie mogłyby mieć miejsca.

Inicjator współzawodnictwa na polskim podwórku, Wincenty Pstrowski, nie doczekał już owej, niemal sportowej, rywalizacji. Ponad pół roku po opublikowaniu swojego listu zmarł na białaczkę. Choroba ujawniła się podczas zakładania protez zębowych. Mimo otoczenia przodownika najlepszą opieką (łącznie z konsultacjami u specjalistów z Francji) zmarł 18 kwietnia 1948 roku w Krakowie. Jego uroczysty pogrzeb zgromadził właściwie wszystkie najważniejsze osoby w państwie. Warty przy jego trumnie pełnili przodownicy pracy, ale także Edward Ochab i Aleksander Zawadzki z kierownictwa

PPR. Chociaż władze próbowały wykorzystać śmierć Pstrowskiego do wzmożenia akcji współzawodnictwa, wśród robotników pojawiły się wątpliwości odnośnie do jego wpływu na zdrowie. Już informacja o hospitalizacji górnika nasiliła falę komentarzy oraz odmów przystępowania do wyścigu w pracy (górnicy z kopalni „Silesia”: „my chcemy żyć, nie chcemy leżeć w szpitalu, jak leży Pstrowski [...] pracować będziemy, lecz precz z jakimś współzawodnictwem”). Po śmierci przodownika po zakładach pracy zaczęły krążyć rymowanki („Chcesz iść szybko na Sąd Boski? Pracuj jak Wincenty Pstrowski” czy „Wincenty Pstrowski, górnik ubogi/ wykonał normę, wyciągnął nogi”).

Pstrowski został pośmiertnie uhonorowany jednym z pierwszych orderów Budowniczego Polski Ludowej – najwyższego odznaczenia państwowego w PRL. W ten sam sposób odznaczono jeszcze m.in. górnika Franciszka Apryasa, murarza Michała Krajewskiego i włókniarkę Wandę Gościmińską.

### Wyższe normy, niższa płaca

Wysokie przekroczenia norm wywołały pytanie o ich odpowiedni poziom. W Związku Radzieckim po rekordomanii rozpętanej przez Stachanowa normy ►

► Przodownica Wanda Gościmińska, Warszawa, listopad 1949 roku



Fot. PAP

uległy rewizji (czyli podniesieniu) w ciągu pół roku. Józef Stalin na Pierwszej Wszechzwiązkowej Naradzie Stachanowców grzmiał: „Ruch stachanowski [...] stawia sobie za cel przekroczenie obecnych norm technicznych, przekroczenie zaprojektowanych potencjałów wytwórczych, przekroczenie istniejących planów i bilansów wytwórczości. Przekroczenie – dlatego że te właśnie normy są przestarzałe dla naszych czasów, dla naszych nowych ludzi. Ruch ten obala dawne poglądy na technikę, łamie dawne normy techniczne, dawne zaprojektowane potencjały wytwórcze [...] i domaga się stworzenia nowych, wyższych norm technicznych”. W Polsce normy pracy zmieniono półtora roku później – w przemyśle węglowym wzrosły o 24,4 proc, metalowym o 35 proc., włókienniczym o 30–50 proc. Kolejna rewizja została przeprowadzona w 1950 roku. Nowe normy były dużym ciosem dla współzawodnictwa. Robotnicy poczuli się oszukani, swoje niezadowolenie skierowali zaś na przodowników pracy. „Dochodziło do bójek, chuligaństwa noszącego nawet charakter terroru” – czytamy w notatce skierowanej do KC PZPR w związku z przeprowadzoną reformą norm. Wyższe normy oznaczały niejednokrotnie niższe wynagrodzenie. Obawa przed rozczarowanymi tym robotnikami powodowała pełną mobilizację służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo. Aby utrzymać porządek, imano się różnych argumentów – np. w jednej z kopalń Zagłębia Dąbrowskiego „wobec faktu niezadowolenia umiejętna propaganda wyjaśniała [...] żonie górnika, że przyczyną niskiego zarobku było ociąganie się męża w pracy. Kobiety te przyrzekały, że interesować się będą wydajnością swoich mężów, co często nosiło charakter rodzinnej groźby”.

Te wydarzenia pokazały, że wyczerpały się możliwości rozszerzania wyścigu pracy. Współzawodnictwo potrzebowało nowych impulsów. Nie sprawdziła się próba ujęcia ruchu w sztywne ramy regulaminowe (z przyznawaniem punktów za wykonywanie konkretnych prac) – szybko zatem zrezygnowano z tej formy. Inną

próbę podjęli górnicy z kopalni „Zabrze-Wschód”, którzy wezwali do podjęcia zobowiązań produkcyjnych dla uczczenia zbliżającego się Kongresu Zjednoczeniowego PPR i PPS. W owym „czynnie kongresowym”, według oficjalnych statystyk, wzięło udział ponad 12,5 tys. zakładów pracy z różnych branż i niemal 1,4 mln robotników. Składanie oficjalnych meldunków o wykonaniu podjętych zobowiązań stało się ważnym punktem państwowych celebracji. W latach późniejszych podobny rozmach towarzyszył obchodom sześćdziesiątych urodzin Bolesława Bieruta. Jak jednak wynika ze źródeł, proces podejmowania zobowiązań i przystępowania do nich był dość dokładnie przygotowany, łącznie z typowaniem fabryk, które były inicjatorami współzawodnictwa, czy harmonogramem włączania się poszczególnych zakładów pracy do akcji.

Próbowano też przeszczepić na grunt polski kolejną formę wyścigu pracy rodem z ZSRR – współzawodnictwo w stosowaniu przodujących metod pracy. Korabielnikowa, Żandarowa, Kolesow, Kowalow – te nazwiska miały stać się synonimami rewolucyjnych zmian w systemie pracy, pokazywać, że człowiek radziecki cały czas dąży do podnoszenia swojej tzw. świadomości produkcyjnej. Jednak pomimo dość dużego zaangażowania propagandy (m.in. objazd Lidii Korabielnikowej po polskich zakładach pracy) i promowania także polskich nazwisk udział robotników w tej formie współzawodnictwa był ograniczony. Sami robotnicy byli bardzo krytyczni w stosunku do nowych metod. Dla wielu nie było w nich nic „rewolucyjnego” – jeden z robotników Zakładu Produkcji Wielkich Maszyn Elektrycznych we Wrocławiu o nożu tokarskim Kolesowa powiedział, że „takim nożem [...] w Warszawie w latach trzydziestych pracował”.

### Uciążliwy rytuał

Właściwie od przełomu lat 1953 i 1954 wyścig w pracy wegetował. Liczbę współzawodniczących oraz ich przyszłe wyniki pracy włączano do planów gospodarczych, co stwarzało możliwość

wywierania odgórných nacisków. Ruch stawał się coraz bardziej sformalizowany, w praktyce ogranicza się jedynie do podpisywania listy. Nie udawało się wypracować takiej formy współzawodnictwa, która zapewniałaby sprawiedliwe porównanie wyników współzawodniczących z satysfakcjonującymi wynikami produkcyjnymi.

Jednak patrzenie na współzawodnictwo pracy jedynie przez pryzmat jego ekstensywności niewątpliwie zubaża całe zjawisko. Jeśli przyjmiemy, że wyścig w pracy był jednym z elementów tworzenia nowego człowieka komunistycznego, nowego etosu pracy, wówczas pokaże nam się ono jako dużej skali eksperyment socjologiczny, jego efekty zaś są wciąż możliwe do zaobserwowania. Przede wszystkim współzawodnictwo miało stworzyć elitę robotniczą, przodowników pracy, którzy nowymi metodami pokazywali, że nie ma granic, których świadomy człowiek radziecki nie byłby w stanie przekroczyć. Mieli, cytując Stalina, „obalać dawne poglądy na technikę, łamać dawne normy techniczne”. Przodownicy mieli być przykładem dla innych robotników: awans i nagrody we współzawodnictwie (nierzadko samochody, motocykle, mieszkania, a przede wszystkim dostęp do wielu dóbr) miały pokazać wahającym się robotnikom, co im oferuje nowa władza. Propagandowy rozgłos nadany rekordowym wynikiem czy też nowym „rewolucyjnym” metodom pracy miał wzmacniać to przekonanie.

Niestety, mimo propagandowych wysiłków władz współzawodnictwo pracy bardzo szybko stało się nic niewnoszącym rytuałem, który okazywał się ze wszech miar uciążliwy, nie tylko dla robotników, lecz także dla administracji zakładów pracy. Wydarzenia Czerwca i Października 1956 roku zakończyły ów projekt. W kolejnych dekadach współzawodnictwo funkcjonowało w zmienionych formach, jednak już nigdy nie towarzyszył mu taki rozmach, jak na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku. ❀



# Emancypacja w fabryce

Natalia Jarska

**Marks, Engels, Lenin, a z nimi – od swego zarania – ruch socjalistyczny i komunistyczny obiecali kobietom równouprawnienie. Nierówność płci marksiści postrzegali w kontekście stosunków ekonomicznych. Jak twierdził Engels, jej źródłem było pozbawienie kobiet udziału „w produkcji”. Dlatego emancypacja płci miała dokonać się przez pracę.**

**S**chemat ten został przejęty przez polskich komunistów, którzy – ugruntowawszy swoją władzę – poczęli te hasła głosić i realizować. Ideologia przyszła im z pomocą: oto w 1950 roku ruszyło wielkie przedsięwzięcie przemysłowienia Polski, czyli plan sześć-cioletni. Dziesiątki nowych fabryk i zakładów, wznoszonych z rozmachem, potrzebowały setek tysięcy nowych rąk do pracy. Przybywający do miast mieszkańcy przeludnionych wsi nie mogli zaspokoić tych potrzeb. Chwycić za kielnię i stanąć przy maszynie musiało także – jak optymistycznie zakładano – ponad milion kobiet. Tak zwana „produktywizacja” kobiet oznaczała przede wszystkim politykę zwiększania zatrudnienia, z naciskiem na zawody robotnicze. Drugim jej hasłem stało się angażowanie kobiet do prac do tej pory uznawanych za męskie (tzw. nowych zawodów), trzecim wreszcie – awans.

Przedsięwzięcie „produktywizacji” przerażało swoją skalą nawet najwyższych postawionych decydentów. Dlatego wytoczono oręż propagandy – już od początku 1949 roku prasę, nie tylko kobiecą, zalała fala wizerunków szczęśliwych robotnic, uśmiechniętych murarek, „wyemancypowanych” (również z nędzy) przodownic pracy. Reżimowa kobieca organizacja, Liga Kobiet, organizowała spotkania, na których nakłaniała kobiety do podjęcia pracy. W jednym z miast

Fot.: PAP/Jerzy Baranowski

► Traktorzystka to najczęściej przywoływany symbol stalino wskich prób emancypacji kobiet, dla wielu – zaprzeczenie tradycyjnie rozumianej kobiecości; a czym była ta praca dla kobiety z plakatu? Na zdjęciu: Magdalena Figur



o możliwościach zdobycia pracy informowano przez megafony dworcowe.

Po kilku latach realizowania tej polityki partia (a za nią centralne instytucje państwowe) wprowadziły nowe instrumenty, mające zapewnić jej większą skuteczność. Okazało się bowiem, że lokalne władze – także partyjne – nie przejęły się wystarczająco nakazami „produktywizacji”. Skarżono się na przykład na związki zawodowe, że „nie żyją zagadnieniem produktywizacji kobiet. Wykazały to ostatnie sprawozdania, w których nie ma żadnej wzmianki o pracy kobiet. [...] Tow. Lenin powiedział, że nie można sobie wyobrazić budownictwa socjalistycznego bez udziału kobiet. W praktyce jednak sprawa zupełnie inaczej się przedstawia, słowa tow. Lenina są nam dalekie”. Wobec takich problemów władze sięgnęły po bardziej zdecydowane środki. Oto – w myśl uchwały rządowej z sierpnia 1952 roku – we wszystkich gałęziach przemysłu i zakładach miało wprowadzić obowiązkowe odsetki zatrudnionych kobiet, dbać o ich szkolenie zawodowe. Innym ważnym krokiem była dokonana w 1951 roku zmiana przepisów dotyczących ochrony pracy kobiet: przede wszystkim zezwolono na zatrudnianie ich w górnictwie pod ziemią oraz na pracę nocną (to ostatnie zresztą tylko sankcjonowało stan faktyczny).

### Rewolucja w zatrudnieniu

Politykę tę można określić jako rewolucyjną. Praca zawodowa kobiet nie była wprawdzie nowością; już od kilku dziesięcioleci Polki pracowały, wiele z nich jako robotnice. W niektórych miastach – w szczególności w Łodzi – tradycje pracy robotniczej kobiet sięgały XIX wieku. A jednak zmiana, którą miał przynieść projekt stalinowski, stanowiła ilościowy i jakościowy przełom. Setki tysięcy nowych pracownic musiały rekrutować się także spośród mężatek i matek – grup do tej pory stanowiących mniejszość wśród pracujących kobiet. Dzięki zdobyciu kwalifikacji i lepiej płatnej pracy kobiety uciekłyby też od zajęć źle wynagradzanych, pogardzanych, po prostu – „kobięcych”.

Przedsięwzięcie „produktywizacji” udało się rządzącym tylko częściowo. „Sukces” miał charakter głównie ilościowy: w latach 1950–1955 pracę podjęło ponad 900 tys. kobiet, w tym niemal 400 tys. znalazło zatrudnienie w przemyśle, przeważnie jako robotnice. Nie można tego jednak przypisać szczególnemu entuzjazmowi dla ideologicznego aspektu „produktywizacji”. Większość kobiet poszła do pracy nie dlatego, że dały się przekonać aktywistkom Ligi Kobiet. Wiele musiało zarabiać na siebie, duża część także na swoje rodziny. Dziesiątki tysięcy kobiet poszukiwało pracy od dawna, wśród nich rzesze wojennych wdów. W planie sześcioletnim pojawiła się możliwość, którą wykorzystywały. Zniknęło bezrobocie, które było zmorą końca lat czterdziestych. W niektórych miejscach napływ kobiet do pracy przekraczał nawet oczekiwania i plany.

Na nowej polityce skorzystały przede wszystkim młode kobiety ze wsi. Przyjazd do szkoły przemysłowej lub wprost do fabryki dla wielu okazał się rzeczywistym awansem. Bycie robotnicą, w szczególności wykwalifikowaną, pozwalało uciec od jeszcze cięższe-



Fot. PAP/Wojciech Kondracki



go losu na wsi. Podobne doświadczenia stały się udziałem dziewcząt z biednych miejskich rodzin; przed wojną pewnie stałyby się służącymi. Skromne kilkusetzłotowe zarobki zaś – przeznaczone nieraz na pierwszą szminkę czy sukienkę – to symbol usamodzielnienia się. „Dla mnie dopiero tu zaczęło się życie. Tu wyspałam się jak człowiek w czystej pościeli. Tu najadłam się do syta. Tu po raz pierwszy ktoś zainteresował się moim kaszlem i wyleczono mnie z wszystkich chorób” – wspominała robotnica cytowana w wydanym w 1972 roku tomie *Drogi awansu w mieście. Pamiętniki*. Niektórym udzielała się atmosfera entuzjazmu i optymizmu

kreowana przez propagandę: uwierzyły, że będą budować lepszą przyszłość. Prawdopodobnie jednak większość tych świeżo upieczonych robotnic nie przejmowała się propagandą równouprawnienia, część nawet jej nie знаła.

### Drwiny i śmieszki

Pozytywne doświadczenie awansu nierazko niweczyły warunki zastane w fabryce i w miejscu zamieszkania (w hotelu robotniczym). Praca robotnika w warunkach ogromnego nacisku na wykonanie planu gospodarczego, nieliczenia się z potrzebami i możliwościami pracowników, okazywała się nieraz zbyt ciężka. Robotnice czuły się rozczarowane brakiem obiecanego szkolenia i awansu, niskimi płacami. Często więc pracę porzucali. Przyczyną odejścia bywały też szyskany, których doświadczały. W wielu fabrykach bowiem wcale nie chciano pracowników płci żeńskiej. Jak raportowały funkcjonariuszki Wydziału Kobięcego KC PZPR, kierownik jednej z warszawskich budów miał stwierdzić, że „wprawdzie przyjmuje do pracy kobiety, ale wolałyby mężczyzn, gdyż brygada kobieca wykonuje zaledwie 30 proc. normy”. Inny kierownik budowy „szykanował kobiety, namawiał innych, by kobietom dawali takie roboty, by mogły zarobić najwyżej 100 zł”.

Ze szczególną niechęcią spotkały się te robotnice, które zdecydowały się na pracę w „męskich” zawodach. Były one bardzo różne: tokarz, spawacz, murarz, ale też kierowca, maszynista czy konduktor. Robotnice, które podjęły zatrudnienie w tych specjalnościach, zwykle ceniły

► Przewodzący kobiecy zespół trójkowy w składzie Halina Betr, Stanisława Trotkiewicz i Józefa Prusińska, lata pięćdziesiąte XX wieku





► Brygadzysta Stefan Batarski nadzoruje pracę robotnicy z działu montażu parników; Suchedniowska Huta „Ludwików”, Kielce, 1947 rok

Fot. PAP

sobie swój wybór. Przypadek sprawił, że do takiej pracy trafiła też Anna Lubczyk (później Walentynowicz): „W stoczni przedstawiono mi wiele możliwości pracy, ale najbardziej imponowała mi praca spawacza w blasku płomieni, w snopach iskier”. Przyjęto ją na kurs. Wkrótce zarabiała już ponad 3 tys. zł, co było wówczas wysoką pensją.

Korzyści z podjęcia pracy w niektórych „męskich” zawodach bywały okupione znośnym szyderstwem, niesprawiedliwego traktowania, a nawet odrzucenia. W kopalni „Silesia” górnicy odmówili pracy z kobietami i wysłali je z powrotem na powierzchnię. Działaczki PZPR relacjonowały doświadczenia łódzkich robotnic, które zatrudniono jako śrubowniczki: „Pracę tą dotychczas wykonywali wyłącznie mężczyźni [...]. Początkowo utrudniali pracę tym kobietom inni śrubownicy mężczyźni, którzy zamiast pomóc, drwili i śmieszkami zniechęcali je”. Nierzadko też wykwalifikowane robotnice kierowano do prac tym kwalifikacjom nieodpowiadających. Niektóre murarki pracowały jako sprzątaczkini, cerowały odzież robotnikom.

Być może właśnie opór wobec zatrudniania kobiet w „męskich” zawodach

spowodował, że pracujących w nich robotnic było stosunkowo niewiele – raczej nie więcej niż 50 tys. Kobiety pracowały wszak dość licznie w „męskich” branżach, ale większość wykonywała prace pomocnicze, niewykwalifikowane – na przykład gońców czy sprzątaczek. W stolicy na dwieście przeszkolonych kobiet w 1952 roku tylko pięć zostało murarkami. Pracujących pod ziemią górniczek było nie więcej niż kilka tysięcy. Tymczasem ówczesna propaganda starała się stwarzać wrażenie, że kariera w „męskim” zawodzie jest dostępna i stała się udziałem bardzo wielu kobiet.

Część robotnic porzucała też swoje z trudem zdobyte stanowiska. Inne przenoszono do „łżejszych” prac, motywując to przepisami o pracach wzbronionych – i tak już zliberalizowanymi. Robotnice zatrudnione w Hucie Baildon przy dobrze płatnej, ale „męskiej” pracy zostały przeniesione na inne stanowiska, przeciw czemu protestowały, „dowodząc, że czują się na siłach pracować na równi z mężczyznami, czego dowodem jest to, że w okresie swej pracy nie miały żadnego nieszczęśliwego wypadku z tytułu zajmowanego stanowiska pracy”. Takie

argumenty zwykle jednak okazywały się bezskuteczne.

Podobnie skończyła się dla wielu robotnic przygoda z „kierowniczym stanowiskiem”. Polityka awansu zawodowego kobiet poniosła największą porażkę. Kobiety awansowano rzadko, zazwyczaj przy okazji obchodów Międzynarodowego Dnia Kobiet – 8 marca. Na trwałe zresztą stało się to częścią rytuału tego święta. Objęcie przez kobiety stanowisk dających im władzę było nie do pogodzenia z „naturalnym” porządkiem, w którym wyższe miejsca w hierarchii i władza przysługiwały mężczyznom. Awansowane robotnice były bojkotowane, co doprowadziło wiele z nich do rezygnacji ze stanowisk.

### Irena do domu?

Hasła „produktywizacji” udało się więc zrealizować tylko częściowo. Stało się tak z kilku powodów, wśród których za najważniejszy można uznać opór kulturowy. Duża część społeczeństwa nie była przekonana co do zasadności podejmowania pracy przez kobiety, zwłaszcza żony i matki. Nawet partyjni działacze okazywali się często „odporni” na propagandę równouprawnienia w wersji stalinowskiej. Przeciętnemu robotnikowi – mężczyźnie – nie mieściło się w głowie, że kobieta może pracować jako tokarz czy szofer, a już na pewno nie akceptował kobiety jako przełożonej. Uosobieniem takiej postawy jest bohater wyświetlanego w 1955 roku filmu *Irena do domu* – majster w fabryce, próbujący uniemożliwić swojej żonie podjęcie pracy zawodowej. Stosunek kobiet do różnych elementów „produktywizacji” był nieco mniej niechętny, ale to za mało, by rewolucja się udała.

Idee emancypacji i równości płci upadały jednak także w zetknięciu z prozą życia. Obiecanych żłobków i przedszkoli było wciąż jak na lekarstwo, nie mówiąc już o ilości i jakości usług, które miały odciążać kobiety w prowadzeniu domu. W połączeniu z codziennym stanieniem w kolejkach, nieraz fatalnymi warunkami życia i pracy okazywało się to dla wielu kobiet barierą nie do pokonania.



Urodzenie dziecka nieraz zmuszało je do porzucenia pracy. Na żłobek mogli liczyć rodzice zaledwie 5 proc. dzieci w miastach, na przedszkole – 19 proc. Kobiety z niewielkiego miasteczka pisały w liście do Polskiego Radia: „Taki duży miasto jak Września dla swoich kobiet nie ma pracy ani żłobka. [...] Owszem, parę kobiet pracuje, ale nie każda ma szczęście mieć matkę do piastowania dzieci, albo wcale dzieci nie mieć, a które mają, mordują się w domu i głodują razem z dziećmi”.

Nierzadko robotnice pozostawiały dzieci same w domu, zapewne nie mogąc zrezygnować z zarobków. Z wrocławskiego Paławagu, gdzie brakowało żłobka, raportowano: „W lecie jeszcze jako tako, kobieta zawija dziecko i idzie na 6 godzin do pracy”.

Planowana sieć „punktów usługowych” nie została stworzona. W zakładach pracy powstawały co prawda liczne stołówki, bufety i sklepiki (w 1954 roku działało ponad 9,5 tys. stołówek, w których żywiło się pół miliona pracowników), nie zastąpiły one jednak tradycyjnego domowego gotowania i spożywania posiłków. Problemem była nie tylko jakość serwowanych potraw, lecz także ich ceny, często za wysokie dla robotniczych kieszeni.

Wkrótce też okazało się, że kobiece ręce do pracy nie są już państwu tak bardzo potrzebne. „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść” – komentowała czytelniczka „Kobiety i Życia” w 1956 roku. Na fali politycznej odwilży lat 1955–1956 wybuchły dyskusje na temat zasadności pracy zawodowej kobiet, szczególnie mężatek i matek małych dzieci. Zbiegło się to z końcem planu sześcioletniego i wyhamowaniem wielkich akcji werbowania do pracy. Pracę zawodową kobiet kwestionowano z różnych powodów – nadmiernego obciążenia z tytułu pozazawodowych ról (dom i dzieci), autentycznego wyczerpania robotnic w stalinizmie, patologii związanych z funkcjonowaniem hoteli robotniczych (gdzie zamieszkiwały młode robotnice). Pracę kobiet uznawano nawet za nieopłacalną dla państwa albo prowadzącą do „chuligaństwa” młodzie-

ży. Hasło „Irena do domu” – zaczerpnięte ze wspomnianego filmu – znalazło się na ustach dziennikarzy, politycznych decydentów, ale i robotników. Ten klimat nieprzychylny kobietom skutkowało zwolnieniami z pracy. Zatrudnienie w zawodzie straciło też wiele robotnic wykonujących „męskie” prace. Bezskutecznie przeciw temu protestowały.

Mimo tego odwrotu od „produktywizacji” pewne jej konsekwencje okazały się trwałe. Liczba pracujących kobiet nie mogła się radykalnie zmniejszyć. Niezależnie od ideologicznej woli, kobiety musiały pracować z powodów ekonomicznych. Z tych samych powodów państwo tej pracy potrzebowało – nie mogąc na tyle podnieść płac mężczyznom, by byli w stanie sami utrzymać rodziny. Sta-

linizm wpłynął też – o czym rzadko się pamięta – na upowszechnienie się pracy kobiet w niektórych zawodach, na przykład konduktorki. To, co było już faktem, wciąż jednak kwestionowano. Robotnicy (w tym wiele robotnic) tęsknili za modelem rodziny, w której kobieta zajmuje się domem i dziećmi, mężczyzna zaś zarabia na utrzymanie. To już jednak w praktyce coraz bardziej odchodziło w przeszłość. ❀

dr Natalia Jarska – historyczka, pracownica Biura Edukacji Publicznej IPN, współredaktorka (z Janem Olszkiem) tomu *Pleć buntu. Kobiety w opozycji społecznej i opozycji w Polsce w latach 1944–1989 na tle porównawczym* (2014)

► Wanda Kostrzewa, produkująca traktorzystka w Państwowym Ośrodku Maszynowym nr 143 w Kozerkach k. Grodziska, kwiecień 1952 roku



# Orientalne saksy

Przemysław Gasztold-Seń

**W latach siedemdziesiątych władze PRL znacznie rozluźniły rygor przekraczania granic, co umożliwiło Polakom częstsze niż w poprzednich dekadach wyjazdy zagraniczne, zarówno o charakterze turystycznym, jak i zarobkowym. Polscy robotnicy i specjaliści mieli możliwość wyboru między pracą w Czechosłowacji, NRD, na Węgrzech, w ZSRR a pracą w dalekiej Afryce i na Bliskim Wschodzie.**

**W** latach siedemdziesiątych i w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych w tzw. krajach rozwijających się (Afryka i Bliski Wschód) na kontraktach indywidualnych i zbiorowych przebywało co roku ok. 30–40 tys. Polaków. Większość – w krajach arabskich, bogatych w dewizy pozyskiwane ze sprzedaży ropy naftowej. Komunistyczne władze w Warszawie utrzymywały wtedy bliskie relacje z irackim reżimem Saddama Husajna i libijską dyktaturą Mu’ammara Kaddafiego. Oba te państwa przeznaczały ogromne środki finansowe na zakup uzbrojenia w krajach bloku sowieckiego. Najwięcej broni kupowano w ZSRR, ale peerelowski przemysł zbrojeniowy nie mógł wcale narzekać. Uzbrojenie z Polski eksportowano – nie licząc krajów Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej – głównie do Iraku, Libii, Syrii i Indii. Poza zbrojeniami wpływy ze sprzedaży ropy naftowej rządy w Bagdadzie i Trypolisie wykorzystywały również do budowy infrastruktury i modernizacji gospodarki. Była to szansa dla peerelowskich przedsiębiorstw,

które skutecznie konkurowały na tamtejszych rynkach z firmami zachodnimi. Prawdopodobnie część umów zawarto dzięki odpowiedniej atmosferze politycznej, czyli „antysyjonistycznej” i antyizraelskiej polityce władz PRL.

Przedsiębiorstwa, takie jak Polservice, Polimex-Cekop, Dromex, Kopex, Centrozap, Elektrim, Navimor, Metronex czy Budimex, wygrywały kontrakty i budowały drogi, mosty, zakłady produkcyjne oraz fabryki w wielu krajach Bliskiego Wschodu. Można przewrotnie powiedzieć, że państwowe przedsiębiorstwa zbudowały w okresie PRL tysiące nowych autostrad i dróg – tyle że w Iraku i Libii. Przykładem jest Budimex, który poza granicami kraju wybudował prawie 5 tys. km dróg i autostrad wartych

ponad 1,7 mld dolarów. Polscy żołnierze szkolili libijskich pilotów i marynarzy; obsługiwali stacje radiolokacyjne i przeprowadzali remonty statków. Polscy lekarze i pielęgniarki zapewniali opiekę medyczną, architekci i geodeci przygotowywali plany architektoniczne Trypolisu i Bagdadu, inżynierowie zaś brali nawet udział w badaniach nad rozwojem libijskiego programu broni masowej zagłady.

Termin „saksy”, którym określa się zarobkowe wyjazdy do pracy sezonowej w Niemczech, gładko zaadaptowano, aby nazwać wyjazdy na Bliski Wschód. Polskich specjalistów zachęcało szczególnie wynagrodzenie, którego część była płacona w dewizach, głównie w dolarach amerykańskich, a część w złotych. Średnie zarobki w Libii w 1978 roku przeszły trzykrotnie przewyższyły miesięczne wynagrodzenie w PRL. Z kolei w 1989 roku polski lekarz pracujący w Trypolisie lub Bengazi zarabiał ok. 400 dolarów (USD) miesięcznie, czyli dwadzieścia razy więcej niż w kraju.

Wśród załóg różnych zakładów krążyły plotki i opowieści o pracownikach, którzy przywieźli z takich saksów spore pieniądze. Powodowało to duże zainteresowanie wyjazdami i czasem doprowadzało do nadużyć podczas rekrutacji kadry na wyjazd zagraniczny. Tajemnicą polisy-



► Zbudowana przez polskie przedsiębiorstwa elektrownia w Homsie w Syrii, początek lat osiemdziesiątych XX wieku





nela były stawki łapówek, jakie należało zapłacić urzędnikom za wpisanie na listę wyjazdową. Kierownictwa zakładów próbowały przeciwdziałać tym praktykom. Starano się dokładnie selekcjonować chętnych na kontrakt zagraniczny, sprawdzano ich kartoteki w archiwach Służby Bezpieczeństwa. Teoretycznie należało preferować członków PZPR, ale w praktyce mała „prowizja” zapłacona odpowiedniej osobie rozwiązywała problem braku partyjnej legitymacji. Dodajmy, że aparat bezpieczeństwa PRL starał się na miejscu kontrolować sytuację i nastroje tysięcy Polaków przy pomocy sieci tajnych współpracowników.

### Bogate odludzie

Zderzenie z arabską i afrykańską rzeczywistością było dla wielu Polaków szokiem. Nieprzyjazny, gorący lub wilgotny klimat, tropikalne choroby, bardzo wysoka temperatura powodowały, że wielu pracowników wracało do kraju przed czasem. Niektórzy nie byli w stanie przyzwyczać się do warunków panujących w tzw. campach, czyli obozach pracowniczych dla zagranicznych specjalistów. Takie campy składały się zwykle z baraków lub bungalowów i były położone najczęściej niedaleko miejsca pracy.

► I sekretarz KC PZPR Edward Gierek odznacza przywódcę Libii, płk. Mu'ammara Kaddafiego, Wielką Wstęgą Orderu Zasługi PRL; Warszawa, czerwiec 1978 roku

„Baza Centralna wyglądem przypominała miasteczko z częścią biurowo-mieszkalną, przemysłową i terenami sportowymi. Za ogrodzeniem z siatki, wokół głównego placu, stało kilkadziesiąt długich, murowanych baraków, budynek biurowy oraz kilka dyrektorskich willi. Za biurowcem znajdowała się baza sprzętu i warsztaty naprawcze. Po przeciwnej stronie wznosił się budynek socjalny ze stołówką, kuchnią, sklepikiem, świetlicą, biblioteką i dwiema salkami do gry w ping-ponga. Przed nim znajdował się basen kąpielowy, przeważnie bez wody, a za nim piaszczyste pole z dwiema bramkami, udające boisko piłkarskie. [...] Od strony drogi wzdłuż płotu rozciągało się cmentarzysko zużytych i popsutych maszyn budowlanych, dźwigów, wielkich ciężarówek i samochodów osobowych, których liczba wielokrotnie przewyższała ilość maszyn »na chodzie«” – pisał Ryszard Sługocki, dziennikarz i podróżnik, we wspomnieniach ze swojego kontraktu w Libii z połowy lat osiemdziesiątych.

Campy często były położone na pustyni, z dala od skupisk ludności tubylczej. Standard baraku odzwierciedlał

pozycję w przedsiębiorstwie, ale dzięki łapówkom można było uzyskać lepsze lokum i wyposażenie, jak np. niezbędne w tym regionie klimatyzator i lodówkę. Praca na odludziu miała służyć odizolowaniu zagranicznych pracowników i utrudnieniu im kontaktów z miejscową ludnością. Libijskie i irackie służby specjalne podejrzewały, że wśród setek polskich specjalistów znajdowali się szpiedzy zbierający informacje wywiadowcze. W latach osiemdziesiątych funkcjonariuszy miejscowego kontrwywiadu niepokoiły zwłaszcza idee wolności i niezależności reprezentowane przez NSZZ „Solidarność”, której byli członkowie także przebywali na kontraktach.

Polacy przyjeżdżający po raz pierwszy do Libii czy Iraku byli zwykle pod wrażeniem bogatego wyposażenia tamtejszych sklepów w artykuły spożywcze i elektroniczne. Coca-cola, pepsi, telewizory, radiodiodoborniki produkcji zachodniej i japońskiej – wszystko to było dostępne. „Okazją do wyrwania się za ogrodzenie były organizowane raz w tygodniu wyjazdy na zakupy, czyli – jak je nazywano – »szuftki«. Odwiedzano sklepy w małych ►

miasteczkach i wsiach, w których można było upolować niecierpiące się wzięciem u miejscowej ludności towary sprowadzane z zagranicy w okresie *prosperity*. Były to niedostępne w PRL-u prawdziwe skarby: elektryczne czajniki, zaparzaczkę do kawy, maszynki do wyrobu makaronu, aparaty do masażu – wszystko najlepszych zachodnich marek. Trafiły się też włoskie porcelanowe serwisy i komplety angielskich srebrnych lub posrebrzanych sztućców w dębowych skrzyneczkach, sprzedawane za bezcen, bo bezużyteczne. Miejscowi jedli z jednej miski, posługując się palcami” – wspominał Ryszard Sługocki.

### Marnotrawstwo do kwadratu

Wśród najbardziej niekorzystnych zjawisk na saksach trzeba wyróżnić niegospodarność,

marnotrawstwo materiałów, korupcję, poszukiwanie dodatkowych (zwykle nielegalnych) źródeł zarobku i pijaństwo.

Niegospodarność polegała najczęściej na podpisaniu niekorzystnego kontraktu, który na pierwszy rzut oka mógł oznaczać spore zyski dla firmy, ale z powodu złego zarządzania inwestycją przynosił duże straty i wymagał dodatkowych nakładów finansowych, które ponosiła centrala przedsiębiorstwa w kraju. Błąd tkwił głównie w sformułowaniach dotyczących odszkodowań za nieterminową realizację zamówienia. Część polskich przedsiębiorstw, nie mając doświadczeń z lokalną biurokracją, notorycznie przekraczała terminy ukończenia budów i w rezultacie płaciła kary liczone w setkach tysięcy dolarów.

W archiwum IPN można odnaleźć wiele spraw prowadzonych przez Służbę Bezpieczeństwa, dotyczących nieprawidłowości na budowach w krajach

szukanie dodatkowych źródeł zarobku itp. To dodatkowe zajęcia stanowią źródła dochodu pozwalające na zarobienie ponad 3 krotnie więcej, niż wynosi dzienna płacena przez "Dromex".

Największe straty na budowach "Dromexu" w Libii w latach 1983-1985 wynikały z wad w kontraktach, gdzie ustalono że prace odbierane będą przez stronę libijską w całości. W przypadku drogi o długości 113 km z miasta Barce do miasta Lamjeda ruch samochodów po niej odbywał się, gdy nawierzchnia była jeszcze nie wykonana. Całość prac zgłoszono do odbioru w 1983 r., w lipcu 1984 r. przybyła komisja, pobrano próbki i w rezultacie zakwestionowano całość pracy. Oznacza to, że "Dromex" nie otrzymał zapłaty za wykonane roboty, a tymczasem droga jest w pełni użytkowana, w tym przez ciężarki 40-60 tonowe i ciężki sprzęt wojskowy, co powoduje naturalne jej niszczenie i odsuwa tym samym szanse na uzyskanie zapłaty przez "Dromex". Aby ją otrzymać "Dromex" musiałby być konserwować nawierzchnię i pobocza drogi, uzupełniać rozkradane znaki drogowe, słupki i tablice informacyjne, naprawiać uszkodzone barierki, przejazdy, nabować piasek itp. Za wszystkie te czynności, do faktu wychodzące poza warunki kontraktu, nie będzie można już uzyskać żadnej rekompensaty finansowej. Jedyne, najprostszym i najtańszym rozwiązaniem powinno być przyjęcie w kontrakcie ustalenia, że drogi będą przez stronę libijską odbierane odcinkami o długości kilku-kilkunasto km, a do czasu ich przekazania nie powinien się na nich odbywać żaden ruch. Takie postępowanie zachodniemiejskich odpowiedników "Dromexu" powoduje, że bardzo szybko, bez strat i dodatkowych kosztów przekazuje oni wykonana przez siebie prace odbiorcom libijskim.

Innym powodem strat są błędy w projektach nie uwzględniające specyfiki terenów, przez które drogi mają przechodzić. Tak np. z powodu złej technologii, nie

► Fragment raportu MSW dotyczącego nieprawidłowości na polskich budowach w Libii w latach osiemdziesiątych

Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu. Popatrzmy na kilka przykładów. W 1970 roku Biuro Śledcze MSW przeanalizowało kontrakt na budowę osiedla mieszkaniowego w Barce (Libia). Okazało się, że skutek „niezynchronizowania dostaw materiałów” powstały nadmierne nadwyżki cementu, który – niewłaściwie składowany – uległ zniszczeniu, co przyniosło straty wysokości ok. 60 tys. USD. Dodatkowo w magazynie zmarnowało się ok. 500 ton stali zbrojeniowej i ok. 5 ton farby chloro-kauczukowej, złej jakości wyroby stolarskie nie nadawały się do wbudowania, dostarczone lampy nie odpowiadały wymogom, a na budowę skierowano osoby bez odpowiednich kwalifikacji, co powodowało opóźnienia. W 1982 roku Budimex wysłał statkiem do Libii cztery samochody ciężarowe Ził-555. Były już bardzo mocno wyeksploatowane, czego nie odnotowano w dokumentach wysyłkowych. Przez 274 dni

nikt z polskiego kierownictwa nie odebrał ich z magazynów portowych, co spowodowało koszty w wysokości ok. 168 tys. USD. Ostatecznie po zapłaceniu kary samochody i tak nie były używane na budowie. W 1983 roku Dromex musiał zapłacić ok. 225 tys. USD kary władzom irackim za nieterminowe meldowanie na policji nowych pracowników kontraktowych, a w 1986 roku Polservice zawarł niekorzystny kontrakt na budowę studni w Sudanie, który przyniósł ok. 1,7 mln marek zachodniemiejskich straty.

Skala nieudolności była prawdopodobnie wyższa niż w przypadku działalności przedsiębiorstw na terenie PRL, bo znaczna odległość od kraju utrudniała kontrolę. Korzystała z tego często kadra kierownicza budów, oszczędzając na ubezpieczeniach, warunkach mieszkaniowych, wyżywieniu, pokątnie handlując i fałszując dokumenty.

W końcu koszty ponosiła firma państwowa, a nie poszczególne osoby. „Państwowe” oznaczało „niczyje”. Zachowania kadry zarządzającej były powielane przez szeregowych pracowników, którzy niekiedy przynosili złe zwyczaje panujące w ich macierzystych zakładach na grunt bliskowschodni.

W Libii dużo możliwości okazynego zarobku mieli mechanicy samochodowi i blacharze, którzy naprawiali prywatne samochody Libijczyków. Były to głównie porozbijane auta zachodnich marek, sprowadzane w ogromnych ilościach w latach siedemdziesiątych. Wysoką pozycję w campowej hierarchii mieli kierowcy ciężarówek, którzy mogli bez przeszkód wyjeżdżać w teren, a przy okazji przewozić, odbierać lub dostarczać wszelakie dobra. Poszukiwanie dodatkowych źródeł zarobku oznaczało również przemysł różnego rodzaju mate-



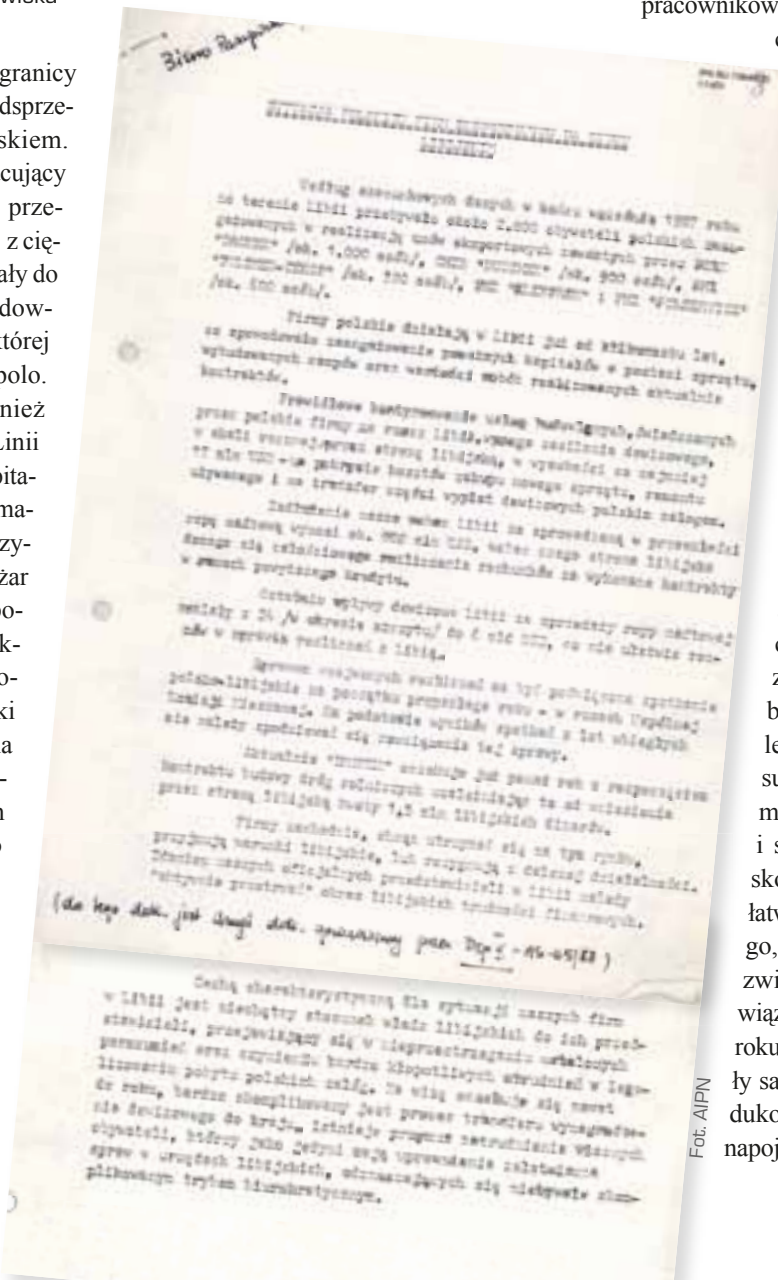
Fot. ze zbiorów Michała Sroczynskiego



► Grzybobranie było jedną z form spędzania wolnego czasu; na zdjęciu: pracownicy biurowi elektrowni w Homsie przed wejściem do baraku mieszkalnego, wczesne lata osiemdziesiąte XX wieku

riałów i artykułów z zagranicy do PRL, które później odsprzedawano z dużym zyskiem. W 1970 roku Polacy pracujący w Libii zorganizowali przemyt do Egiptu. W jednej z ciężarówek, które wyjeżdżały do Kairu po materiały budowlane, była skrytka, w której znaleziono 25 koszul polo. Posługiwano się również samolotami Polskich Linii Lotniczych „LOT”. Kapitanowie czarterowanych maszyn wielokrotnie wskazywali na nadmierny ciężar bagaży pracowników powracających z kontraktów libijskich. W samolocie lecącym do Polski w grudniu 1968 roku na 57 pasażerów przewieziono łącznie sześć ton bagażu prywatnego, co oznaczało, że statystycznie każdy zabrał ze sobą ponad 105 kg – przeszło cztery razy

► Raport Biura Paszportów MSW w sprawie działalności polskich firm w Libii



Fot. AIPN

więcej niż dopuszczają dziś przepisy.

W latach osiemdziesiątych polscy specjaliści przebywający w Libii handlowali m.in. przywiezionymi z PRL kurtkami, spodniami, zegarkami, kartami do gry, ciemnymi okularami, breloczkami ze zdjęciami kobiet i widokówkami pornograficznymi. Trzech polskich podpułkowników z bazy lotniczej w Bumbah miało nawet podejmować próby wyprawiania skór owczych zebranych na wysypisku odpadów miejscowej rzeźni, prawdopodobnie – według oficera Wojskowej Służby Wewnętrznej badającego tę sprawę – w celach handlowych.

Nielegalnym sposobom zarobkowania przysłużył się zupełny brak zainteresowania kierownictwa budów losem pracowników po zakończeniu dnia pracy. Nie przeznaczano dodatkowych środków

na działalność kulturalno-oświatową, rzadko organizowano wycieczki, więc pracownicy musieli sami sobie zagospodarowywać czas wolny. Najpopularniejszą formą rozrywki było picie alkoholu.

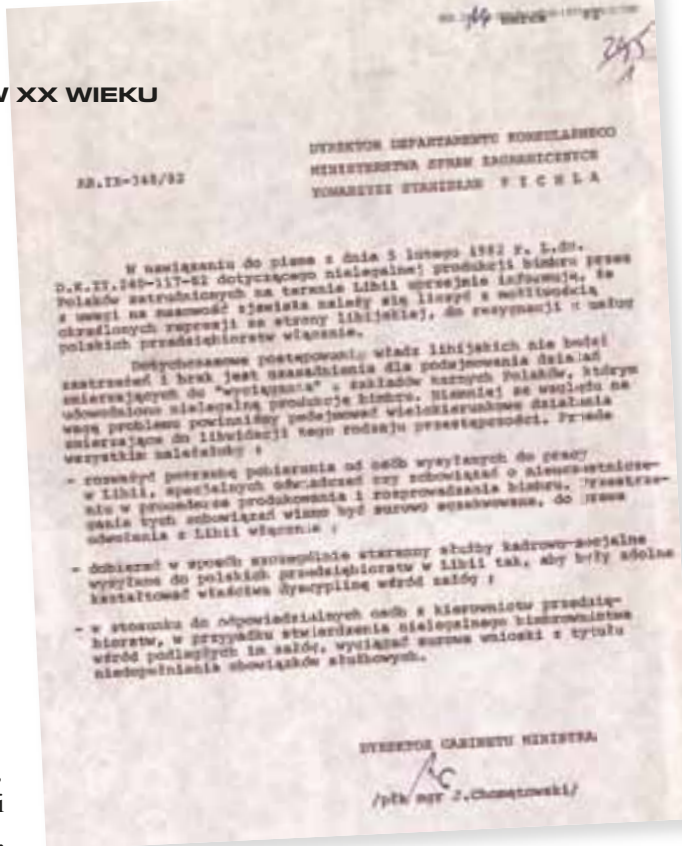
### Kanistry spirytusu

W dokumentach MSW i WSW dotyczących Polaków pracujących w krajach arabskich na kontraktach cywilnych i wojskowych zwraca uwagę duża liczba raportów na temat nielegalnej produkcji i konsumpcji alkoholu. W kraju muzułmańskim zdobycie i spożywanie trunków wysokowych nie było wcale łatwe. W państwie Kaddafiego, gdzie prawo było ściśle związane z Koranem, obowiązywała prohibicja. W 1974 roku libijskie władze zastrzyły sankcje za spożywanie, produkowanie i rozprowadzanie napojów alkoholowych. Każdy ►

muzułmanin nieprze-strzegający tych zasad podlegał karze czterdziestu batów. Dla cudzoziemców pijących alkohol w miejscu publicznym bądź znajdujących się pod jego wpływem przewidziano karę więzienia od trzech miesięcy do roku oraz grzywnę. Pozbawienie wolności groziło również za produkcję napojów alkoholowych i częstowanie nimi.

Zgodnie z powiedzeniem, że „Polak nie wielbłąd – napić się musi”, nasi rodacy znajdowali różne oryginalne sposoby, aby podolać przeciwnościom losu. Alkohol pozyskiwano z różnych źródeł.

Najprostszym sposobem był przemysł z kraju. Spirytus przywoziły w sekrecie np. rodziny pracowników. Jedną z pań odwiedzających mężów pracujących w Iraku w ramach kontraktu Polser-



► Korespondencja urzędowa dotycząca kwestii marnotrawstwa i produkcji bimbrow na terenie polskich budów w Libii

vice – Chamadex przemyciła w swojej walizce aż dwa kanistry, czyli łącznie 20 l spirytusu.

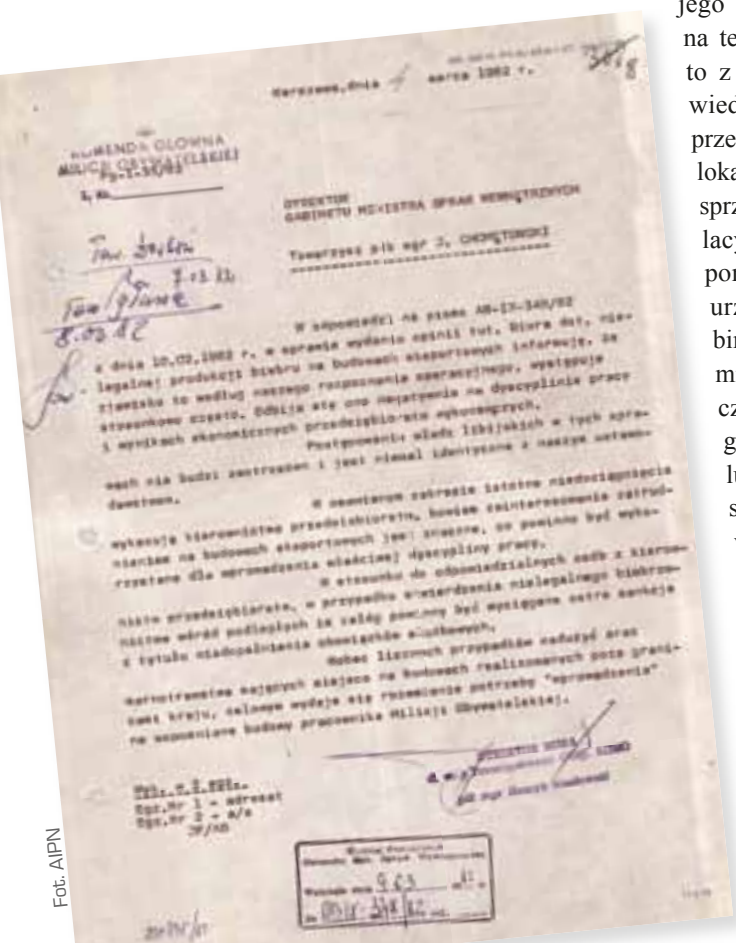
Najbardziej chyba rozpowszechnioną metodą zdobywania alkoholu była jego samodzielna produkcja na terenie campu. Zjawisko to z reguły było (za odpowiednią opłatą) tolerowane przez kierownictwo i władze lokalne, o ile alkohol nie był sprzedawany tubylcom. Polacy wykazywali się dużą pomysłowością, chowając urządzenia do produkcji bimbrow między podwójnymi ścianami, w gołębnikach czy mieszkaniach. Nielegalne destylarnie alkoholu zorganizowali również specjaliści z kontraktów wojskowych, przebywający na początku lat osiemdziesiątych w libijskich bazach lotniczych w Misuracie i Bumbah. W tym drugim ośrodku niemal wszyscy przygotowywali zacier z cukru w zbiornikach

powietrznych układu hamulcowego barakowozów, w których zamieszkiwali. Destylację prowadzono przy wykorzystaniu elementów urządzeń klimatyzacyjnych. Zdaniem tajnego współpracownika „Grzegorza”, przebywającego wówczas w Bumbah, problem nadużywania alkoholu był tematem prawie wszystkich odpraw komendy z załogą ośrodka. Alkohol sprzedawano też Libijczykom w cenie ok. 30 USD za butelkę.

Nie była to wcale wygórowana cena. W maju 1980 roku Polacy przebywający w Libii na kontraktach cywilnych sprzedawali butelkę wódki własnej produkcji 0,7 l (zwanej popularnie „cekopem”) za 15 USD.

Z kolei baniak pięciolitrowy kosztował ok. 70 USD. Władze lokalne nie zawsze przyłykały oko na nielegalne transakcje polskich specjalistów. 18 marca 1980 roku na teren campu w Mim, w którym kwaterowało 530 Polaków, wkroczyła duża grupa policji z bronią gotową do strzału. Kilku policjantów od razu udało się do miejsca, gdzie było ukryte urządzenie do produkcji samogonu i dziesięć pojemników z zacierem. Na 24 godziny aresztowano ośmiu Polaków.

Niektórzy pijani Polacy wszczynali burdy w dzielnicach mieszkaniowych. O skali alkoholowego problemu świadczy liczba. W 1982 roku libijski Mukhabarat aresztował trzydziestu Polaków, z czego siedmiu za produkcję i sprzedaż alkoholu. Z drugiej strony warto pamiętać o hucznie obchodzonych imprezach, choćby zabawach sylwestrowych, kiedy to czasami dochodziło do „braterskiej” integracji z innymi pracownikami z krajów socjalistycznych. Grupa specjalistów radiolokacji z Bengazi utrzymywała przyjacielskie kontakty z instruktorami sowieckimi, z którymi mieszkała w tym samym hotelu. Na wspólną zabawę sylwestrową w 1984 roku Rosjanie



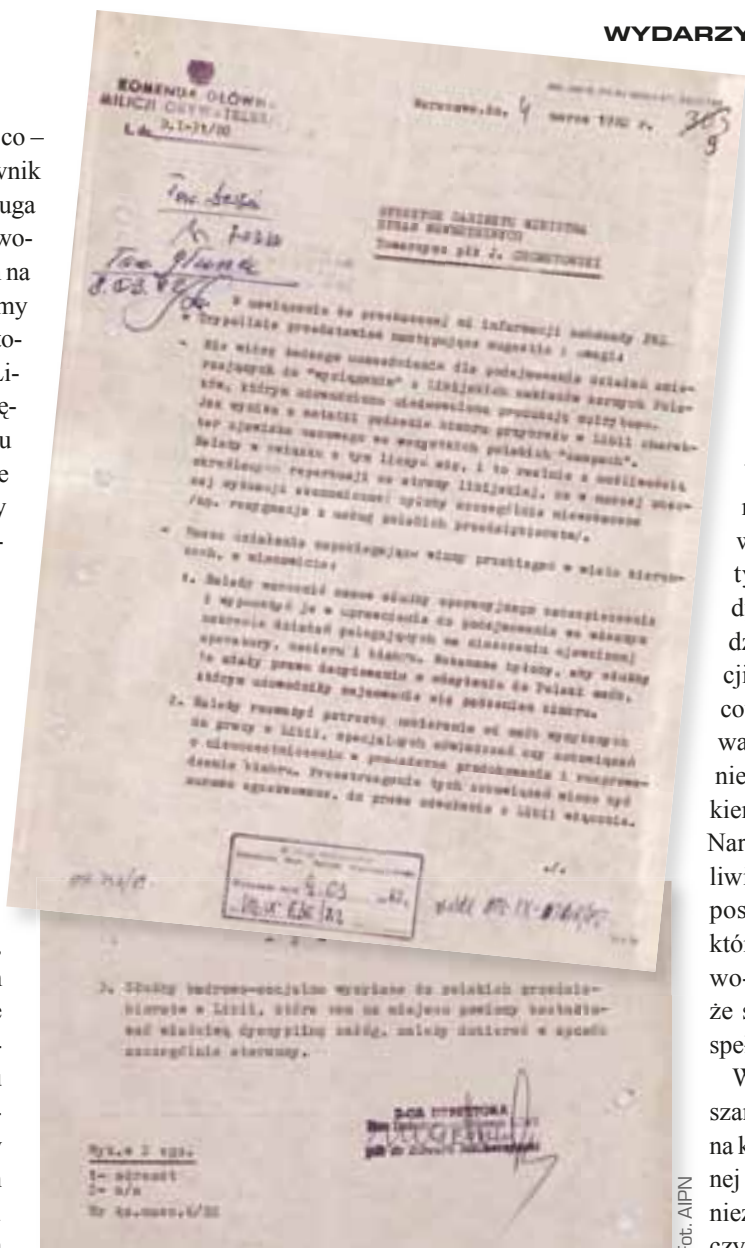


przyniesli spirytus, przez co – jak donosił współpracownik WSW „Andrzej” – „obsługa hotelowa chodziła »na czworakach« przy zamkniętym na ten okres hotelu”. Dodajmy do tego jeszcze jedną historię: Polacy pracujący w Libii postanowili ukryć narzędzia do produkcji bimbru w budynku, który właśnie kończyli stawiać. O mały włos nie doszło do skandalu międzynarodowego, gdy Libijczycy dowiedzieli się o całej sprawie. Okazało się bowiem, że polscy pracownicy zorganizowali nielegalną destylarnię alkoholu w... niedokończonym meczecie.

Nagminne pijaństwo, niesprzyjający klimat, złe warunki lokalowe, widoczne gołym okiem marnotrawstwo, drobne kradzieże, nuda i zakwaterowanie na odludziu – wszystko to negatywnie wpływało na postawy i zachowanie niektórych polskich pracowników. Specjaliści pracujący na kontraktach indywidualnych, czyli lekarze, wykładowcy na uczelniach

czy inżynierowie, przebywali z reguły w większych ośrodkach miejskich i mieli do dyspozycji własne mieszkania. Ich sytuacja była zatem o wiele lepsza.

Dawała się we znaki również rozłąka z rodziną. Niektórzy pracownicy przebywali na kontrakcie od roku do czterech lat i w tym czasie ani razu nie odwiedzali Polski ani nie brali urlopów. Wynikało to z chęci zaoszczędzenia na drogich biletach lotniczych. Najczęściej to rodziny pracowników eksportowych przyjeżdżały w krótkie odwiedziny. Długa obecność mężów i żon na obczyźnie powodowała z kolei rozpadanie się małżeństw.



► Zalecenia MSW w sprawie zwalczania nielegalnej produkcji alkoholu na campach w Libii

Fot. AIPN

### Podkopany socjalizm

Warto zwrócić uwagę na rok 1980 i powstanie Solidarności. Pracownicy z kontraktów eksportowych bacznie śledzili dynamicznie zmieniającą się sytuację w PRL. Wieść o założeniu niezależnego i samorządnego związku zawodowego szybko rozniosła się po polskich campach i od razu przystąpiono do próby zorganizowania podobnej inicjatywy na budowach zagranicznych. Zaczęły się sporadyczne strajki, na kontenerach pojawiły się solidarnościowe napisy, a wśród członków załóg zaczęły krążyć ulotki. Partyjne kierownictwa budów nie spodziewały się takiego ob-

rotu wydarzeń. Według powszechnej opinii aparatu partyjnego, pracownicy z kontraktów zagranicznych mieli być lojalni wobec PZPR, wdzięczni „ludowej” władzy za możliwość wyjazdu i sowitego zarobku. Stosowano przecież specjalne kryteria naboru na takie wyjazdy, które miały zapobiec udziałowi w nich tzw. elementów antysocjalistycznych. Wtedy okazało się jednak, jak dziurawy był system selekcji i naboru kadry. Wielu pracowników w Libii i Iraku zdawało sobie sprawę z totalnej niegospodarności i machlojek kierownictwa przedsiębiorstw. Narodziny Solidarności umożliwiły im publiczne wyrażanie postulatów, zwłaszcza tych, które dotyczyły spraw płacowo-socjalnych. Warto dodać, że spora część z nich została spełniona.

Władze peerelowskie z mieszanymi uczuciami spoglądały na kontrakty eksportowe. Z jednej strony takie inwestycje były niezwykle prestiżowe i świadczyły o możliwościach i potęgę państwa. Ponadto w latach osiemdziesiątych przynosiły milionowe dochody dla słabnącej gospodarki komunistycznej. Z drugiej strony funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa zwracali uwagę, że pobyt za granicą wpływał demoralizująco na dużą część Polaków, także na członków PZPR, którzy przestawali płacić składki partyjne. Władze obawiały się, że widok pełnych półek w libijskich i irackich sklepach oraz całkiem wysoka pensja podkopią wiarę w socjalistyczne fundamenty PRL. 🍷

**Przemysław Gasztold-Seń**  
– politolog, historyk, współautor książki *Syria during the Cold War: The East European Connection* (2013)



# Towarzysz Jaruzelski prezydentem

Robert Spalek

**Składał przysięgę w przydużym stalowo-szarym garniturze w cienkie paski. W nieodzownych, ciemnych i dawno już niemodnych okularach na nosie. Włosy na skroniach i tyle głowy zaczesał do tyłu, tak jak miał w zwyczaju. Wyglądał niemal tak samo jak na karykaturach drugiego obiegu, drukowanych w stanie wojennym. Niemal, bo nie miał na sobie munduru.**

► Wojciech Jaruzelski składa przysięgę, obejmując urząd prezydenta; obok: marszałek sejmu Mikołaj Kozakiewicz

**D**wadzieścia pięć lat temu, 19 lipca 1989 roku, Wojciech Jaruzelski został drugim, a zarazem ostatnim prezydentem Polski Ludowej (cztery dekady wcześniej ten urząd sprawował Bolesław Bierut). Jaruzelskiego poparło 270 posłów i senatorów. Przeciw głosowało 233 parlamentarzystów, 34 wstrzymało się, a siedmiu wybranych z list Solidarności z rozmysłem oddało nieważne głosy. Ci ostatni obniżyli w ten sposób kworum. Co więcej, szefostwo klubu parlamentarnego już wcześniej wysłało na przymusowe urlopy kilku reprezentantów Solidarności – zdecydowanych i nieprzejednanych przeciwników generała. Ostatecznie jedenastu parlamentarzystów z opozycji nie wzięło udziału w wyborze. Operacja się powiodła. Wymagana większość wyniosła 269 głosów za, a Jaruzelski otrzymał o jeden więcej.

Marszałek sejmu Mikołaj Kozakiewicz wspominał: „Nie przewidzieliśmy właśnie jednego, że Jaruzelskiego doprowadzą na próg niewybrania jego koalicyjni posłowie. Nieoczekiwanie wielu posłów

Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nie głosowało za nim. Prawie jedna trzecia posłów ludowych, sporo SD-ów [członków Stronnictwa Demokratycznego] opowiedziało się przeciwko niemu. Jaruzelski przeszedł naprawdę dzięki posłom i senatorom O[bywatelskiego] K[lubu] P[arlamentarnego] [zrzeszającego posłów i senatorów Solidarności] i nie jest prawdą, że to opozycja go wykosiła”.

Generał oglądał posiedzenie Zgromadzenia Narodowego w telewizji. Był tak zdenerwowany, że kilka razy wyłączył odbiornik. Kiedy do jego gabinetu w Urzędzie Rady Ministrów przyjechali marszałkowie sejmu i senatu, przywitał ich już jednak uśmiechnięty, a nawet rozluźniony. Wkrótce, we trójkę, powrócili do parlamentu – na uroczystość zaprzysiężenia. Po ceremonii, w gabinecie Kozakiewicza, Jaruzelski powiedział: „Nigdy nie piję, ale dziś napiję się”.

## Strachy na Lachy

Pięć tygodni wcześniej szef radia i telewizji Jerzy Urban oznajmił przed kamerami, że sprawa prezydentury Jaruzelskiego

została definitywnie przesądzona jeszcze podczas rozmów przy Okrągłym Stole. Urban blefował. W rzeczywistości została tam milcząco zaakceptowana przez Solidarność. Ale wtedy żadna ze stron podejmowanego kompromisu nie spodziewała się tak totalnej klęski PZPR w wyborach. Tymczasem partia 4 i 18 czerwca 1989 roku przegrała wszystkie mandaty, które były do przegrania. Potencjalna siła PZPR okazała się urojeniem i system polityczny w oczywisty sposób zaczął się rozpadać. Z punktu widzenia dotychczasowej władzy Jaruzelski musiał zatem pozostać na czele państwa jako strażnik i obrońca jej przywilejów.

Ruszyły naciski na opozycję. Kilka dni po pierwszej turze wyborów parlamentarnych minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak oświadczył abp. Bronisławowi Dąbrowskiemu, że „żaden inny prezydent nie znajdzie posłuchu w siłach bezpieczeństwa i w wojsku”. Przy innej okazji uzupełnił: jeśli prezydentem „nie zostanie Jaruzelski, rozpocznie się dramat”. Z kolei Stanisław Ciosek z kierownictwa PZPR ostrzegał:



„może dojść do krwawego zamachu stanu”, w którym ofiarami będą zarówno ludzie Jaruzelskiego, jak i liderzy Solidarności. Kolejny polityk władzy wspominał o „całkowicie realnym” buncie „młodych pułkowników”. Straszono też interwencją Moskwy, mającą bronić swego stanu posiadania w Europie. Z drugiej strony próbowano mieć liderów opozycji parlamentarnej ułatwieniem im szybkich kontaktów z Sowietami. Należy tylko wybrać generała. Wywoływano przestrach wśród hierarchii kościelnej, będącej pośrednikiem między komunistami a Solidarnością; zresztą czyniono to na wyraźne życzenie samego Jaruzelskiego, który na posiedzeniu Komitetu Centralnego PZPR nakazał „w sposób dramatyczny przedstawić sytuację”.

Dziś wielu historyków jest przekonanych, że były to jedynie strachy na Lachy, a nie realna groźba; komuniści po prostu manipulowali przeciwnikami politycznymi. Ale to, że w aparacie władzy zapanował po przegranych wyborach przejściowy marazm, że nomenklatura popadła w zniechęcenie – wiadomo dopiero dziś. Szukano winnych porażki. Narastał konflikt między administracją rządową a zwyczajowo nadrzędnymi wobec niej komórkami partii. Rwała się współpraca między wciąż funkcjonującym rządem premiera Rakowskiego a PZPR (którą nadal dowodził I sekretarz Jaruzelski). Na słabość władzy wskazywały pośrednio także badania sondażowe. W połowie lipca partię darzyło zaufaniem tylko 18 proc. społeczeństwa.

Inna sprawa, że zarówno większość nowej klasy politycznej, jak i społeczeństwa, nie były tego do końca świadome. Nie potrafiono sobie wyobrazić – przy wciąż istniejącym podziale Europy na część zachodnią i sowiecką – że dotychczasowy ustroj ostatecznie kona. Że to się dzieje. Tym bardziej nie wyobrażano sobie, że wielu i mali beneficjenci tego ustroju oddadzą swe posady i przywileje bez walki. Także i dziś niektórzy komentatorzy historyczni uważają ówczesną perspektywę za słuszną i przekonują, że próba natychmiastowego pozbawienia przywilejów oraz politycznego i karnego rozliczenia aparatu

władzy doprowadziłyby do pełnej mobilizacji i odwetu komunistów.

### Polityczne hamletyzowanie

Tak czy inaczej należy zauważyć, że całe zamieszanie irytowało Jaruzelskiego. On – generał, komunista, przez ponad dwie dekady członek najwyższych władz, autor stanu wojennego – nie był przyzwyczajony do procedur demokratycznych i swobodnej wymiany myśli. Uwłaczało mu poddawanie jego kandydatury publicznym rozważaniom i krytyce. Nagle jego polityczne winy, charakterologiczne wady i zalety stały się przedmiotem rozważań ludzi, o których losie decydował jeszcze kilka lat temu.

Co więcej, przeciwko wybraniu go na najważniejsze stanowisko w państwie zaczęły opowiadać się osoby, po których się tego nie spodziewał. Partia i jej satelici w parlamencie (SD, ZSL) dysponowali formalnie wystarczającą liczbą głosów, ale około dwudziestu posłów ZSL i SD oraz część reprezentantów PZPR groziło wstrzymaniem się od głosu albo głosowaniem przeciwko Jaruzelskiemu. Nowy parlament nieoczekiwanie bowiem stał się

► Nowo wybrany na urząd prezydenta PRL Wojciech Jaruzelski przed Zgromadzeniem Narodowym; Warszawa, 19 lipca 1989 roku

w dużym stopniu niezależny od dotychczasowych decydentów z PZPR. Tym samym Jaruzelski był zdany na łaskę i niełaskę niedawnych wrogów – wybrańców Solidarności.

Sytuacja się komplikowała, bo generał nie wyobrażał sobie firmowania swoim nazwiskiem kolejnej publicznej porażki. ►



Pierwszą był oczywiście wspomniany pogrom partii w wyborach, w tym przede wszystkim przepadek pezetpeerowskiej elity umieszczonej na tzw. liście krajowej (byli tam także dygnitarze ZSL i SD) – odrzuconej niemal w całości przez wyborców. Była to chyba największa oficjalna porażka komunistów od początku ich rządów w Polsce. Dlatego generał domagał się zapewnienia, że Zgromadzenie Narodowe udzieli mu możliwie najszerzego poparcia. Deklarował, że w przeciwnym razie, jeśli ma „przezołgać się” do prezydentury, to się wycofa.

I tak zrobił. Pod koniec czerwca oświadczył, że rezygnuje z kandydowania. Jedni mówią, że Jaruzelski szarżował i grał, bo w rzeczywistości, posługując się tym blefem, sprawdzał faktyczny stan posiadania „szabel”; inni wierzą, że naprawdę złąkł się przegranej. Wśród członków establishmentu, aparatu partyjnego i kadry bezpieczeństwa wzmógł się niepokój, bo – jak mniemali – poddał się gwarant ich stanu posiadania. Generał scedował swoje poparcie na Kiszczaka – szefa bezpieczeństwa, który kilka miesięcy wcześniej oficjalnie kierował rozmowami Okrągłego Stołu ze strony komunistów. Niby Kiszczak miał być łatwiejszy do przelknięcia dla Solidarności, właśnie dlatego że z jej liderami przeprowadził wiele rozmów towarzyszących zawieraniem kompromisowi. Ruch był jednak chybiony i stało się odwrotnie – wskazanie na Kiszczaka powszechnie odebrano jako straszenie i zaostrenie działań przez PZPR.

Do tego pozycja Kiszczaka w aparacie partyjnym była raczej słaba. Aby ją wzmocnić, powołano specjalną grupę promującą ministra spraw wewnętrznych. W jej skład weszli Józef Czyrek, Ireneusz Sekuła i Aleksander Kwaśniewski. Jak wspominała jedna z osób z najbliższego kręgu Kiszczaka, „to była zupełna parodia”, bo w praktyce „nikt ich nie słuchał i nie mieli żadnych możliwości”. Zresztą zamiast promować nowego kandydata, głowili się raczej, jak ponownie nakłonić Jaruzelskiego do prezydentury. A kiedy współpracownik Kiszczaka referował Czyrkowi, że „wszystko się wali”, ten podłubał w nosie, wstał i oznajmił: „No,

towarzyszu, z tego, co wy mówicie, wynika, że my tracimy władzę. A popatrzcie...” – otworzył drzwi własnego gabinetu, za którymi w oddali stało biurko i konsola z telefonami – „Popatrzcie! Widzicie? Telefon? – Stoi! Drzwi? – Są! I kto nam władzę odbiera?!”.

Przy takim podejściu do rzeczywistości Czyrek nie zdołał wypromować gen. Kiszczaka, a Jaruzelski wystraszył własne zaplecze. Ten strach wzbudził zwrotną falę poparcia. Kolejne szczeb-

dacji Jaruzelskiemu udzielił także prezydent Francji François Mitterrand. Kropkę nad i postawił zaś prezydent USA George Bush, który 9 lipca zawitał na czterdzieści godzin do Warszawy. O Jaruzelskim wyrażał się z uznaniem. Zamiast trzydziestu minut, rozmawiał z nim dwie i pół godziny. Ponoć go polubił, a swoim doradcom przedstawiał go jako „człowieka z klasą”. Najważniejsze było to, że amerykański prezydent uznał Jaruzelskiego za „gwaranta stabilności”, który studzi



Fot. PAP/CAF/Damazy Kwiatkowski

► Prezydent Jaruzelski wita się z wicepremierem i ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Mazowieckiego, Czesławem Kiszczakiem; wcześniej Jaruzelski forsował kandydaturę Kiszczaka na prezydenta i premiera, to jednak okazało się nie do zaakceptowania przez Solidarność

le i komórki partyjne zaczęły – ale tym razem już zdecydowanie – wspierać Jaruzelskiego. A kiedy poparcia udzielił generałowi także KC PZPR, wówczas jego nadwątlona reputacja została w jakiejś mierze odbudowana. Potwierdzono jego przywództwo.

### Generale, prosimy

Sytuacja Jaruzelskiego polepszyła się diametralnie po 7 lipca, kiedy to spotkał się w Bukareszcie z sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego Michaiłem Gorbaczowem. Gensek nakłaniał go gorąco do kandydowania, nie widząc alternatywy. Prośbę ponawiał potem telefonicznie. Należy pamiętać, że w połowie czerwca rekomen-

nastroje odwetowe aparatu partyjnego, bezpieczeństwa i kadry oficerów wojska.

Jaruzelski krygował się przed gospodarzem Białego Domu, że nie potrafiłby zaakceptować porażki, a bez poparcia Solidarności nie uzyska koniecznej liczby głosów itp. Bush z kolei mu kadził. Wychwalał jego patriotyzm (co w ustach prezydenta Stanów Zjednoczonych, które przez pół wieku walczyły z dominacją komunistyczną w tej części Europy, musiało brzmieć naprawdę groteskowo), mówił o doniosłej roli Jaruzelskiego w transformacji państwa.

Część tych opinii przedostała się natychmiast do wiadomości publicznej. Postawa Busha wywołała rozczarowa-



nie i złość wielu członków Solidarności. Kiedy dodatkowo okazało się, że amerykańska pomoc finansowa dla Polski będzie o wiele mniejsza, niż oczekiwano, politycy opozycji i komuniści byli po prostu wściekli. Podczas przemówienia Busha w sejmie panowało wymowne milczenie. Przewodniczący Solidarności, Lech Wałęsa, na osobnym spotkaniu z nim też nie ukrywał złości.

### Ambasador kreśli na pudełku

Dziś już wiemy, że rozstrzygający wpływ na przekonanie grupy posłów i senatorów Solidarności do głosowania na Jaruzelskiego wywarł kilka tygodni wcześniej ambasador amerykański John Davis. W tajnej depeszy z 23 czerwca 1989 roku, wysłanej do Waszyngtonu, relacjonował: „Wczoraj wieczorem zjadłem obiad w towarzystwie kilku czołowych parlamentarzystów Solidarności, których nazwiska nie powinny zostać ujawnione, i pokrótce wynotowałem dla nich na odwrocie pudełka zapalek kilka liczb. Wprowadziłem ich również w arkana zachodniej praktyki politycznej znanej jako »liczenie głów«”. Słowem, poinstruował ich praktycznie, jak nieobecność części parlamentarzystów może zapewnić kworum wymagane do wyboru prezydenta.

Davis pisał, że liderzy opozycji uważają osadzenie Jaruzelskiego w Belwederze za nieuniknione i niezbędne. Ponoć bali się – jak czytamy w depeszy – „wojny domowej, która skończyłaby się, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, podjętą niechętnie, ale brutalną interwencją radziecką”. Zarazem parlamentarzyści Solidarności nie zamierzali się aktywnie do tego wyboru przyczynić. Chcieli wyjść z impasu z twarzą, tym bardziej że podczas kampanii wyborczej zarzekali się publicznie, że nie będą głosować na Jaruzelskiego. Wielu z nich zresztą autentycznie nie wyobrażało sobie głosowania na dyktatora, który wtrącał opozycjonistów do więzień, szykanował ich, a w konsekwencji zniszczył wielu ludziom życie rodzinne i zawodowe. Miał też na sumieniu około stu ofiar zabitych przez aparat represji PRL od momentu wprowadzenia stanu wojennego.

Amerykański ambasador poinstruował więc czwórkę gości, niemających jeszcze doświadczenia w parlamentarnej arytmetyce, jak z sukcesem przeprowadzić niechcianą, a zarazem – zdaniem wielu – konieczną operację. Ci „na odchodnym stwierdzili, że wyliczenia były naprawdę interesujące”. Wyłożenie liderom Solidarności tej sztuczki przekraczało granicę oficjalnej dyplomacji, ale Waszyngton w tamtych dniach jednoznacznie zalecał swoim urzędnikom podtrzymywanie dialogu między opozycją a komunistami, przypominając, że należy to do bieżących priorytetów amerykańskiej polityki.

### Głosowanie, upokorzenie, wybór

17 lipca Jaruzelski postanowił ostatecznie kandydować na prezydenta. Tego dnia spotkał się z Obywatelskim Klubem Parlamentarnym. Spotkanie trwało kilka godzin. Całe jego wystąpienie miało charakter pojednawczy; generał próbował pokazać nową, bardziej osobistą twarz. Opowiedział m.in. o losach swojej ziemiańskiej rodziny, wracał do lat młodości. Mimochodem rzucił też posłom opozycji rękawicę, gdy powiedział: „Nie żałuję 13 grudnia, [bo] naciśnięcie na hamulec ratuje czasem przed katastrofą. Gdyby nie 13 grudnia, tego grona nie byłoby dziś

w sejmie i senacie”. Była to interpretacja – delikatnie mówiąc – kontrowersyjna i subiektywna. Mimo to Jaruzelski zyskał ostatecznie względne poparcie OKP. Precyzując: następnego dnia na ożywionym zebraniu zrezygnowano z przyjęcia wniosku o dyscyplinie głosowania przeciwko generałowi. W ten sposób stworzono możliwość faktycznego poparcia go poprzez formalne zaniechanie. Postępując tak, liderzy Solidarności nie chcieli zaprzepaścić okrągłostołowego porządku; jego wywrócenie mogłoby się zakończyć – jak przekonywano – krwawą rewoltą na ulicy, ale także (i o tym mówiono mniej) koniecznością dopuszczenia do władzy kolejnych środowisk opozycyjnych; takich, które od początku kontestowały porozumienie z komunistami.

Głosowanie 19 lipca było jawne. W ten sposób zneutralizowano osoby zbyt przestraszone i niezdolne do otwartego wyrażenia sprzeciwu wobec bezalternatywnego wyboru głowy państwa. Po zliczeniu kart okazało się, że wstrzymało się bądź zagłosowało przeciwko Jaruzelskiemu 25 posłów z ZSL, SD i PZPR. Decydujące znacznie miał więc już wspomniany unik opozycji. Ostatecznie Jaruzelski przeszedł jednym głosem ponad wymagane minimum. Ale ▶



Fot. PAP / CAF / Damazy Kwiatkowski

▶ Gdynia, uroczystości siedemdziesięciolecia zaślubin Polski z morzem, 1990 rok

Fot. PAP/CAF/Damazy Kwiatkowski



► „Wasz prezydent, nasz premier” – postulował Adam Michnik na łamach „Gazety Wyborczej” z 3 lipca 1989 roku; na zdjęciu – prezydent PRL Wojciech Jaruzelski i niekomunistyczny szef rządu Tadeusz Mazowiecki w dwa dni po zatwierdzeniu nowego gabinetu; Warszawa, 14 września 1989 roku

i to nie było jednoznaczne. Po zakończeniu procedury na mównicę wszedł Jan Rokita i podał w wątpliwość metodę wyliczenia większości. Przeprowadził inne wyliczenie, z którego wynikało, że Jaruzelskiemu zabrakło... pół głosu. Rozpoczęła się debata. Do przedstawiania kolejnych interpretacji i ekspertyz zabrali się prawnicy. Ostatecznie więc transmitowany przez radio i telewizję wybór trwał ponad sześć godzin. To nie był triumf, lecz upokorzenie generała.

Wojciech Jaruzelski nie zdobył tym samym nowej, autentycznej legitymizacji. Zdobył natomiast przyzółek władzy, ale ten – mimo szerokich uprawnień przysługujących wówczas głowie państwa – okazał się nieistotny. Można nawet powiedzieć: prezydent niezauważenie wjechał na bocznicę. Oprócz tego dotychczasowi pezetpeerowcy już wkrótce przemianowali się na socjaldemokratów. Zamieniono sztandary, a miejsca przywódcze w odnowionej partii (Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej) zajęli ludzie, którzy przed Okrągłym Stołem dopiero zaczynali brać udział w najważniejszych procesach decyzyjnych. Byli znacznie młodszy od Jaruzelskiego, Kiszczaka, Rakowskiego. Zatrzymali cztery lata później, wygrywając w 1993 roku – tym razem w pełni demokratyczne – wybory parlamentarne.

### Półtora roku w Belwederze

Początkowo Jaruzelski próbował się odegrać i wywalczyć dla towarzyszy partyjnych jak największą pulę realnej władzy. Zaraz po wyborze zaczął zabiegać o usadowienie Kiszczaka na stolcu premiera. Mianował go nawet na to stanowisko. Dla solidarnościowców przewidywał natomiast raczej rolę „kozła ofiarnego”. Mieli skorzystać z platformy przygotowanej przez PZPR: objąć ministerstwa drugoplanowe z punktu widzenia utrzymania władzy politycznej (budownictwo, zdrowie, przemysł) i ściągnąć na siebie niezadowolone społeczne wynikające z katastrofy gospodarczej. „Związek musi dopiero dorosnąć do władzy” – tak Jaruzelski urabiał Lecha Wałęsę. Ostatecznie przez ponad trzy tygodnie szef bezpieczeństwa gen. Kiszczak próbował sformować gabinet. Nic z tego nie wyszło. Wałęsa – wciąż jeszcze głos ludu i elity solidarnościowej – nie dał mu ostatecznie swojego *placet*. A Jaruzelski poza Kiszczakiem nie znalazł innego zaufanego kandydata. Zgodził się więc na premiera z przeciwnego obozu. 19 sierpnia powierzył reprezentantowi Solidarności Tadeuszowi Mazowieckiemu (co ciekawe, do niedawna niechętnemu przejęciu władzy) misję tworzenia rządu. W konsekwencji w niespełna miesiąc później, po raz pierwszy w bloku sowieckim, po-

wołano gabinet, na którego czele stanął antykomunista i katolik.

Odtąd prezydent Jaruzelski funkcjonował raczej w cieniu innych aktorów politycznych. Już nie podkreślał swojego rodowodu ideologicznego (pod koniec lipca ustąpił ze stanowiska szefa PZPR). Wręcz odwrotnie. Białe plamy jego życiorysu zaczęły się wypełniać informacjami dotychczas nieznanymi albo mało znanymi: że pochodził z rodziny ziemiańskiej, że uczył się w gimnazjum marianów, że przeżył zsyłkę na Syberię. Był koncyliacyjny, a nawet ustepliwy wobec propozycji rządu Mazowieckiego. Otwarty na spotkania z liderami parlamentarnej reprezentacji solidarnościowej. Podpisywał przedkładane mu dokumenty; nie wetował reform i zmian ustrojowych. Ostatecznie zgodził się także – po pewnym oporze – na zniesienie komunistycznego święta 22 Lipca, a więc na degradację „mitu założycielskiego” Polski Ludowej. Ponadto m.in. uchylił uchwałę z lipca 1974 roku dotyczącą nadania Leonidowi Breżniewowi Krzyża Wielkiego Orderu Virtuti Militari, a także pojechał pod pomnik polskich żołnierzy walczących pod Monte Cassino i złożył tam kwiaty (nie zatrzymał się jednak przy grobie gen. Andersa). Wydał się coraz bardziej samotny. Rakowski napisał, że już kilka miesięcy wcześniej sprawiał wrażenie człowieka pogrążonego w depresji, czasem przestraszonego.

Z inicjatywy partii Jarosława Kaczyńskiego Porozumienie Centrum po roku od wyboru Jaruzelskiego zaczęto zbierać w parlamencie głosy z apelem o jego ustąpienie. 22 grudnia 1990 roku generał opuścił Belweder. Ze sceny politycznej schodził już jako prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, nazwa Polska Rzeczpospolita Ludowa przestała bowiem obowiązywać 31 grudnia 1989 roku. Nie został zaproszony na uroczystość zaprzysiężenia nowego prezydenta – Lecha Wałęsę, wybranego w wyborach powszechnych. Na wyraźne polecenie Wałęsę zresztą. Generał mógł to zignorować. Ale powiedział, że nie chce psuć nastroju. 🇵🇱

dr Robert Spalek – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie



# Komuniści kontra pielgrzymi

Jakub Gołębiewski

**Od czasu Ślubów Jasnogórskich z 1956 roku ruch pielgrzymkowy do Częstochowy systematycznie się rozwijał, aby osiągnąć apogeum po wyborze Polaka na papieża. Władze komunistyczne starały się ten ruch zwalczać, stosując różne metody – od esbeckich prowokacji po przebudowę miasta.**

**26** sierpnia 1956 roku ponad milion pielgrzymów przybyło na uroczystości na Jasnej Górze w Częstochowie. Tłum wiernych złożył ślubowanie, zobowiązując się m.in. do wytrwania w wierze katolickiej, obrony wartości i do zwalczania wad narodowych. Tekst Ślubów Jasnogórskich, ułożony przez interno-

wanego w Komańczy prymasa Stefana Wyszyńskiego i potajemnie przewieziony na Jasną Górę, rozpowszechniono w parafiach w całej Polsce. Dzięki temu, dwa miesiące po masakrze poznańskiego Czerwca, mimo prześladowań okresu stalinizmu, na Jasnej Górze doszło do największego masowego udziału ludności w uroczystościach religijnych. Pielgrzymki na Jasną Górę stały się alternatywą dla ateizacji

narzucanej przez komunistyczne państwo i stanowiły manifestację przywiązania do wolności.

## Zniszczyć gniazdo szerszeni

Po przemianach Października 1956 roku władze komunistyczne zniosły część przepisów godzących w wolność Kościoła, a wygnani i uwięzieni biskupi – wśród nich kard. Wyszyński – mogli powrócić do swoich diecezji. Nowa ekipa rządząca – z I sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Władysławem Gomułką na czele – wciąż była w niełatwej, ▶



▶ Pielgrzymi w drodze na Jasną Górę; 1985 rok

niepewnej sytuacji politycznej. Wydawało się więc, że władzom będzie zależeć na poparciu katolickiego społeczeństwa, a tym samym wierzący uzyskają więcej swobód. Szczególne znaczenie dla pracy i działalności Kościoła miało przywrócenie do istnienia wydawnictw katolickich, o co usilnie zabiegali biskupi w rozmowach z rządem. 3 maja 1957 roku kard. Stefan Wyszyński powołał Instytut Prymasowski Ślubów Narodu z siedzibą na Jasnej Górze, którego zadaniem było wydawanie publikacji religijnych oraz pomoc przy wprowadzaniu programu Wielkiej Nowenny – dziewięcioletniego przygotowania do obchodów Milenium Chrztu Polski. Komuniści nie zamierzali jednak zezwolić Kościołowi na swobodną działalność, a początkowe ustępstwa miały charakter jedynie taktyczny.

21 lipca 1958 roku, w przeddzień komunistycznego Święta Odrodzenia Polski, funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa włamali się do pomieszczeń zajmowanych na Jasnej Górze przez Instytut Prymasowski. Bezpieka zarekwirowała wówczas powielone teksty modlitw i druki duszpasterskie, na które instytut uzyskał wcześniej zezwolenie urzędu cenzury. W konsekwencji doszło do zamieszek na terenie sanktuarium jasnogórskiego i klasztoru ojców paulinów – pielgrzymi nie chcieli dopuścić do zajęcia przez SB mienia kościelnego. Esbekom zablokowanym w pomieszczeniach Instytutu Prymasowskiego przez wzburzonych pątników przybył na pomoc pluton ZOMO. Milicja biciem rozpedziła zgromadzony tłum; uciekających łapano i wywożono z Jasnej Góry. Sprawa miała dalszy ciąg przed Sądem Wojewódzkim w Katowicach, gdzie oskarżono paulinów i pracowników wydawnictwa o prowokowanie zamieszek i nielegalny druk tekstów religijnych. W tym pierwszym starciu z pielgrzymami jasnogórskimi górą były wprawdzie SB i milicja, jednak władze nie spodziewały się tak wielkiego oporu. W złamaniu monopolu wydawniczego komuniści widzieli zagrożenie nie tylko dla swojego prestiżu, lecz także

dla idei Polski bez Kościoła i bez wierzących. „Trzeba zniszczyć to gniazdo szerszeni” – stwierdził jeden z esbeków podczas rewizji.

### Przeciwko „impromom częstochowskim”

Działania władz przeciwko pielgrzymom i Jasnej Górze zaczęły wkrótce przybierać coraz bardziej represyjne formy. W 1962 roku powstał Departament IV MSW – specjalna jednostka Służby Bezpieczeństwa przeznaczona do walki z Kościołem. Jej lokalne struktury – wydziały czwarte w komendach wojewódzkich MO (Częstochowa podlegała Wydziałowi IV KW MO w Katowicach) – miały za zadanie inwigilować pielgrzymów i przeciwdziałać wpływowi Kościoła na społeczeństwo. Przykładów takiej działalności dostarczają materiały SB dotyczące rozpracowywania pielgrzymek tzw. stanowych, czyli organizowanych z myślą o poszczególnych grupach społecznych lub zawodowych, przybywających na Jasną Górę w ramach programu Wielkiej Nowenny. Bezpieka zbierała materiały dotyczące uczestników pielgrzymki, inwigilowała organizatorów i duszpasterzy, dochodziło również do prób zastraszania pielgrzymów. Wiedzę o uczestnikach pielgrzymki bezpieka nabywała również dzięki osobowym źródłom informacji. Do władz docierały niepokojące – z punktu widzenia komunistów – raporty SB, że np. w środowisku lekarzy rozpowszechnia się broszury dotyczące ochrony życia, a wśród prawników – kazania i wypowiedzi prymasa Wyszyńskiego o odpowiedzialności i sprawiedliwości społecznej. Skrupulatnie odnotowywano liczbę uczestników każdej takiej pielgrzymki; udział w nich traktowano niemal jako zdradę świeckiego państwa.

Szczególne znaczenie miało przeciwdziałanie akcjom kościelnym w 1966 roku, podczas uroczystych obchodów Milenium Chrztu Polski. Komuniści przywódcy postawili sobie za cel zwłaszcza przeciwdziałanie – jak nazywano je w oficjalnych pismach partyjnych – „impromom częstochow-

skim”. Plan przeszkodzenia głównym uroczystościom milenijnym, odbywającym się na Jasnej Górze 3 maja 1966 roku, przewidywał zmniejszenie udziału w nich pielgrzymów przez organizowanie kontrimprez i obchodów świeckich, wycieczek, programów artystycznych. W kinach wyświetlano atrakcyjne filmy, organizowano państwowe – obowiązkowe dla uczniów i pracowników zakładów przemysłowych – uroczystości odsłonięcia pomników, odczyty, masówki itp. Wprowadzono także liczne ograniczenia i przepisy utrudniające pątnikom życie. „Transport kołowy rejonu Częstochowy w dniach imprez, a szczególnie w okresie od 2 do 4 maja, winien pracować w myśl zasady: maksymalnie ograniczyć dowóz pielgrzymów, a ułatwić szybki wywóz tychże” – instruowano w pismach partyjnych. Starano się także sztucznie ograniczyć liczbę noclegów w Częstochowie. Wobec duchowieństwa i osób „wykazujących się specjalną aktywnością” zdecydowano się zastosować rozmowy ostrzegawcze, represje finansowe i konsekwencje karne. Jak notował prymas Wyszyński, partia komunistyczna chciała zniszczyć kościelne obchody, organizując kontramifestacje, „krzycząc w prasie, że to Kościół rozbija społeczeństwo na dwa nurty milenijne – kościelny i świecki”. Propaganda i działania władz komunistycznych nie odniosły jednak spodziewanego skutku; w uroczystościach milenijnych na Jasnej Górze uczestniczyło kilkaset tysięcy ludzi.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Służba Bezpieczeństwa zaczęła stosować nową taktykę wobec ruchu pielgrzymkowego, a zwłaszcza wobec pielgrzymek pieszych. Gdy indoktrynowanie i odciąganie uczestników nie wystarczały i zawodziła inwigilacja, rozpoczęto działania dezintegracyjne – bezpośrednie ataki i próby rozbicia. Wyjątkowo perfidną metodą, której stosowanie miało utrwalić negatywny obraz uczestników pielgrzymek, było rozrzucanie przez funkcjonariuszy bezpieki na trasie przemarszu i w miejscach noclegu różnych śmieci – bute-



lek po alkoholu, prezerwatyw, podpasek zabrudzonych krwią zwierzęcą. W ten sposób chciano wywołać niechęć lokalnych społeczności – zwłaszcza duchownych – do pątników.

Jak wynika z ustaleń pionu śledczego IPN, w latach 1956–1989 esbecy stosowali takie właśnie metody mające zdyskredytować nie tylko pielgrzymów, lecz także pomagającą im ludność lokalną. Dezintegracja oznaczała również wszczynanie bójek i awantur, prowokacje, kradzieże, a nawet zatrucie wody pitnej na trasie przemarszu. W miejscach postoju pracownicy SB pozostawiali magazyny pornograficzne, rozrzucali antypaństwowe ulotki – wszystko po to, by podważyć zaufanie do pielgrzymów, a także stworzyć okazję do interwencji milicji.

### Efekt Jana Pawła II

Ruch pielgrzymkowy na Jasną Górę rozwinął się po wyborze Karola Wojtyły na papieża. Jan Paweł II przybył na Jasną Górę już podczas pierwszej pielgrzymki do ojczyzny – jego pobyt trwał od 4 do 6 czerwca 1979 roku. Papież wygłosił w sumie 25 przemówień, a – według szacunków paulinów – na msze, nabożeństwa i spotkania z nim przybyło ok. 3,5 mln ludzi. Oznaczało to, że w Polsce rządzonej przez komunistów społeczeństwo domaga się wolności religijnej. O tej wolności i o znaczeniu Jasnej Góry mówił Jan Paweł II, zwracając się do zgromadzonych tłumów: „Tutaj zawsze byliśmy wolni”. Papież podkreślał również, że do murów jasnogórskich „trzeba przykładać ucho, bo one odbijają to wszystko, co czują polskie serca”.

Po wyjeździe papieża ruch pielgrzymkowy wciąż był intensywny. Pątnicy chcieli podziękować Opatrzności za przyjazd Jana Pawła II do Polski i prosić o ponowne jego przybycie na jubileusz sześćsetlecia obrazu Matki Boskiej na Jasnej Górze w 1982 roku. Konsekwencją przybycia papieża Polaka na Jasną Górę był nie tylko wzrost liczby pielgrzymów (co niechętnie odnotowywano w raportach SB), lecz także organizowanie nowych pielgrzymek – w ciągu całego roku, poza tradycyjnym okresem w lipcu i sierpniu. Zaniepokojenie bezpieczeństwa odczytać można w raportach i informacjach dziennych Departamentu IV MSW. Jak odnotowano, w 1983 ▶

▶ Pielgrzymi z Dolnego Śląska i Śląska Opolskiego z papieżem Janem Pawłem II podczas jego pierwszej pielgrzymki do Polski, 1979 rok





Fot. PAP/Maciej Sobotka

► Uczestnicy ogólnopolskiej pielgrzymki na Jasną Górę odpoczywają podczas przerwy w marszu; 1983 rok

roku (kiedy to odbyła się druga pielgrzymka papieża do Polski) na trasę wyruszyło 21 pielgrzymek diecezjalnych. Zaniepokojeni oficerowie SB podkreślali w pismach skierowanych do kierownictwa PZPR, że „od 1980 r. następuje systematycznie wzrost ilości organizowanych pielgrzymek – w 1980 roku 6 pielgrzymek i w 1981 roku 10 pielgrzymek; w 1982 roku 12 pielgrzymek; w 1983 roku – 13”. Pielgrzymki przebiegały pod hasłem łączności z Ojcem Świętym Janem Pawłem II, co jednocześnie wskazywało na „winowajcę” rozwoju ruchu pątniczego. Bezpieka szacowała, że w samym 1983 roku w pielgrzymkach wzięło udział ok. 100 tys. osób. Zaznaczano, że „liczebność poszczególnych pielgrzymek wzrasta, co spowodowane jest włączeniem się do nich osób pochodzących z miejscowości, przez które pielgrzymki przechodzą”.

Pielgrzymki w latach osiemdziesiątych odbywały się w zmiennej i burzliwej atmosferze politycznej – po powstaniu Solidarności, po stanie wojennym. Aby przeciwdziałać „wrogim wystą-

pieniom politycznym”, przedstawiciele władz przeprowadzali z organizatorami pielgrzymek rozmowy ostrzegawcze, w których zobowiązywano ich do zapewnienia pielgrzymkom charakteru wyłącznie religijnego. Mimo to w 1983 roku odnotowano niepokojące dla władz komunistycznych fakty i „wydarzenia o wymowie politycznej”, takie jak: niesienie transparentów Solidarności, wnoszenie okrzyków oraz „pozdrawianie zebranych na trasie uniesioną do góry ręką z palcami w kształcie litery V”. Za bardzo niekorzystną SB uznawała obecność w pielgrzymce lubelskiej w 1983 roku dwudziestu Włochów. Udział wszystkich cudzoziemców oszacowano na 2 tys. osób. Zaangażowanie pątników zagranicznych można przypisać również „efektowi Jana Pawła II” i spopularyzowaniu przez papieża Jasnej Góry wśród społeczności katolickiej w świecie.

### Ideologiczny tunel

Władze komunistyczne nie zamierzały beczynnienie przyglądać się fenomenowi pielgrzymek jasnogórskich. Tradycyjna

trasa przemarszu pielgrzymek w samej Częstochowie przebiegała al. Najświętszej Maryi Panny, dalej przez parki jasnogórskie, al. Henryka Sienkiewicza – na plac pod klasztorem paulinów. Aleja łącząca Jasną Górę ze Starym Miastem, podzielona na trzy części, była unikatowym w skali kraju rozwiązaniem urbanistycznym. Plan, który opracowano, zakładał przecięcie ich tuż przy parkach jasnogórskich dwupasmową trasą szybkiego ruchu, tzw. trasą opolską, na wysokości skrzyżowania alei z ulicami Pułaskiego i Starucha (dziś Popiełuszki). Prace rozpoczęto nagle 5 września 1979 roku, bez uprzedzenia strony kościelnej, zaledwie kilka tygodni po największych sierpniowych uroczystościach religijnych. Według proponowanych rozwiązań, pielgrzymi udający się na Jasną Górę na końcu al. Najświętszej Maryi Panny mieli schodzić wąską pochylnią do tunelu o wysokości 2,4 m i długości 40 m. Zgodnie z planami miało to być jedyne w tym miejscu przejście dla pieszych na drugą stronę projektowanej trasy. Prawdziwe motywy budowy tunelu i trasy ujawnił wojewoda częstochowski



Mirosław Wierzbicki w piśmie do premiera Piotra Jaroszewicza: „Przejście, z uwagi na niewielki rozmiar, w istotny sposób powinno ograniczyć ruch pątniczy na Jasną Górę. Wybudowanie przejścia jest konieczne z uwagi na to, iż mimo podejmowanych ofensywnych działań przez Partię i władze kraju [...] sytuacja wyznaniowa poważnie się zaostrzyła”. Władze, pamiętając spotkanie tłumów z papieżem, kiedy milionowa rzesza wiernych zajęła nie tylko plac jasnogórski, lecz także parki, nie chciały powtórzenia się sytuacji z roku 1979. Większy ruch samochodowy miał uniemożliwić wielkie zgromadzenia wokół Jasnej Góry. Tę sprawę PZPR traktowała priorytetowo, o czym świadczą słowa premiera Jaroszewicza wygłoszone na tajnym spotkaniu partyjnym w Częstochowie pół roku przed rozpoczęciem budowy: „Towarzysze! Pamiętajcie, że tunel pod Jasną Górę jest waszym priorytetowym zadaniem. Traktujcie tę inwestycję jako przejście ideologiczne, jako kolejny krok na froncie walki z wpływami imperializmu i rozzuchwalonego kleru otumaniającego socjalistyczne społeczeństwo”.

Prace rozpoczęto w czasie nieobecności biskupa częstochowskiego Stefana Bareły, który później spotkał się z woje-

wodą i złożył w imieniu Kościoła w Polsce protest przeciw niesprawiedliwemu i krzywdzącemu projektowi. Biskup podkreślał, że trasa przeprowadzona przez środek miasta utrudni pielgrzymom dostęp na Jasną Górę, a układ architektoniczny w rejonie sanktuarium zostanie bezpowrotnie zmieniony. Zwracał także uwagę na niebezpieczeństwo dla tłumów korzystających z wąskiego przejścia podziemnego. W odpowiedzi na zarzuty biskupa wojewoda stwierdził, że bp Bareła nie wyraża swojej opinii, ale zdanie osób, które nie znają Częstochowy. Była to aluzja do wypowiedzi prymasa Wyszyńskiego, który budowę trasy i tunelu nazwał barbarzyństwem. Wojewoda zarzucił też stronie kościelnej, jakoby w czasie wizyty papieża w Częstochowie młodzież była przymuszana do uczestnictwa w uroczystościach religijnych. Nie miało to nic wspólnego z prawdą, a lekceważący sposób rozmowy dobitnie pokazywał, że komunistom wcale nie chodziło o porozumienie z Kościołem. Władze przystąpiły wprawdzie do negocjacji w obawie przed nasilającymi się protestami, jednak o zaniechaniu budowy nie było mowy. Sprawę tunelu przed Jasną Górą nagłośniło Radio Wolna Europa. Kardynał Wyszyński wydał specjalny list w obronie Jasnej

Góry, wzywający katolików w Polsce do modlitwy w intencji niedopuszczenia do odcięcia sanktuarium od miasta; wysłał również specjalny list do I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka z prośbą o wycofanie się z inwestycji. W czasie rozmów strona kościelna przedstawiła inne rozwiązanie: zastąpienie tunelu dla pieszych tunelem dla samochodów na osi ulic Pułaskiego i Starucha. W odpowiedzi władze zgodziły się zmodyfikować projekt przez wybudowanie estakady przecinającej aleję i w rzeczywistości zasłaniającej widok Jasnej Góry – pielgrzymi mieliby przechodzić wprost pod trasą samochodową.

Prace przy budowie przejścia podziemnego trwały nadal, jednak w styczniu 1980 roku pod presją protestów społecznych doszło do rozmów episkopatu z rządem. Ich następstwem była deklaracja odstąpienia od projektu przejścia podziemnego. Negocjacje Kościoła z komunistami o odblokowanie Jasnej Góry trwały do wiosny 1981 roku, kiedy władze ostatecznie zgodziły się na pozostawienie przejścia dla pieszych przez ulice Pułaskiego i Starucha. Budowę tunelu jednak dokończono – istnieje do dziś jako swoisty pomnik rozrzutności komunistycznych władarzy i świadectwo nieudanej próby zatamowania ruchu pielgrzymkowego. ❄



# Kartki ze stołecznego Lublina

Jan Oleński

W Lublinie uwolnionym od niemieckiej okupacji dotkliwie dawał się odczuć brak podstawowych artykułów spożywczych. Nic dziwnego, że szybko powrócono do reglamentacji.

**W**krótce po zajęciu Lublina przez wojska radzieckie w mieście pojawili się członkowie nowych władz komunistycznych. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przeniósł tu swoją siedzibę z Chełma 1 sierpnia, dokładnie tego dnia, w którym w Warszawie wybuchło Powstanie. PKWN zajął budynek przy ul. Spokojnej, w wydzielonej „dzielnicy władzy”, strzeżonej przez wojsko. Podczas wojny była to dzielnica niemiecka i jeszcze przez ponad miesiąc wartownicy strzegący tam budynków urzędowali w budkach pomalowanych w barwy hitlerowskie.

## Co wolno ministrowi...

Spokój i porządek panujące w tej specjalnej dzielnicy kontrastowały ze zgiełkiem i rozgardiaszem w pozostałej części miasta, wypełnionego tłumami uciekinierów, którzy po przejściu frontu tu właśnie szukali schronienia. Część z nich, zwłaszcza tych o przeszłości komunistycznej, angażowała się w tworzenie nowej władzy, która miała wkrótce opanować cały kraj. Dla całej tej grupy funkcjonariuszy i urzędników, których liczba gwałtownie rosła, zorganizowano wiele stołówek oznaczonych numerami: pierwsza, druga, trzecia... W pierwszej jadali ministrowie, w kolejnych – pozostali urzędnicy, przypuszczalnie w zależności od stopnia ich ważności w hierarchii i znajomości z tymi, którzy jadali w pierwszej. W nie-

długim czasie liczba stołowników sięgnęła dwóch tysięcy, a wliczając członków ich rodzin – nawet trzech tysięcy. Produktów na ich wyżywienie dostarczało dowództwo I Frontu Białoruskiego. Pochodziły one także z terenu Polski, gdzie Armia Czerwona pobierała artykuły żywnościowe, wydając rolnikom kwity, brane później pod uwagę przy rozliczaniu dostaw obowiązkowych.

W tym czasie Lublin stał się na krótko stolicą Polski. Niestety mieszkańcy

miasta, zarówno stali, jak i przyjezdni, niewiele mieli pożytku z tej stołeczności. Wprawdzie nie zlikwidowano sieci sklepów obwodowych, działających w czasie okupacji niemieckiej, lecz było w nich niewiele do kupienia. Podstawą zaopatrzenia stał się wolny rynek. Ceny żywności zaczęły gwałtownie rosnąć. W okresie od lipca do września 1944 roku wzrosły o 300 proc. Szczególnie dotkliwie dawał się odczuć brak chleba. Piekarze tłumaczyli, że pracują dla wojska, niemniej spo-



► Fragment obwieszczenia o wydawaniu kartek na sierpień 1944 roku

► Pierwsza po wyparciu Niemców kartka żywnościowa w Lublinie





► Karta dla dorosłych z Lublina na wrzesień 1944 roku

konane na zamówienie Wydziału Zaopatrywania, w związku z czym ich użytkownicy musieli zapłacić za nie po 30 gr od sztuki. Kartki przyozdobiono poddrukami z herbem miasta. Tak jak poprzednio, kartki były dwóch rodzajów: dla dorosłych i młodzieży ponadczternastoletniej oraz dla dzieci do 14. roku życia. Oprócz kart podstawowych wydawano także karty dodatkowe B dla ciężko pracujących i pracowników instytucji oraz C dla „pracujących w ramach gospodarki częściowo ujętej”. Karty te przyznawali zakłady pracy na podstawie list pracowników opiniowanych przez związki zawodowe. Na karty dodatko-

ra ilość chleba trafiała do pokątnej sprzedaży po niesłychanie wysokich cenach. Dla osób, które z tego powodu znalazły się w trudnym położeniu materialnym, powstały bezpłatne kuchnie, utrzymywane m.in. z funduszy Rady Głównej Opiekuńczej. W najlepszej sytuacji, prócz wspomnianych „stołecznych” urzędników, byli pracownicy lubelskich fabryk, które wysyłały na wieś ekipy w celu pozyskiwania od rolników (często w drodze wymiany) żywności, którą następnie rozdzielano wśród członków załóg. Inną metodą było wypłacanie robotnikom części pensji w naturze, tj. w postaci produktów fabryk (w najlepszej sytuacji byli producenci sprzętu rolniczego, którzy jeździli na wieś i wymieniali go na żywność).

Kartki te wydawano ludności od 16 do 18 sierpnia, o czym poinformowano w stosownym obwieszczeniu. Kilka dni później wydano także specjalne kartki dla pracujących: na mąkę, drożdże, syrop ziemniaczany i namiastkę kawy. Produkty te miały łagodzić braki w dostawach chleba.

W przekonaniu, że termin ważności wydrukowany na kartkach był umowny, utwierdza nas ogłoszenie publikowane w prasie, dotyczące kartek na wrzesień, które wydawano dopiero od 11 do 13 dnia tego miesiąca. Tym razem były to kartki wy-



► Kartka kategorii IV z Lublina na październik 1944 roku

we przysługiwały: mąka pszenna, mąka gryczana, syrop ziemniaczany, olej roślinny, drożdże i budyń. Wobec słabego zaopatrzenia ważność kuponów na chleb kartek wrzesniowych przedłużono aż do 25 października.

W październiku wszystkie kartki były już rozprowadzane przez zakłady pracy. A zatem prawo do kartek otrzymały wyłącznie osoby zatrudnione i członkowie ich rodzin. Na kartkach, zamiast herbu Lublina, pojawiło się godło Polski Ludowej – orzeł bez korony. Wprowadzono pięć kategorii kartek: I, II i III dla osób pracujących oraz IV i V dla członków ich rodzin. Kartki kategorii I prócz wojska i milicji otrzymali m.in. urzędnicy

**Na niemieckich drukach**

Wyżywieniem mieszkańców Lublina zajął się Wydział Zaopatrywania przy Miejskiej Radzie Narodowej, utworzonej zamiast Zarządu Miejskiego. Jedną z pierwszych decyzji wydziału było przywrócenie racjonowania podstawowych produktów żywnościowych. Wykorzystano w tym celu kartki niemieckie na sierpień z symbolicznie zadrukowanym godłem hitlerowskim.



► Kartka kategorii I na październik 1944 roku dla mieszkańca Wołomina





Fot. ze zbiorów autora

► Kartka kategorii IV na listopad 1944 roku dla mieszkańca Lublina

od referenta wżwyż, lekarze, nauczyciele, duchowieństwo, kolejarze i pracownicy fabryk wojskowych; kategorii II – pozostali pracownicy państwowi i samorządowi oraz pracownicy zakładów prywatnych, działających na potrzeby państwa; kategorii III, na które przysługiwały najmniejsze przydziały – m.in. przedsiębiorcy i pracownicy zakładów produkujących na wolny rynek, a także emeryci i samotne matki z dziećmi. Osoby, którym przysługiwały karty kategorii I lub II, otrzymywały dla członków swoich rodzin karty kategorii IV, a uprawnieni do kart kategorii III – karty kategorii V. Prócz pięciu typów kart podstawowych w użyciu były także karty dodatkowe dla dzieci. Ważność ich przedłużono na listopad z powodu braku mleka. Wielkość przydziałów zależała od kategorii kart, a więc system kartkowy premiował zatrudnionych w zakładach i instytucjach państwowych. Kartki październikowe, podobnie jak wrzesniowe, wydawano i realizowano z dużym opóźnieniem. Można je było otrzymać jeszcze 24 października, a mąkę gryczaną na kupony tych kartek sprzedawano jeszcze w grudniu.

Kartki z użyciem tego samego rozwiązania graficznego drukowano także dla innych miejscowości, które stopniowo opanowywała nowa władza, w miarę przesuwania się frontu na zachód. Projekty kartek były rysowane ręcznie, przez co nowe godło państwowe wyglądało nieco inaczej na „stołecznych” kartkach lubelskich, a inaczej na „pro-



Fot. ze zbiorów autora

► Kartka kategorii I-R na grudzień 1944 roku dla mieszkańca Lublina

wincjonalnych”. Różnice te dawały się zauważyć także między kartkami różnych kategorii.

### Bon – też kartka

Kartki na listopad dla Lublina wydrukowano w dwóch kolorach i nowe godło było już słabo widoczne w poddruku. W tym czasie zaopatrzenie w mieście znacznie się poprawiło, m.in. dzięki zaliczeniu Lublina do tzw. grupy A norm aprowizacyjnych, do której należały także prawobrzeżna Warszawa i Białystok. Osoby zaliczone do kategorii I miały otrzymać w ramach miesięcznych przydziałów kartkowych: 14 kg chleba, 2,5 kg mąki, 2,4 kg kaszy, 1 kg cukru, 2 kg mięsa, 18 kg ziemniaków, 20 dag herbaty, dwa pudełka zapalek, litr nafty, 40 dag masła i 40 dag soli miesięcznie. Dla

porównania, norma miesięczna mięsa przypadająca na kartkę kategorii I w grupie C (w miastach poniżej 10 tys. mieszkańców) wynosiła nie 2, lecz 1 kg, a na kartkę kategorii III w tej grupie – zaledwie 0,5 kg. Wobec niustannych braków w zaopatrzeniu, niektóre produkty na kartki listopadowe wydawano w Lublinie także w następnym miesiącu.

Uporządkowanie nazewnictwa typów kart nastąpiło w grudniu 1944 roku, gdy zlikwidowano kategorie IV i V, a zamiast nich wprowadzono kategorie I-R (dla rodzin pracowników otrzymujących karty kategorii I i II) oraz II-R (dla rodzin osób otrzymujących karty kategorii III). Ten system, ulegający później wielu zmianom polegającym głównie na wprowadzaniu nowych typów kart, utrzymał się aż do grudnia 1948 roku, kiedy to wraz z powstaniem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej z dumą obwieszczono koniec reglamentacji artykułów żywnościowych. I rzeczywiście, od stycznia następnego roku system kartkowy przeistoczył się w system bonowy, co dla jego użytkowników nie miało jednak aż tak wielkiego znaczenia. Stołeczność Lublina definitywnie skończyła się dużo wcześniej, gdy PKWN – 31 grudnia 1944 roku przekształcony w Rząd Tymczasowy – w lutym 1945 roku zainstalował się na warszawskiej Pradze, w budynku dyrekcji kolei. ■

Jan Oleński – kolekcjoner dokumentów reglamentacji, autor m.in. katalogu *Ogólnopolskie kartki zaopatrzeniowe z lat 1976–1989* (2010)



Fot. ze zbiorów autora



# Białe „Skrzydła Pokoju”

O rzeźbie upamiętniającej zwycięstwo

1. Dywizji Panczernej gen. Maczka z rzeźbiarką **Moniką Osiecką** rozmawia Jakub Gołębiowski

**Jest Pani autorką pomnika upamiętniającego bitwę 1. Dywizji Panczernej gen. Stanisława Maczka z wojskami niemieckimi na wzgórzu Mont Ormel. Jak dziś wygląda miejsce bitwy, w którym stoi Pani rzeźba, nazwana „Skrzydłami Pokoju”?**

Rzeźba jest usytuowana w samym centrum masywu wzgórz Mont Ormel, z którego rozpościera się widok na dolinę i okolice Falaise. Stoją tam już dwa czołgi: jeden z napisem „Maczek” – to czołg polskiej 1. Dywizji Panczernej, drugi to czołg Kanadyjczyków, którzy wzięli udział w bitwie.

**Kto był inicjatorem postawienia pomnika upamiętniającego bitwę polskich oddziałów pod Mont Ormel?**

Rzeźbę zamówiły władze 61. Departamentu L’Orne. Francuzi bardzo chcieli, by autorem pomnika był rzeźbiarz z Polski, ponieważ ta bitwa jest uważana za bitwę polską. Nadal pamiętają, że wyzwolili ich Polacy.

**Rzeźba na Mont Ormel nie jest samodzielnym założeniem artystycznym.**

Jest częścią projektu „Droga Pokoju”, którego pomysłodawcą był Otto Freundlich, urodzony w Słupsku niemiecki rzeźbiarz żydowskiego pochodzenia. Jego sztuka była zakazana w hitlerowskich Niemczech, a on sam zginął na Majdanku. Chciał stworzyć drogę rzeźb, od Paryża do Moskwy, które byłyby wyrazem pragnienia pokoju. Jego projekt podjął inny niemiecki rzeźbiarz, Leo Kornbrust. Niemcy ze Stowarzyszenia „Europejska Droga Pokoju” skontaktowali się z władzami departamentu L’Orne i zaproponowali, żeby „Drogę Pokoju” przedłużyć do Mont Ormel (pierwotnie miała kończyć się w Paryżu). Dziś między Moskwą a Paryżem stoi już około stu rzeźb.

**Czy w Polsce również stoją rzeźby, które są częścią „Drogi Pokoju”?**

W Polsce pomniki te stoją w dwóch miejscach: w Orońsku w Centrum Rzeźby Polskiej i na Majdanku. Moja rzeźba jest ostatnia – zamyka cały projekt. Władze departamentu ogłosiły konkurs. Przesłałam trzy projekty wstępne, ▶

▶ Monika Osiecka podczas pracy przy „Skrzydłach Pokoju”

## Maczek na Mont Ormel

W czasie kampanii w Normandii, między 19 a 21 sierpnia 1944 roku, 1. Dywizja Pancerna gen. Stanisława Maczka stoczyła z wojskami niemieckimi bitwę o Mont Ormel (wzgórza 262). Stawką była kontrola nad masywem dwóch wzgórz, znanym w polskiej tradycji militarnej jako Maczuga. 19 sierpnia oddziały polskie zdobyły strategicznie położone północne wzgórze 262. W wyniku kontrataków niemieckich ze wschodu i nieustającego naporu wycofujących się dwóch niemieckich armii z zachodu Polacy zostali odcięci od sztabu własnej dywizji i pozostałych wojsk alianckich. Przez kolejne dwie doby polscy żołnierze odparli wszystkie ataki Niemców, utrzymując pozycje. 21 sierpnia na Mont Ormel dotarli z odsieczą Kanadyjczycy, zamykając pierścień wokół Niemców. Dzięki heroicznej postawie polskich żołnierzy alianci okrążyli w Normandii dwie niemieckie armie i w rezultacie rozbili siedem dywizji Wehrmachtu w tzw. kotle Falaise.

wyboru dokonała wspólna francusko-niemiecka komisja. Tematem mojej rzeźby jest pokój – to nie jest rzeźba heroiczna, upamiętniająca wyłącznie bitwę o Mont Ormel, choć oczywiście upamiętnia walkę Polaków. Impulsem do postawienia rzeźby jest także – jak to zostało nazwane przez stronę francuską – chęć odwrócenia karty historii. Upamiętnienie już nie tyle czynu wojennego, ile pokoju, który nastąpił dzięki niemu.

### Czy Pani dzieło można zatem uznać za rzeźbę antywojenną?

Rozumiem to tak, że polscy żołnierze we Francji, w Normandii, daleko od ojczyzny, walczyli o wyzwolenie Polski, a ich marzeniem był pokój. Ta rzeźba jest zobrazowaniem ich marzenia, bo pokój wreszcie nastąpił. We Francji, w czasie oficjalnych uroczystości, gloryfikuje się francuski czyn zbrojny, gen. Charles'a de Gaulle'a. Wiele mówi się o walce Amerykanów, Brytyjczyków i Kanadyjczyków, ale



► „Skrzydła Pokoju” w warsztacie rzeźbiarskim

Fot. z archiwum Moniki Osieckiej

o Polakach już nie. O udziale naszych żołnierzy w walkach w Normandii wiedzą i pamiętają osoby prywatne i lokalne społeczności – tak jak władze departamentu L'Orne. Generał Maczek przed bitwą nazwał wzgórze, o które walczyły polskie oddziały, „Maczuga” – z racji usytuowania. Kiedy rozmawiałam o tym z miejscowymi, to nie było ani jednej osoby, która by nie wiedziała, co to jest Maczuga i kto walczył na Mont Ormel.

### Co symbolizuje Pani rzeźba?

Jest to rzeźba abstrakcyjna przedstawiająca skrzydła pokoju. Ma dwa poziomy symboliczne. Pierwszy to materiał, z którego jest wykonana podstawa – polski szary marmur ze Sławniowic. Wybrałam go specjalnie, w geście przywiezienia ziemi ojczystej poległym. A druga warstwa to

wykonane z białego marmuru karraryjskiego skrzydła pokoju. Są to dwa elementy pionowe, mierzące dwa i pół metra wysokości. Forma rzeźby jest oczywiście abstrakcyjna, ale przemyciłam



► Rzeźba na wzgórzu Mont Ormel

Fot. z archiwum Moniki Osieckiej



w niej znak dywizji pancerniej gen. Maczka – skrzydło husarskie. Bardzo mi na tym zależało, żeby umieścić ten element, żeby to były właśnie białe skrzydła husarskie gen. Maczka. Chciałam podkreślić, że to jego bitwa i jego zwycięstwo, zwłaszcza ze względu na jego późniejsze losy w Wielkiej Brytanii. Wielki bohater nie został właściwie potraktowany po wojnie.

### **Czy można powiedzieć, że jego zasługi nie zostały docenione?**

Moim zdaniem, jego rola była dramatycznie niedoceniana. Generał Maczek to bohater, dowódca, który nie przegrał żadnej bitwy, a później nie został uhonorowany. Może właśnie dlatego tak ważne są dzisiejsze próby przypomnienia bohaterskiej dywizji pancerniej, chociażby przez Francuzów, którzy byli współinicjatorami postawienia rzeźby i koniecznie chcieli, by wykonał ją polski artysta. Oni traktują gen. Maczka z ogromnym szacunkiem. Pamięć o udziale polskich oddziałów nie była jednak obecna w czasie wielkich uroczystości siedemdziesiątej rocznicy lądowania w Normandii 4 czerwca tego roku. W telewizji francuskiej były wówczas emitowane filmy dokumentalne o Normandii. W jednym, który oglądałam, w ogóle nie było wzmianki o udziale Polaków, o dywizji pancerniej gen. Maczka. Przedstawiono za to gen. Bernarda Montgomery'ego, głównodowodzącego alianckich sił lądowych, który chodził po polu bitwy pod Falaise i oglądał zniszczone niemieckie czołgi pod Mont Ormel. W filmie było powiedziane, jak ogromne straty ponieśli w tym miejscu Niemcy, że ta bitwa otworzyła drogę na Paryż i przesądziła o odzyskaniu Francji. Nie było natomiast ani słowa o Polakach.

### **Kiedy nastąpi uroczyste odsłonięcie rzeźby na wzgórzu Mont Ormel?**

22 sierpnia – jest to data zakończenia bitwy i co roku tego dnia odbywają się tam obchody. W tym roku z racji okrągłej rocznicy uroczystości będą miały jeszcze bardziej podniosły charakter. Przyjedzie cała grupa weteranów z Polski, a także z Francji. Podziwiam ich hart ducha i to, że się nie poddawali. Byli w stanie przejść pół Europy, utworzyć armię i walczyć aż do zwycięstwa – dla mnie to jest niesamowite. Dziadek mojego męża, Ignacy Witkowski, był oficerem generała Maczka i za udział w kampanii francuskiej otrzymał krzyż *Virtuti Militari*. Walczył w 1. Pułku Grenadierów Warszawy, a po klęsce Francji w 1940 roku i rozwiązaniu oddziału dotarł do Szwajcarii i tam został internowany. Dzięki temu rodzinnemu wątkowi mogłam być jeszcze bliżej historii dywizji pancerniej gen. Maczka.

### **Kto jeszcze ze strony polskiej weźmie udział w uroczystościach na Mont Ormel?**

W porozumieniu z władzami departamentu i polską ambasadą została przygotowana lista oficjalnych gości. Zaproszenie zostanie skierowane m.in. do premiera Donalda Tuska i marszałek sejmu Ewy Kopacz. Na uroczystościach odsłonięcia rzeźby będą jednak obecni przede wszystkim weterani.

### **Czy dotarli do Pani jakieś opinie z ich strony?**

Oczywiście. We Francji działa Stowarzyszenie Zachowania Pamięci 1. Dywizji Pancerniej gen. Maczka (*L'association Nationale du Souvenir de la 1 Division Blindée Polonaise du Général Maczek*). Przewodniczący stowarzyszenia, z pochodzenia Polak, wysłał do mnie list, dziękując za to, że rzeźba stanie, i mówiąc, jak bardzo podniesie to rangę tego miejsca. Weterani są bardzo wdzięczni. W siedzibie departamentu L'Orne do końca września trwa piękna wystawa rzeźb „Droga Pokoju”, są m.in. wystawione prace Ottona Freundlicha. Wzruszające było również zainteresowanie Francuzów w trakcie prac nad rzeźbą. Ten region Francji nazywa się Calvados i jest to znane miejsce pieszych wycieczek. Do naszej pracowni, w której powstała rzeźba, zaglądało wiele osób – spotkałam się z wyrazami wdzięczności i dobrej pamięci o polskich żołnierzach. Jeden pan, który szczególnie mi gratulował, wzruszył się i powiedział: „Mimo że oficjalnie niewiele było o tym mówione, my pamiętamy, że to wy, Polacy, nas wyzwoliliście”. To było niesamowite przeżycie. 🇵🇱

▶ Rzeźbiarka i jej prawie gotowe dzieło



# „Zaatakowali nas o drugiej w nocy” – relacje ocalałych z rzezi wołyńskiej



Fot. ze zbiorów Ewy Siemaszko

Siostry **Halina Adamowicz** (ur. 1934) i **Natalia Oręziak** (ur. 1936) w trakcie rzezi wołyńskiej były zaledwie kilkuletnimi dziewczynkami. Ich rodzicami byli Regina i Stefan Stankiewiczowie. Przed wojną wszyscy mieszkali w Gurowie (pow. włodzimierski, woj. wołyńskie). 11 lipca 1943 roku, podczas ataku Ukraińskiej Powstańczej Armii, zginęli matka, kilkumiesięczna siostra Jadwiga, dziadkowie oraz wujostwo. Halina i Natalia przedostały się razem z ojcem do Lwowa, a następnie do Przeworska. W wyniku powojennych przesiedleń zamieszkali w Majewie koło Elbląga.

**N**ie byłoby tej opowieści, gdyby nie fotografia, którą zamieszczono na jednej z wystaw Instytutu Pamięci Narodowej. Zdjęcie rozpoznał syn jednej z bohaterek i zgłosił się do autorki ekspozycji. Dzięki nawiązanej współpracy znamy dziś historię fotografii, którą w czasie wojny miała przy sobie jego krewna wywieziona na Syberię.

Regina, najmłodsza córka Bolesława i Stanisławy Barszczów, wyszła za mąż za Stefana Stankiewicza, który pochodził z Witoldówki, położonej niedaleko Gurowa. Po paru latach pobudowali się w sąsiedztwie rodziców w Gurowie. Ich spokojne życie zakłócił wybuch wojny.

Halina Adamowicz opowiada, że jak „zaczynała się wojna i zbliżał się front, przywiózł dziadek [do siebie] znajomą aptekarkę [Żydówkę] z Włodzimierza. [...] Mieszkała u dziadka. Spała w kuchni z córką. Dziewczynka miała na imię Giza, a chłopiec [syn aptekarki] Aleksander. Aluś. Chłopiec był w moim wieku, a dziewczynka była młodsza”.

Bolesław Barszcz sprowadził do siebie również syna – Zygmunta.

„W drugim pokoju mieszkali mój wujek i wujenka. Wujenka była nauczycielką. Mieli dwóch synów. [...] Wujek pracował we Włodzimierzu. Był kierownikiem tartaku. A wujenka uczyła. A że zbliżała się wojna, wszyscy uciekali, gdzie kto mógł. Więc dziadek zabrał ich z Włodzimierza”.

W 1943 roku do Gurowa docierały niepokojące sygnały o ukraińskich atakach na polskie wioski. Halina Adamowicz wspomina:



„Ukraińcy zamordowali [organistę] Łupkowskiego. Przyszli w nocy. Zabrali go. Zaprowadzili do lasu. Strasznie skatowali i drutem powięzali nogi i ręce. [...] Po pogrzebie [organisty] za niecały tydzień przyszli i zabili kowala i dwóch [jego] synów [ze wsi Nowiny]. [...] Działo się to przed żniwami. Zboża były wysokie, urodzajne. Mężczyźni chowali się po zbożach. Tatuś nie nocował w domu, tylko nocował w zbożu. A do nas przychodziła mama mamusi i nocowała z nami, bo mamusia bardzo się bała [zostawać] sama z nami dziećmi. [...] Spaliśmy w kuchni”.

Ukraińcy zaatakowali Gurów 11 lipca. Starsza z sióstr wspomina, że atak nastąpił „koło drugiej w nocy. Na podwórko wjechał wóz. Nasz pies zaczął ujadać. Zastrzelili psa. Było słychać strzał. Zaczęli hałasować, walić w drzwi. Mamusia się strasznie przestraszyła. No, i babcia mówi: »Otwórz«. Mamusia otworzyła drzwi. Pierwsze słowa, które usłyszała od nich: »Gdzie jest twój mąż?«. Mamusia mówi, że poszedł do brata, bo tak się umawiali z tatusiem. W domu wtedy była mamusia, babcia, siostra Natalia i najmłodsza moja siostra Jadwiga w kołysce. Ukraińcy weszli. Jeden miał karabin, a drugi miał naszą siekierę. Najpierw strzelił do tej malutkiej, co w kołysce leżała. Zastrzelił ją. Później strzelił do mnie i do Natalii. Mnie przestrzelił kciuk, a siostrze lewe przedramię. Myśmy się nic nie odzywały. Oni myśleli, że my już nie żyjemy, i wyszli”.

Natalia Oręziak dopowiada:

„Jak się obudziłam, to siostra [Halina] siedziała nade mną. Całe łóżko [było] we krwi. Siostra siedzi nade mną, płacze i mówi: »Chodź, pójdziemy do dziadków«. To było bliźniutko. [Była] taka wydeptana ścieżka przez ogrody, przez zboże do dziadka [...] może 100–150 metrów. Wychodzimy [z domu]. Płaczymy”.

Halina Adamowicz przypomina sobie, że wychodząc z mieszkania, usłyszały tętent koni. Dziewczynki ukryły się wówczas w grzędzie maku w pobliżu stodoły. Gdy tętent ucichł, przez zboża ruszyły w kierunku zabudowań dziadka.

Fot. ALPN

► Polacy zamordowani przez ukraińskich nacjonalistów

Kiedy dotarły do domu dziadków i weszły do kuchni, zobaczyły na łóżku zabita aptekarkę i jej córkę, a obok w pokoju znalazły martwą ciocię z synami. Nie było jednak pozostałych domowników. Dziewczynki ruszyły więc do sąsiedniego gospodarstwa szewca Witaszczyka i jego żony, która była matką chrzestną ich najmłodszej siostry. Natalia Oręziak tak zapamiętała to, co stało się później:

„Zachodzimy do domu. Ona zabita leży na jednym łóżku. Córka na drugim. A syn ich siedział tak w kucki na kanapie, oparty w rogu, tak jakby spał, ale oni go zastrzelili, tylko my nie widziałyśmy krwi, bo gdzieś tam poleciała. My go wołamy: »Lesiu! Lesiu!«. Ale on się nie odzywał”.

Halina Adamowicz relacjonuje:

„Popatrzyłyśmy na to i bardzo żeśmy się przestraszyły – i dalej nie poszłyśmy, tylko wróciłyśmy się do domu. [...] Mamusia leżała w kałuży krwi. [...] Od babci też struga krwi płynęła, a ta siostra malutka to tak jakby spała. Położyłyśmy się z siostrą [...] I leżymy. Taka była ogromna cisza. Takiej ciszy nigdy nie słyszałam”.

Natalia Oręziak dodaje:

„Siostra [Halina] siadła przy mnie. Cała we krwi i ja mówię: »Idź na swoje łóżko, bo poznają, że my żyjemy”.

Stefanowi Stankiewiczowi i jego dwóm córkom udało się uciec z Guro-

wa. Początkowo zatrzymali się w Zyguntówce. Jak mówi Halina Adamowicz:

„Mieszkał [tam] tatusia brat [Jan], który miał żonę Czeszkę. [...] I stryjo mówi [do naszego taty]: »Wiesz, Czechów nie biją, tylko Polaków. Ja uciekłem, a Ola [stryjenka] jest z dziećmi u Emmy, swojej siostry«. Tata mówił: »Ty zostań z moimi dziećmi, a ja pójdę na Witoldówkę«. Na tej Witoldówce mieszkała tatusia mama, brat Józef z rodziną i siostra Aniela [...] z rodziną”.

Stefan Stankiewicz wyruszył do Witoldówki, zostawiając córki pod opieką brata.

„Siedzieliśmy w [...] zbożu ze stryjem. Zaczął rosić deszcz, a to już było [...] wieczorem. My tylko w [...] koszulinach, ręce powięzane półhalką. [...] Stryjek mówił: »Idźcie do cioci Emmy, tam [...] jest stryjenka Ola, to dadzą wam jeść«. No, i zaszłyśmy tam”.

Ciocia Emma i stryjenka Ola obmyły rany i przebrały dziewczynki w sukienki po swoich dzieciach. Początkowo ciotka ukryła Halinę i Natalię we wnęce komory, którą zastawiła workami.

„Myśmy tam siedziały, ale po cichu płakałyśmy – ze strachu, z bólu. [...] [W końcu] Emma wyprowadziła nas z tej kryjówki i mówi: »Idźcie do babci na Witoldówkę, tam gdzie [wasz] tata poszedł«. Wyprowadziła nas w swoje żyto za budynkami. Żyto było pochylone ►



i myśmy z siostrą się tam schowały. Siedzimy i słyszymy, że przez wieś jadą Ukraińcy. [...] Mówię do siostry: »Chodźmy do stodoły się schować, bo deszcz pada«.

W stodole dziewczynki spotkały stryja, który ukrył je w sianie i położył się obok.

„Stryjek mówił: »Jakby przyszedł ktoś obcy, nie odzywajcie się nic«. Myśmy nie spały z tego strachu, z tego zmęczenia, z tego bólu. [...] Słyszymy, [że] ktoś wszedł do stodoły. I tatuś się odezwał: »Janek, jesteś tutaj?«.

Ojciec postanowił zabrać dziewczynki do felczera w Iwaniczach. Szli przez łąki.

„Tatuś mówił do nas tak: »Dzieci, jakby do nas strzelali, to pamiętajcie, nie schodźcie się w kupę, rozbiegnijcie [się]. [...] Może ktoś przeżyje«.

### Skala zbrodni dokonanych przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie wołyńskim w 1943 roku





W Iwaniczach dotarli do stacji kolejowej. Halina Adamowicz wspomina:

„Przyjechał towarowy pociąg z [...] wagonami węglarkami. [...] I myśmy na te wagony powiadali, kto tylko mógł. Tatuś mówił do wszystkich: »Nie siadajmy do jednego wagonu. [...] Jak będę do nas strzelać, to może ktoś przeżyje«. [...] Leżeliśmy na podłodze, żeby nas nie było widać. [...] Jak wyjechaliśmy z Iwanicz, to był taki duży las i Ukraińcy [tam] strzelali do pociągu. Ale jakoś dzięki Bogu [...] nikomu nic się nie stało. Szczęśliwie dojechaliśmy do Sokala”.

Kolejnym przystankiem uchodźców był Lwów. Tam Niemcy zaprowadzili ich pod eskortą do budynku szkoły.

„Lwowiacy się szybko dowiedzieli, że są tu poranione dzieci i dorośli. Chcieli nam udzielić pomocy, dać jeść, ubrać. Lekarz się zgłaszał. Niemcy [jednak] nie puścili nikogo”.

Niemcy mieli informacje, że to Polacy strzelali do Ukraińców. Żeby sprawdzić prawdziwość relacji uchodźców, pojechali do wskazanych miejscowości, które zostały zaatakowane przez UPA. Jednym z przewodników został Stefan Stankiewicz. Kiedy Niemcy przekonali się, kim w rzeczywistości byli napastnicy, pozwolili wreszcie na udzielenie pomocy uchodźcom, a później zgodzili się na ich wyjazd. Natalia Oreziak wspomina:

„Taty szwagier pochodził z gór, z okolic Tarnowa. [...] Pojechaliśmy tam. Dokąd było ciepło, to mieszkaliśmy w stodole. Po wodę [...] szło się na dół do strumienia. [...] Zimno się robiło. W stodole nie można [już] było mieszkać. Ktoś [...] miał rodzinę w Przeworsku. [...] No to wszyscy do Przeworska. Tam było przedmieście, Mokrzanica [...] nad rzeką Mleczką. Na tej Mokrzanice ludzie z litości nas pozabierali. [...] Kto co miał, to odstąpił. Myśmy w takim [małym] pokoiku [...] w pięć osób mieszkali. Ludzie pomagali. Jedzenie przynosili [...]. I tak było do roku 1945”.

Z Przeworska trafili do Koźła. Wiosną 1947 roku osiedlili się w Majewie pod Elblągiem, gdzie rodzina dostała

## Mapa podróży rodziny Stankiewiczów podczas ucieczki przed UPA



poniemiecki dom i ziemię. Halina Adamowicz opowiada:

„Gospodarzyłam z tatusiem, ile mogłam. [...] Skończyłam tylko siedem klas szkoły podstawowej. Później robili kursy przedszkolek, wychowawczyń domu dziecka i ja poszłam na taki kurs [...] do Gdańska. [...] Pracowałam w [wiejskim] przedszkolu na Żuławach. [...] Bardzo to przeżywałam, że tam były dzieci ukraińskie. Ja nie mogłam tego ścierpieć, że [...] pilnuję ukraińskich dzieci”.

Jej przeżycia były tak silne, że po dwóch latach zrezygnowała z pracy i zatrudniła się w jako referentka w wydziale komunikacji drogowej w Braniewie.

Opowieść sióstr Stankiewicz jest zapisem tragedii, która stała się udziałem setek osób. Ludzie ci przez lata szu-

kali swojego miejsca na ziemi. Niektórym udało się je znaleźć. Są jednak i tacy, którzy do dziś nie wiedzą, co stało się w trakcie rzezi wołyńskiej z ich najbliższymi. 📌

oprac. Agnieszka Gumińska

### Natalia Oreziak z d. Stankiewicz

Sygnatura: IPNGd\_N\_169

Data nagrania: 2 sierpnia 2013 roku

Czas nagrania: 108 minut

OBEP IPN Gdańsk, Agnieszka Gumińska

### Halina Adamowicz z d. Stankiewicz

Sygnatura: IPNGd\_N\_170

Data nagrania: 20 sierpnia 2013 roku

Czas nagrania: 131 minut

OBEP IPN Gdańsk, Agnieszka Gumińska

# Kanał

Jerzy Eisler

Siedemdziesiąta rocznica Powstania Warszawskiego skłania do gorzkiej refleksji, że to wydarzenie, najważniejsze w przeszło siedemsetletniej historii miasta, nie doczekało się – jak dotąd – odpowiedniego do jego rangi upamiętnienia w filmie fabularnym. Oczywiście, przez lata wynikało to z ogólnej sytuacji politycznej w PRL. Powstanie było bowiem przedmiotem licznych manipulacji propagandowych albo wręcz zsyłano je w historyczny niebyt.

**W**ładze PRL doskonale zdawały sobie sprawę z tego, że tak ważne dla milionów Polaków i narodowej pamięci Powstanie (a zwłaszcza zatrzymanie na polecenie Józefa Stalina ofensywy Armii Czerwonej na prawym brzegu Wisły) było tym wydarzeniem, które w największym stopniu – oprócz wojny 1920 roku, paktu Ribbentrop–Mołotow, napaści na Polskę 17 września 1939 roku, deportacji na Kresach i Zbrodni Katyńskiej – kładło się cieniem na stosunkach polsko-radzieckich, zawsze szczególnie ważnych dla uzależnionych od Kremla polskich komunistów.

## Niedopowiedzenia i manipulacje

Mimo tego po raz pierwszy Powstanie Warszawskie zostało ukazane, a raczej zasygnalizowane, już w *Zakazanych piosenkach*, zrealizowanych w roku 1946. Znalazła się tam pamiętna, poruszająca scena rozgrywająca się w powstańczej Warszawie, kiedy to szczęśliwie odnajdują się główni bohaterowie: grana przez Danutę Szaflarską Halinka Tokarska i jej brat Roman (Jerzy Duszyński). Dziewczyna, dowiedziawszy się od brata o śmierci jego najlepszego przyjaciela, a zarazem jej ukochanego Ryśka (Jan Świdorski), wybuchła płaczem. Brat pociesza ją, mówiąc: „Nie płacz, Halinka”, a ona przez łzy odpowiada: „Ja nie płaczę, ja śpiewam” i włącza się do chóralnego śpiewu *Serca w plecaku*.

O ile to był jeszcze obraz Powstania bliski pamięci wielu ludzi, którzy je przeżyli, o tyle w późniejszym o kilka lat filmie Jerzego Zarzyckiego *Miasto nieujarzmione* (pierwotnie nosił on tytuł *Robinson warszawski*) mamy do czynienia z ordynarną propagandową manipulacją, polegającą

▶ Porucznik „Zadra” (Wieńczysław Gliński – pośrodku) mówi w filmie, że nie chce, by żołnierze przedzierali się kanałami „jak szczury”; po bokach: Tadeusz Gwiazdowski i Stanisław Mikulski

m.in. na zrównaniu Armii Krajowej z hitlerowcami. Na dobrą sprawę z punktu widzenia rządzących Polską Ludową najlepiej było w ogóle rugować Powstanie Warszawskie z filmów wojennych. W sposób wzorcowy z tego punktu widzenia poradzono sobie z tym problemem w *Czterech pancernych i psie* – jednym z dwóch najpopularniejszych (poza *Stawką większą niż życie*) seriali telewizyjnych PRL. Krytyk filmowy Bartosz Filip napisał trafnie, że w odcinku *Most* „załoga czołgu Rudy bierze udział w wyzwoleniu lewobrzeżnej [powinno być: „prawobrzeżnej” – J.E.] Warszawy. W bohaterkiej szarzy wjeżdżają na most, ich akcję kończy jednak wybuch. Dalszy ciąg fabuły opowiada o pobycie załogi w szpitalu, o Powstaniu Warszawskim ani słowa... Obserwując tak opowiadaną historię, możemy skonstatować, że tylko pechowy wybuch uniemożliwił załodze *Rudego* wyzwolenie Warszawy...”

## Na fali odwilży

Jednak nawet „niedopowiedzenia” tego typu były możliwe dopiero po zmianach politycznych w 1956 roku. To właśnie na fali ówczesnej liberalizacji powstały zresztą dwa do dzisiaj najwybitniejsze i najgłośniejsze dzieła poświęcone tematyce Powstania Warszawskiego: *Kanał* Andrzeja Wajdy (premiera 20 kwietnia 1957 roku) oraz *Eroica* Andrzeja Munka (premiera 4 stycznia 1958 roku). Gwoli ścisłości





należy przypomnieć, że projekty tego pierwszego filmu Jerzy Stefan Stawiński, autor scenariuszy nie tylko obu obrazów, ale w ogóle największej liczby filmów fabularnych dotyczących Powstania Warszawskiego, opracowywał jeszcze na przełomie lat 1955 i 1956. Nie był to jeszcze dobry czas dla tego obrazu. W styczniu 1956 roku komisja scenariuszowa zaleciła wprowadzenie gruntownych zmian i poprawek. Mogło się wydawać, że film w ogóle nie będzie mógł zostać zrealizowany, ale dość niespodziewanie trzy miesiące później został skierowany do produkcji. Zdjęcia ukończono w sierpniu 1956 roku, a sceny rozgrywające się w kanałach nakręcono w dekoracjach ustawionych na dziedzińcu łódzkiej wytwórni filmowej.

*Kanał* – jak powiedział o nim przed pokazem w stacji telewizyjnej „Kino Polska” Paweł Wieczorkiewicz – to „był pierwszy uczciwy film o Powstaniu Warszawskim”. Nie znaczy to jednak, że ukazuje on całą prawdę o tym tragicznym wydarzeniu. Andrzej Wajda nie miał zresztą takich ambicji. W *Notatkach reżysera* odnotował swoje wątpliwości. Z jednej strony nie chciał, aby tematem filmu było „tzw. bohaterstwo szarego żołnierza zakończone jakimś efektownym obrazem”. Zarazem jednak doskonale wiedział, że szeroka widownia oczekiwała od niego – jak to obrazowo ujął krytyk Stanisław Ozimek – „wiernej rekonstrukcji specyficznej batalistyki powstańczej, obrazu kilkunastoletnich bohaterów, »co to z butelkami szli na Tygrysy«, że żąda się od niego respektowania zapamiętanych lub skrzętnie spisywanych relacji i dokumentów faktów, jakich dostarczyły 63 dni heroicznej, jakże nierównej walki. Odczuwając presję tych skrywanych do niedawna

oczekiwań większości potencjalnych odbiorców, młody reżyser oświadcza publicznie, że nie czuje się na siłach, co więcej, nie widzi aktualnie takiej możliwości, aby pokusić się o przeprowadzenie głębszej interpretacji historyczno-fizycznej dramatu powstańczego”.

Andrzej Wajda w pełni świadomie dokonał więc pewnego zabiegu, decydując się na ukazanie zaledwie niewielkiego wycinka historii Powstania Warszawskiego. Akcja filmu została umiejscowiona w ostatnich dniach tego niepodległościowego zrywu: 26–27 września 1944 roku, chociaż z ekranu pada stwierdzenie, że jest to pięćdziesiąty szósty dzień walki, co wskazywałoby na 25 września. Niezależnie od tej drobnej rozbieżności chronologicznej, wypada przypomnieć, że było już wówczas oczywiste, iż bój o Warszawę, a właściwie o wolną Polskę, jest militarnie przegrany. W tym momencie Powstanie Warszawskie nieuchronnie zbliżało się do końca. Walczyły jeszcze – co prawda – pooddzielane od siebie jednostkami niemieckimi pojedyncze oddziały w Śródmieściu, na Mokotowie i Żoliborzu, ale ich los był już w zasadzie przesądzony.

Gdy rozpoczyna się film, poznajemy jego głównych bohaterów – liczącą już tylko 43 żołnierzy jedną z kompanii AK walczących na Mokotowie. W momencie kiedy kamera ukazuje twarze powstańców, głos komentatora spoza kadru informuje: „Patrzcie na nich uważnie: to ostatnie godziny ich życia”. Jest to prawdziwa historia, opowiedziana na podstawie własnych przeżyć Jerzego Stefana Stawińskiego, który z 73 żołnierzami przedzierał się kanałami z Mokotowa do Śródmieścia. Ocalało bardzo niewielu powstańców z tej grupy. ▶

▶ Łączniczka „Stokrotka” (Teresa Łżewska) i dowódca plutonu „Korab” (Tadeusz Janczar) błądzący po kanałach: ocalenie wydawało się takie bliskie...



Decyzja twórców o umieszczeniu akcji w ostatnich dniach września, w dużej zresztą części w tytułowym kanale, nie wszystkim przypadła do gustu. Niektórym nie podobało się to także dlatego, że jeden z głównych bohaterów – grany przez Wieńczysława Glińskiego porucznik „Zadra” – mówił, że nie chce, aby jego żołnierze przedzielali się kanałami „jak szczury”. Określenie to, zdaniem niektórych kombatantów, miało odbierać powstańcom nimb bohaterstwa. Początkowo zresztą film został przyjęty w kraju dość chłodno. Na przykład Juliusz Kydryński w „Życiu Literackim” oceniał *Kanał* jako obraz całkowicie nieudany. Z kolei Zygmunt Kałużyński w recenzji na łamach „Polityki” pisał, że jest to co prawda dzieło ciekawe, ale zarazem wytykał twórcom, że bardziej czerpali z „konwencji literackiej” niż ze „specyfiki powstania”.

Dopiero po pewnym czasie obraz ten – głównie chyba za sprawą międzynarodowych sukcesów (przede wszystkim Nagrody Specjalnej Jury na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes w 1957 roku oraz w tym samym roku Złotego Medalu w kategorii filmów fabularnych młodych reżyserów na MFF w ramach Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Moskwie) – został w pełni doceniony. Niemniej niektórzy recenzenci nadal byli bardzo krytyczni. Władysław Bartoszewski na łamach „Stolicy” pisał, że *Kanał* nie mówi prawdy o Powstaniu Warszawskim, a co więcej, podważał zasadność przyznania mu nagrody w Cannes. Byli jednak i tacy recenzenci jak Aleksander Jackiewicz, który od samego początku – jeszcze przed przyznaniem nagrody w Cannes – oceniał film jednoznacznie pozytywnie. Pisał z nadzieją: „Może *Kanał* stanie się początkiem mówienia prawdy o historii najświeższej, o nas samych, o całym pokoleniu”.

### Wierny portret ostatnich dni zrywu

Zgodzono się wreszcie, że *Kanał* nie mówi całej prawdy o Powstaniu Warszawskim, lecz jedynie w sposób drastyczny opowiada o jego ostatnich dniach. Co ciekawe, z czasem przestano twórcom stawiać z tego powodu zarzuty. Jednocześnie zrozumiano chyba, że nie jest to film antybohaterski, a co najwyżej antykoturnowy. Doceniono w końcu także i to, że twórcy znakomicie sportretowali poszczególne postaci. Oczywiście przyczyniło się też do tego zgromadzenie w jednym filmie wielu znakomitych aktorów. Na ekranie – obok Wieńczysława Glińskiego – występują więc m.in.: Tadeusz Janczar, Emil Karewicz, Stanisław Mikulski, Zdzisław Leśniak i Adam Pawlikowski. Co więcej, nawet w rolach zupełnie epizodycznych pojawiają się osoby, które w przyszłości miały stać się ikonami polskiego filmu: Jan Englert, Ryszard Filipiński czy Ewa Wiśniewska. W rolę jednego z powstańców w kanale wcielił się (zresztą pracujący przy tym filmie jako drugi reżyser) Kazimierz Kutz.

Autorzy zadbali o wszelkie detale, choć nie ustrzegli się paru drobnych potknięć realizatorskich. Na przykład

w scenie wyjścia z kanału zastępcy dowódcy kompanii, porucznika „Mądrego” (Emil Karewicz), na zapelniony przez Niemców plac przed potężnym budynkiem, widać wyraźnie, że w gmachu tym w oknach są wszystkie szyby (w końcu września!), chociaż dość trudno byłoby taki obiekt znaleźć w ówczesnej Warszawie. Poza tym jednak każda scena ukazana w filmie, nawet jeżeli nie została bezpośrednio udokumentowana źródłowo, mogła się wydarzyć w czasie Powstania Warszawskiego. Mam na myśli np. poruszającą sekwencję z początku filmu z młodą dziewczyną, która straciła nogę, albo scenę, w której dowódca plutonu, podchorąży Jacek „Korab”, saperką unicestwił goliata, co przypłacił ciężką raną postrzałową. Niemniej widać też niekiedy wpływ ideologii obowiązującej w PRL. Jest tak na przykład w scenie, w której do potężnego mieszczańskiego salonu w jednym z mieszkań wkracza oddział powstańców i gdy jeden z nich mówi: „Ale się w tej Warszawie mieszkało”.

Jest także oczywiste, że w konkretnych realiach PRL twórcy filmu nie wszystko mogli pokazać, nie o wszystkim mogli mówić. Przede wszystkim dotyczyło to „wątków radzieckich”, to znaczy przypomnienia w jakikolwiek sposób postawy przyjętej latem 1944 roku przez Sowieców. Wajda i Stawiński udanie wybrnęli z tego kłopotu w najślawniejszej bodaj scenie z filmu, kiedy to ranny „Korab” i prowadząca go i błędząca wraz z nim po kanałach, zakochana w nim łączniczka „Stokrotka” (Teresa Iżewska), docierają do kraty zamykającej kolektor. Ocalenie wydaje się tak bliskie. „Stokrotka”, a wraz z nią widzowie, patrzy przez tę kratę na Wisłę i dostrzega domy na tak bliskim i zarazem tak dalekim praskim brzegu. Nie zapominajmy przy tym, że oglądający film doskonale pamiętali, kto się tam wtedy znajdował i kto nie pomógł walczącej Warszawie. Wyraźniej w PRL chyba tego nie można było powiedzieć!

Na koniec chciałbym podzielić się jeszcze jedną refleksją. Otóż wizja Powstania Warszawskiego zaprezentowana w filmie *Kanał* jest znacząco odmienna (znacznie bardziej pesymistyczna, ponura i tragiczna) od tej, którą od 2004 roku – ze sporymi zresztą sukcesami – stara się upowszechniać Muzeum Powstania Warszawskiego. Wynika to przede wszystkim z tego, że muzeum w dużym stopniu koncentruje się na początkowym okresie Powstania jako wolnościowym zrywem po pięciu latach okupacji, film Andrzeja Wajdy natomiast ukazuje agonię powstańczej Warszawy. Na podkreślenie zasługuje to, że nie są to wizje alternatywne, albo – posługując się współczesnym językiem – rywalizujące ze sobą narracje. Są to wizje wzajemnie się uzupełniające, razem tworzące pełniejszy, ale ciągle jeszcze niepełny obraz Powstania Warszawskiego. ❄

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor książek, m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008), *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)



Zaprojektowany i wprowadzony do użycia w roku 1942 znak Polski Walczącej, popularnie zwany kotwicą, stał się na skutek harcerskiej akcji małego sabotażu jednym z najbardziej rozpoznawalnych elementów krajobrazu wojennej Warszawy. Kotwica, błyskawicznie spopularyzowana w różnych formach graficznych, a także użyta jako godło naramienne oddziałów biorących udział w akcji „Burza”, ozdobiła też tarcze amazońskie orłów czapkowych używanych w Powstaniu Warszawskim.

**W** roku 1942 Biuro Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK rozpisało konspiracyjny konkurs na znak organizacji. Rola orła jako godła państwowego była oczywiście niepodważalna, niemniej symbol ten w sposób naturalny kojarzył się z państwem niepodległym. Nowe godło zostało wybrane w marcu 1942 roku spośród 27 projektów nadesłanych w odpowiedzi na konkurs, a autorką była druhna Anna Smoleńska „Hania”.

Monogram wiązany, składający się z liter P i W, z jednej strony był skrótem słów „Polska Walcząca”, z drugiej zaś kojarzył się z kształtem kotwicy, chrześcijańskiego symbolu nadziei. Dlatego właśnie kotwicą nazywano najczęściej nowe godło. Zostało ono wykorzystane w akcji dywersyjno-propagandowej prowadzonej przez Polskie Państwo Podziemne. Nie sposób zliczyć, w ilu miejscach z narażeniem życia ozdobiono nim mury Warszawy i innych miast okupowanej Polski.

16 kwietnia 1942 roku „Biuletyn Informacyjny” KG AK zamieścił następującą notatkę: „Już od miesiąca na murach

# Orły ze znakiem Polski Walczącej

Tomasz Zawistowski

► Orzeł z symbolem kotwicy – najmniejsze, ale bodaj najpiękniej zaprojektowane spośród powstańczych godła czapkowych



Fot. ze zbiorów autora

Warszawy rysowany jest znak kotwicy. Rysunek kotwicy robiony jest tak, że jego górna część tworzy literę »P«, zaś część dolna – literę »W«. Pewna ilość napisów objaśnia, że znak kotwicy jest znakiem Polski Walczącej. Zapoczątkowany być może przez jakiś zespół – znak ten stał się już własnością powszechną”.

Znak ten, początkowo konspiracyjny i przypisywany anonimowemu jakoby ze-

spółowi, po roku stał się na mocy rozkazu dowódcy AK znakiem firmowym Armii Krajowej, pozostawianym na miejscach akcji zbrojnych. W roku 1944 żołnierze oddziałów biorących udział w akcji „Burza” nosili na rękawach naszywane oznaki z kotwicą. Bywało, że litery składające się na kotwicę interpretowano jako WP – Wojsko Polskie. Przyjęty przez oddziały zbrojne symbol podziemia łączono ►



Fot. z archiwum Stowarzyszenia Tradycji Armii Krajowej

► Kotwica wymalowana podczas Powstania na Woli

niekiedy z wojskowym orłem siedzącym na tarczy amazonek. Orzeł z kotwicą w polu tarczy ozdobił winiętę „Biuletynu Informacyjnego” w tzw. wydaniu „P” (przeznaczonym do kolportażu na terenie powiatu warszawskiego). Tak połączone symbole wykonywano również w wersji metalowej, przeznaczonej do noszenia na wojskowych nakryciach głów.

► Winieta „Biuletynu Informacyjnego” w wydaniu „P”, ozdobiona orłem z kotwicą na tarczy amazonek

### Orły ze znakiem kotwicy

Dowódca 101. kompanii Batalionu „Bończa”, por. Zbigniew Blichewicz „Szczerba”, który przy wchodzeniu do kanałów podczas opuszczania Starówki utracił swój chlebak wraz z furazerką, wspominał: „Żał mi było nie tyle furazerki, ile pięknego, brązowego orzelka na niej wzoru przedwojennego orła wojskowego. Tyle że był dużo mniejszy, a na tarczy miał znak Polski Walczącej. Nigdy już potem takiego orzelka nie widziałem. Podobno wybito tylko kilkadziesiąt egzemplarzy”.

Być może furazerkę por. „Szczerby” zdobył właśnie taki orzeł jak ten prezentowany na s. 81. Nie znamy nazwiska autora ani miejsca produkcji, widać jednak wyraźnie, że projekt wyszedł spod ręki wprawnego artysty. Co ciekawe, jest to bodaj najmniejszy z orłów czapkowych konspiracyjnej produkcji. Niektóre źródła podają, że wytwarzano go na Żoliborzu; szkoda, że autorzy nie uściślają pochodzenia tej informacji. Faktem jest, że godła tego typu są rzadko spotykane i wskutek tego poszukiwane przez kolekcjonerów, a także – niestety – podrabiane przez fałszerzy. Porucznik „Szczerba”, autor niedawno wydanych, arcyciekawych pamiętników, był przez krajowych autorów wymieniany pod niewłaściwym nazwiskiem. Jak dotąd nie udało się też odnaleźć żadnego jego zdjęcia z okresu Powstania, co uniemożliwia upewnienie się, jakiego dokładnie orła miał on na myśli.

### Orły pruszkowskie

Działające od 1920 roku w Pruszkowie Zakłady Przemysłowe Stowarzyszenia Mechaników Polskich z Ameryki zajmo-

wały się w latach trzydziestych produkcją na potrzeby polskiego przemysłu zbrojeniowego, wytwarzając m.in. słynne działa przeciwpancerne na licencji Boforsa. W czasie okupacji zakłady zostały przejęte przez firmę Warschauer Vereinigte Maschinenfabrik (WaVerMa), która uruchomiła w nich produkcję dział samobieżnych Sd. Kfz. 124 Wespe. Organizacja konspiracyjna ZWZ/AK wykorzystywała zakład do własnych celów, wytwarzając potajemnie m.in. iglice do zapalników granatów, iglice do zamków karabinowych i przeciagacze do produkcji luf.

Na przełomie lat 1942 i 1943 jeden z konspiratorów, Henryk Raczyński „Mur”, otrzymał od swego kolegi, inż. Zbigniewa Kredoszyńskiego, propozycję podjęcia produkcji orłów dla żołnierzy Armii Krajowej. Matryce, stemple i wykrojniki, wykonane nakładem kilkumiesięcznej pracy i z pomocą grawera Henryka Lirscha, zostały przemycone do WaVerMy i tam zahartowane. Produkcję orłów małżeństwo państwa Raczyńskich podjęło we własnym domu w Pruszkowie. Pan Henryk wytłaczał orły na prasie postawionej na oknie łazienki i wycinał je wykrojnikiem, a pani Janina lutowała do rewersów druciki mocujące. Ryzyko wpadki było duże – o mało co nie nastąpiła ona w trakcie wnoszenia z zakładu zahartowanych narzędzi. Innym razem bliski odkrycia prawdy był niemiecki oficer – sublokator państwa Raczyńskich.

Historię produkcji orłów znamy dzięki dwóm źródłom. Pierwszym jest wywiad z państwem Raczyńskimi, opublikowany w roku 1972 w wydawanym przez ZBOWiD tygodniku „Za Wolność i Lud”, drugim zaś artykuł z 1996 roku autorstwa Zdzisława Zaborskiego „Błyskawicy”, syna dyrektora słynnej fabryki ołówków „St. Majewski”, a w 1944 roku żołnierza VII Obwodu AK „Obroza”.

Rysunek godła był dość prosty. Na tarczy amazonek była umieszczona tarczka wewnętrzna z symbolem kotwicy opatrzonej dodatkowym elementem – poziomą linią przecinającą znak w połowie wysokości. Trudno orzec, co miała ona symbolizować. Być może chodziło o wprowadzenie do monogramu wiąza-



Fot. ze zbiorów autora





Fot. ze zbiorów Tadeusza Treli

► Orzeł pruskiowski – wersja pierwsza; nie weszła do masowej produkcji



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł pruskiowski – wersja druga; wyprodukowano 14 tys. egzemplarzy

nego z liter P i W dodatkowego elementu w postaci łacińskiego krzyża?

Wiadomo, że pierwsza wersja orła nie została zaakceptowana przez zleceniodawców. Można się domyślać, że wsku-

tek tej decyzji cały proces przygotowania matrycy, stempla i wykrojnika, wraz z najbardziej ryzykownym hartowaniem pod okiem nieprzyjaciela, musiał zostać powtórzony. Druga wersja, różniąc się

niewielu rysunkiem, z charakterystyczną, wąską tarczą amazońską, została przyjęta – organizacja przydzieliła środki na zakup blachy i rozpoczęto produkcję seryjną. Wykonano około 14 tys. ►

► Porucznik Wacław Jastrzębowski „Aspira” prezentuje kapitanowi Cyprianowi Odorkiewiczowi „Krybarowi” trofeum z niemieckiego transportera zdobyte 14 sierpnia; na furazerce sierż. Władysława Tyczyńskiego „Orła” widoczne jest godło produkcji pruskiowskiej







Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

► Matryce i stemple do produkcji orłów używane przez Janinę i Henryka Raczyńskich z Pruszkowa

orłów z blachy cynkowej i kilkadziesiąt z blachy srebrnej. Duża liczebność serii produkcyjnej przekroczyła wytrzymałość pojedynczego narzędzia, o czym świadczy pęknięta matryca znajdująca się w zespole narzędzi do produkcji orłów pruszkowskich w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego. Po wykonaniu nowej matrycy produkcję orłów wznowiono.

Gotowe orły były odnoszone przez panią Raczyńską i żonę inż. Kredoszyńskiego na stację Elektrycznej Kolei Dojazdowej w Pruszkowie. Następnie trafiły do konspiracyjnych magazynów, a z nich w chwili mobilizacji na powstańcze czapki. Ze wspomnienia państwa Raczyńskich wiemy, że tuż przed Powstaniem w miejscowości Pęcice wpadła w ręce niemieckie łączniczka, Hanna Murzecka „Walka”, która transportowała paczkę z orłami i opaskami

► Powstańcy przed kamienicą przy ul. Lwowskiej 11; na niemieckiej czapce widoczny orzeł produkcji pruszkowskiej



Fot. z zespołu pamiątek po Lechu Wielochowskim z Batalionu Pancernego AK „Golski”

na koncentrację 7. kompanii Zgrupowania „Paweł”. Z kolei zdjęcia archiwalne potwierdzają używanie orłów pruszkowskich w różnych oddziałach i dzielnicach. Z pewnością noszono je na Woli w Batalionie „Miotła”, wchodzącym w skład Zgrupowania „Radosław”, w Śródmieściu w Batalionie „Miłosz” i na Powiślu w Zgrupowaniu „Krybar”. Obecność orłów pruszkowskich w tylu dzielnicach potwierdza, że zostały rozdysponowane z centralnych magazynów przed wybuchem walk.

Gwoli ścisłości dodać należy, że rysunek drugiej wersji orła pruszkowskiego został opublikowany w wydanej w 1970 roku monografii Mennicy Warszawskiej wraz z informacją o wytwarzaniu w niej takich orłów. Fakt produkowania w mennicy orłów konspiracyjnych jest wiarygodny, niemniej były one zapewne innego – nieznanego nam dzisiaj – rysunku.

Znak kotwicy, który pojawił się na tarczach amazońskich dwóch orłów powstańczych, powrócił po latach i występuje na kilku odmianach godeł noszonych przez kombatantów Armii Krajowej. 🇵🇱

**Tomasz Zawistowski** – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

Autor składa Jarosławowi Kuczyńskiemu ze Stowarzyszenia Tradycji AK serdeczne podziękowanie za pomoc i konsultacje.



# Z browningiem na arcyksięcia

Michał Mackiewicz

► Księżęca para tuż przed zamachem

Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

I wojna światowa pochłonęła życie 9,5 miliona żołnierzy. Bezpośrednim sprawcą tej straszliwej katastrofy okazał się niepozorny pistolecik – Browning M1910, z którego Gawriło Princip oddał dwa słynne strzały w Sarajewie 28 czerwca 1914 roku.

**N**owoczesne rewolwery i pistolety ukształtowały się w dziewiętnastym stuleciu. Pierwszy był rewolwer, którego sposób działania (obrotowy bęben z kilkoma ładunkami) był już znany w renesansie, ale do lat trzydziestych XIX wieku nie udało się zastosować go w pełni efektywnie. Dopiero Amerykanin Samuel Colt zsynchronizował obroty bębna z lufą w ten sposób, że za każdym odciągnięciem kurka na jej oś była naprowadzana kolejna komora z ładunkiem, czyli prochem i ołowianą okrągłą kulą. Z tyłu każdej komory znajdował się kominek, na który nasadzano kapiszon.

Szybka i spektakularna kariera rewolweru rozpoczęła się nie tylko w Ameryce, lecz także Europie. Pojawiło

się wiele rozmaitych systemów, a broń tego typu strzelała jeszcze szybciej i stała się wygodniejsza w użyciu, odkąd upowszechniła się scalona amunicja w mosiężnej łusce. Do końca XIX wieku rewolwery niemal całkowicie wyparły z użycia w wojsku pistolety z zamkami kapiszonowymi. Tymczasem w latach dziewięćdziesiątych zastosowano nowe rozwiązania konstrukcyjne, które na początku kolejnego stulecia tendencję tę odwróciły. Narodził się pistolet samopowtarzalny.

Podobnie jak karabin maszynowy Maxima wykorzystywał on zasadę krótkiego odrzutu lufy. Zamek w trakcie strzału pozostawał zaryglowany wraz z lufą, ►



Fot. ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

► Fragment instrukcji PPS pokazujący właściwą postawę strzelecką; w ręku browning M1900

po czym następował ruch wsteczny obu elementów i wreszcie odryglowanie; zamek mógł cofnąć się dalej, wyrzucając pustą łuskę, a następnie dzięki sprężynie powrotnej wracał w pierwotne położenie, wyciągając jednocześnie kolejny nabój z magazynka i wprowadzając go do komory nabojoyej.

Jedną z pierwszych przełomowych konstrukcji był pistolet Borchardta z 1893 roku, w którym zastosowano kolankowo-dźwigniowy mechanizm zamkowy, wykorzystany następnie przez Georga Lugera, twórcę legendarnego Parabellum P08. Samopowtarzalna broń, choć skomplikowana konstrukcyjnie, była bardziej szybkostrzelna i celniejsza niż rewolwery, toteż nic dziwnego, że stawała się coraz bardziej popularna. Zwłaszcza od kiedy światło dzienne ujrzały wynalazki Amerykanina Johna Mosesa Browninga (1855–1926). U schyłku XIX wieku zgłosił on w USA cztery patenty na samopowtarzalne pistolety, z których dwa okazały się absolutnie przełomowe. Jeden wykorzystywał zasadę krótkiego odrzutu lufy i pozostawał zaryglowany przy strzale – z czasem dał początek tzw. amerykańskiej linii pistoletów Browninga



► Browning M1910, widok z lewej strony

(najsłynniejszy był Colt M1911 – regulaminowa broń armii amerykańskiej przez niemal 100 lat!), drugi działał na banalnie prostej zasadzie odrzutu zamka swobodnego (broń nieryglowana) i stał się pierwowzorem tzw. linii belgijskiej.

### Browning – synonim pistoletu

Genialny rusznikarz związał się z dwoma koncernami gigantami – amerykańskim Coltem i belgijskim Fabrique Nationale d'Armes de Guerre z Herstal. Obie firmy posiadały wyłączne prawa do produkowania i sprzedaży broni opatentowanej przez Browninga. Jako że Colt nie był zainteresowany słabszymi pistoletami kieszonkowymi, masową produkcję broni dostosowanej do naboju 7,65 x 17 mm uruchomili Europej-

czy. Jak się okazało, była to roztropna decyzja, która przyniosła krociowe zyski, a Browningowi dodatkowo wielkopomną sławę – jego konstrukcje powędrowały w najdalsze zakątki świata, a nazwisko amerykańskiego rusznikarza stało się synonimem pistoletu. Listę belgijskich browningów otwiera model z roku 1900; jego podstawowymi częściami były: szkielet wraz z osadzoną na stałe lufą i mechanizmem spustowym, zespół zamka z urządzeniem powrotnym i iglicą, magazynek (o pojemności siedmiu naboży). Urządzenie powrotne – sprężyna osadzona na żerdzi – znajdowało się nad lufą, w kanale zamka.

Prostota i niezawodność konstrukcji zadecydowały o absolutnie oszałamiającym sukcesie tego modelu, i to zarówno na rynku cywilnym, jak i wojskowym. Do zakończenia produkcji w 1914 roku mury wytwórni opuściło przeszło 720 tys. egzemplarzy! Browning M1900 okazał się bronią poszukiwaną przez wszelkiej maści terrorystów i rewolucjonistów, znalazł m.in. szerokie zastosowanie w Polsce podczas rewolucji 1905 roku. W przeddzień jej wybuchu w magazynach Polskiej Partii Socjalistycznej zgromadzono ponad 26 tys. sztuk krótkiej broni palnej, z czego



► Pojmanie Gawriła Principa

Fot. ze zbiorów autora



90 proc. stanowiły właśnie browningi. Zresztą Organizacja Bojowa PPS opracowała dokładną i szeroko kolportowaną instrukcję poświęconą budowie pistoletu, współdziałaniu części składowych i pozycjom strzeleckim. Kolejną „efenką” (FN – Fabrique Nationale) był model z roku 1903, pomyślany jako broń wojskowa (kal. 9 mm). Nie zyskał on uznania na miarę oczekiwań, a jednym z nielicznych państw, które zdecydowały się przyjąć go do uzbrojenia swojej armii, była Szwecja. Łączna produkcja w Herstal sięgnęła zaledwie 58,5 tys. sztuk, poza tym blisko 95 tys. wyprodukowali Szwedzi.

### Browning numer 19074

Sukces pierwszego browninga powtórzył natomiast pistolet M1910, w którym konstruktorowi udało się znacznie uprościć budowę i zastosować kilka istotnych i przełomowych nowinek. Najważniejszą było umieszczenie sprężyny powrotnej wokół lufy, dzięki czemu zmniejszono gabaryty broni (eliminacja oddzielnej żerdzi znajdującej się nad lufą, jak w modelu z 1900 roku, lub pod nią – M1903), dodatkowo zwiększając niezawodność działania mechanizmu; poza tym po raz pierwszy na świecie zastosowane zostały aż trzy zabezpieczenia przed przypadkowym strzałem: bezpiecznik chwytowy, mechanizm dźwigniowy blokujący spust i blokada przy wyjęciu magazynka. Broń tego typu, podobnie jak poprzednicy, działała na zasadzie odrzutu zamka swobodnego. M1910 produkowano w dwóch kalibrach – 7,65 mm i 9 mm (9 x 17 mm Browning Short) – w pierwszym wypadku magazynek miał pojemność siedmiu nabojeń, w drugim sześciu. Browningi M1910 nie zrobiły kariery w wojsku, ale w policji i na rynku cywilnym owszem – w Belgii wyprodukowano ich ponad 575 tys. sztuk! Bardzo popularne były m.in. na Bałkanach, zwłaszcza w kalibrze 9 mm...

Serbscy spiskowcy z „Czarnej Ręki” pobrali z arsenału w Kragujevacu łącznie cztery browningi (numery seryjne: 19074, 19075, 19120 i 19126). Jeden



Fot. ze zbiorów autora

### Dane taktyczno-techniczne pistoletu browning M1910:

kaliber	7,65 mm / 9 mm
nabój	7,65 x 17 mm / 9 x 17 mm
masa bez amunicji	590 g
długość	153 mm
długość lufy	88 mm
pojemność magazynka	7 / 6
prędkość początkowa pocisku	ok. 270 m/s

z nich otrzymał Gawriło Princip, który pamiętnego 28 czerwca 1914 roku oddał do księżęcej pary dwa strzały; jeden z pocisków kal. 9 mm ugodził arcyksięcia Franciszka Ferdynanda Habsburga, następcę tronu Austro-Węgier, w kark, drugi natomiast trafił w brzuch jego żonę Zofię, która własnym ciałem próbowała osłonić męża. Strzały padły z odległości kilku kroków i okazały się śmiertelne. Feralny pistolet trafił do austriackiego jezuity Antona Puntigama towarzyszącego księżęcej parze w ich ostatniej drodze. Broń miała zostać przekazana do muzeum, które jednak za sprawą wojny, późniejszych zmian

i wreszcie śmierci jezuity w 1926 roku nigdy nie powstało. O pistolecie zapomniano na długie lata i wydobyto go na światło dzienne (z klasztornych zakamarków) dopiero w przeddzień 90. rocznicy wybuchu I wojny światowej. Dzisiaj browning o numerze seryjnym 19074 jest eksponowany w wiedeńskim Muzeum Historii Wojska (Heeresgeschichtliches Museum).

**Michał Mackiewicz** – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

# Ostatnie dni Baczyńskiego

Katarzyna Dzierzbicka

Podczas spaceru po Warszawie łatwo to miejsce przeoczyć. Kamień upamiętniający powstańczy grób Krzysztofa Kamila Baczyńskiego znajduje się bowiem na tyłach zrekonstruowanej fasady pałacu Jabłonowskich i jest niewidoczny od strony pl. Teatralnego często odwiedzanego przez turystów.

**Z**anim jednak udamy się na powstańczy grób Baczyńskiego, cofnijmy się w czasie. 3 czerwca 1942 roku, zaraz po ślubie w kościele na Solcu, Krzysztof i jego żona Barbara zamieszkali w kamienicy na warszawskim Czerniakowie przy ul. Tadeusza Hołównki 3. Budynek powstał w 1928 roku i był pierwszym spółdzielczym domem w Warszawie, należącym do Spółdzielni Budowlano-Mieszkaniowej Pracowników Łączności. Od 24 września 1936 roku stumetrowe mieszkanie na parterze w siódmej klatce pod numerem 52 wynajmowali rodzice poety. W *Spisie abonentów warszawskiej sieci telefonów Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej i rządowej warsz. sieci okręgowej z 1938 roku*, na s. 15 pod hasłem „Baczyński Stanisław, literat, Hołównki 3”, widnieje numer telefonu: 8 70 61.

W lipcu 1939 roku zmarł ojciec Krzysztofa. Na jesieni matka z synem przeprowadzili się do niespełna czterdziestometrowego lokalu numer 83 na drugim piętrze w dziesiątej klatce, znajdującej się dokładnie naprzeciwko poprzedniego adresu. Po ślubie do mieszkania przy



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

ul. Hołównki wprowadziła się Barbara. Po sporach z synową pani Stefania, która nie akceptowała małżeństwa jedynaka, postanowiła nie zaogniać sytuacji i oddała mieszkanie synowi i synowej. Sama wyprowadziła się do Anina. W czerniakowskim mieszkaniu Barbary i Krzysztofa znajdowała się pod podłogą skrytka na broń. Organizowano tam konspiracyjne spotkania żołnierzy Armii Krajowej, odbywały się tam również wykłady Zastępczego Kursu Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty „Agricola”.

Fot. Katarzyna Dzierzbicka

3 13 04 Baczkier B., m., Królewska 25  
 9 79 62 Baczyńska Maria, m., Poznańska 14  
 9 01 32 Baczyński Józef, m., Nowy Świat 7  
 8 70 61 Baczyński Stanisław, literat, Hołównki 3  
 3 09 22 Baczyński Wacław, przedś. rob. brukarsk., We-  
 soła 4





1 sierpnia 1944 roku, kilka godzin przed wybuchem Powstania Warszawskiego, podchorąży „Krzyś” po raz ostatni wyszedł z mieszkania przy ul. Hołówki. W chwili wybicia godziny „W” poeta znajdował się przy ul. Focha (dziś ten odcinek to ul. Moliere), w rejonie pl. Teatralnego. Został tam wysłany do konspiracyjnej skrzynki, która mieściła się w sklepie z wózkami dla dzieci. Odcieły od swojego oddziału Baczyński zdecydował się na dołączenie do ochotniczego oddziału dowodzonego przez podporucznika Lesława Kossowskiego „Leszka”.

### Ranny w pałacu Blanka

4 sierpnia około 16.00 pełniący służbę w pałacu Blanka poeta został trafiony przez niemieckiego snajpera. Okno, w którego pobliżu stał Baczyński, znajduje się na pierwszym piętrze wschodniego skrzydła pałacu. Strzał padł prawdopodobnie z ul. Focha. Koledzy Baczyńskiego z oddziału natychmiast pobiegli do szpitala polowego, który znajdował się w oficynie ratusza. „Przyleciał jakiś mężczyzna, powiedział: »Ranny w pałacu Blanka!«. Myśmy wstały jak zwykle, pobiegłyśmy do pałacu Blanka. Pod oknem leżał właśnie powstaniec, którego widziałam. Tak rzuciłam okiem – w klapie miał wpiętą odznakę Agricoli. Tak, jak spojrze-



► U góry – tablica upamiętniająca śmierć Baczyńskiego znajdująca się we wnętrzu pałacu Blanka, u dołu – wmurowana w elewację

łam na niego, to nie był zakrwawiony, ale krew tylko kapiała, zmaza jakaś była taka, krew, a tak to głowa cała (nie wiedziałam, co to jest wtedy) była w takich białych [plamkach], to był mózg. Ale sobie nie zdawałam [sprawy], tylko modliłam się wtedy, żeby jak najprędzej go zanieść do naszego lekarza, bo wydawało mi się, że to mu pomoże. Ale jak żeśmy go zanosły, to już tak byłam tym wszystkim przybita, że jak żeśmy postawiły nosze, to wtedy wyszłam, on już wtedy najprawdopodobniej nie żył” – wspominała w 2011 roku sanitariuszka Jadwiga Klichowska „Maria”, „Błyskawica”.

Wspomnienie pani Jadwigi jest jedną z prawie trzech tysięcy relacji powstańców warszawskich utrwalonych w Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego. Dzień, w którym zginął Krzysztof Kamil Baczyński, zapamiętała również Barbara Elżbieta Nachtman-Żylewicz „Bożena”, w czasie Powstania dowódca łączniczek i sanitariuszek batalionu „Nałęcz”: „Okna były zasłonięte do połowy workami z piaskiem. Byliśmy na pierwszym piętrze. Przyniosłam im jabłko – ktoś gdzieś miał jabłko w piwnicy i dał. On jadł jabłko i spacerował w tę i z powrotem. Z naprzeciwka, z Teatru Wielkiego, trafił go snajper przez okienko. Był z kolegą i kolega tak ►

Fot. Katarzyna Dzierzbicka

5 81 56	Drukarnia „Bristol“, Elektoralna 31
2 71 65	Drukarnia Brus L., wł: L. Dunin, N. Swiat 66
11 72 95	Drukarnia, Brzeziński P., Pawia 44
3 16 68	Drukarnia „Ce-Zet“, Cytrynbaum 1 Zielony,
11 18 90	Drukarnia „Chajczyk“, Kogut Ch. Sz., Przebieg 1
3 14 39	Drukarnia, Chmielewski E. i Lipiński S., Sien-
8 50 98	Drukarnia Chmielińskiego Franciszka, Solec 30
10 33 21	Drukarnia Dąbrowskiego A., Wawerska 19
11 32 26	Drukarnia „Derby“, wł. M. Goldman, Leszno 21
6 69 90	Drukarnia Domagalski J. i Frączkowski Z.,
3 07 21	Drukarnia Drapczyńskiego Mariana, Sienna 33
11 93 64	Drukarnia „Druk-Art“, Kasirer S., Żelazna 86
11 64 10	Drukarnia Duchńskiego Wacława, Wolność 3
2 97 51	Drukarnia „Dzieltowa“, Sp. z o. o., Senator. 23
11 89 93	Drukarnia „Ekonomia“, wł. Blankleder D.,
	Cielodna 19
	Dzielną 49

► Do przedwojennej książki telefonicznej wkradła się literówka

plakał: »Ratujcie go, bo to wielki poeta« – bo myśmy go nie znali”.

4 sierpnia w pałacu Blanka był także Jan Romuald Horoch „Listowski”, „Jaś”. Wcześniej z Baczyńskim brał udział w ataku na pałac. „[Snajper] trafił go, odstrzelił mu [kawałek kości z głowy]. On jeszcze żył, bo oddychał. Coś rzeźił, ale był nieprzytomny. Chcieli go tylko ściągnąć, leżał na czerwonym dywanie, wielki dywan, olbrzymi. Leżał na środku. [Snajper] Strzelił jeszcze dwa razy, dopiero na czworakach podeszli i ściągnęli ten dywan razem z nim. Ale jak ciągnęli, to zajęło jakieś dwadzieścia minut, przyciągnęli już trupa”.

### Powstańczy grób poety

• Krzysztof Kamil Baczyński został pochowany wieczorem 4 sierpnia na tyłach ratusza mieszczącego się w pałacu Jabłonowskich. Pogrzeb odbywał się niemal w całkowitej ciszy. Po krótkim przemówieniu ktoś zaintonował hymn

narodowy. „Potem po wojnie, jak kupiłam chyba »Tygodnik Powszechny« i patrzę – jest zdjęcie tego powstańca, pisze, że to jest Krzysztof Kamil Baczyński, którego matka tak długo szukała i nie mogła odnaleźć, nie wiedziała, gdzie był pochowany, a on był w klombie, jak klomby były, to tam został [pochowany], wybetonowane było, ale były miejsca, gdzie rosły kwiaty, to w klombach chowało się zabitych” – wspominała Jadwiga Klichowska.

Według relacji świadków, obok Baczyńskiego w powstańczych grobach zostali pochowani również Bolesław Jezierski „Bolo”, który zginął 2 sierpnia, i jego brat Stefan, zastrzelony przez Niemców na wieży ratusza w pałacu Jabłonowskich. Być może za Baczyńskim znajdował się jeszcze jeden grób. Barbara nie została poinformowana o śmierci męża, choć prawdopodobnie domyślała się, że nie żyje. Ukrywała się w piwnicy domu rodziców przy ul. Pańskiej.

24 sierpnia Barbara po wyjściu na podwórkę kamienicy została trafiona w głowę fragmentem szyby zbitej przez odłamek pocisku mózdzierzowego. Mimo udzielonej natychmiast pomocy zmarła 1 września. Według relacji świadków, konając, trzymała w rękach tomik wierszy męża i jego dyplom ukończenia szkoły podchorążych. Żona Krzysztofa została pochowana



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

► Popiersie Baczyńskiego autorstwa Ferdynanda Jarochy w pałacu Blanka

• na ulicy Siennej, w pobliżu drukarni jej stryja, Mariana Drapczyńskiego.

### Rozpoznany po medaliku

W 1947 roku odbyły się ekshumacje ciał poległych w okolicach pałacu Blanka. Matka rozpoznała „Krzysia” (taki pseudonim nosił Baczyński w batalionie „Parasol”) po medaliku na szyi, na którym były wryte jego inicjały. Ciało najpierw przeniesiono do kościoła Kapucynów przy ul. Miodowej, gdzie została



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

Fot. Katarzyna Dzierzbicka







Fot. Katarzyna Dzierzbicka

odprawiona msza, a następnie przewieziono na cmentarz wojskowy na Powązkach. Nie obyło się bez sporów o to, czy poeta powinien zostać pochowany w kwaterze batalionu „Zośka”, do którego należał do lipca 1944 roku, czy „Parasola”. Według świadków tamtych dni, Krzysztof opuścił „Zośkę” i wstąpił do „Parasola” po rozkazie Andrzeja Romockiego, dowódcy kompanii „Rudy”: „Zwalniam z funkcji kompanii 2: st. strz. pchor. Krzysztofa Zielińskiego [konspiracyjny pseudonim poety – przyp. aut.] z powodu małej przydatności w warunkach polowych i proszę, aby objął nieoficjalne stanowisko szefa prasowego kompanii”.

Być może jednak decyzja Baczyńskiego o przejściu do „Parasola” została podjęta już wcześniej. „W lipcu widziałem go jeden jedyny raz. On był świeżo mianowanym zastępcą. [...] Wtedy był żołnierzem w »Zośce« i został delegowany czy przekazany z jakichś powodów do »Parasola«. Myślę, że go »Zośka« chciała oszczędzić, jako że wtedy oni wiedzieli, kim był, a u nas – przynajmniej w moim plutonie – nie było to wiadomo. Krzysztof to Krzysztof, podchorąży to podchorąży, jest to jest, świeży to świeży. No i na tym się kończyła sprawa” – mówił w wywiadzie dla Muzeum Powstania Warszawskiego Witold Sławski „Sławek”, strzelec „Parasola”.

Ostatecznie poeta został pochowany w kwaterze 22A-2-12, między kwaterami „Zośki” i „Parasola”. Spoczywa tam wraz ze swoją ukochaną Barbarą.

### Tablice pamiątkowe

Pałac Blanka, gdzie zginął Krzysztof Kamil Baczyński, został niemal całkowicie zniszczony w czasie niemieckich

bombardowań. Po wojnie został odbudowany jako pierwszy budynek w stolicy. W 1969 roku na fasadzie zachodniego skrzydła odsłonięto tablicę upamiętniającą śmierć poety: „Tu poległ śmiercią żołnierza 4 sierpnia 1944 poeta walczącej Polski Krzysztof Kamil Baczyński”. Druga tablica pamiątkowa i popiersie poety autorstwa Ferdynanda Jarocho znajdują się wewnątrz pałacu. Zostały odsłonięte w 1986 roku. W budynku mieści się dziś Ministerstwo Sportu i Turystyki.

W miejscu zrujnowanego pałacu Jabłonowskich utworzono po wojnie



Fot. Katarzyna Dzierzbicka



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

ogromny plac, na którym w 1964 roku odsłonięto pomnik Bohaterów Warszawy 1939–1945, zwany również warszawską Nike. Fasadę pałacu Jabłonowskich ostatecznie odtworzono dopiero w 1997 roku. Dwa lata później na tyłach dawnego ratusza odsłonięto skromny pomnik w miejscu powstańczego grobu poety. Na głazie umieszczono czarną tablicę, która głosi: „W tym miejscu był grób



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

powstańcy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Poety Polski Walczącej. Poległ na Polu Chwały 4 sierpnia 1944 roku”.

Kamienica przy ul. Hołwki 3 stoi do dziś. Łatwo do niej trafić, przechodząc przez świt kamienicy przy ul. Czerniakowskiej lub od ul. Podchorążych. 4 sierpnia 1989 roku przy bramie prowadzącej na podwórkę kamienicy odsłonięto tablicę pamiątkową: „W tym domu w latach 1936–1944 mieszkał i stąd wyszedł do Powstania poeta, żołnierz AK, Krzysztof Kamil Baczyński (1921–1944)”. Na ścianach kamienicy od strony podwórka znajdują się – w większości zabezpieczone ufundowanymi przez mieszkańców ochronnymi szybami – napisy z końca lipca 1945 roku: „Dom rozminowany”.

### Spacer śladami Baczyńskiego

Spacerując po Warszawie śladami poety, warto zobaczyć również kamienicę przy ul. Bagatela 10, gdzie Baczyński przyszedł na świat, o czym również przypomina umieszczona na fasadzie budynku tablica pamiątkowa. W pobliżu wznosi się kościół Najświętszego Zbawiciela, gdzie Krzysztof został ochrzczony, a przy Alejach Ujazdowskich 37 mieściło się przedszkole, do którego uczęszczał. Przy ul. Wspólnej 75 znajdowało się mieszkanie babci Krzysztofa, a przy Wiktorskiej 6 w lokalu 12 w latach 1934–1936 państwo Baczyńscy wynajmowali mieszkanie. Na Solcu można wstąpić do kościoła Świętej Trójcy, gdzie poeta brał ślub z Barbarą, a na Powiślu zwiedzić Muzeum Szkolne w budynku Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego, gdzie oprócz Baczyńskiego uczyli się także Tadeusz Zawadzki „Zośka”, Jan Bytnar „Rudy” i Aleksy Dawidowski „Alek”. W budynku szkoły w 1974 roku odsłonięto pamiątkową tablicę poświęconą poecie.

Symboliczne epitafium Krzysztofa Kamila Baczyńskiego znajduje się również w Muzeum Powstania Warszawskiego, a na znajdującym się na terenie muzeum Murze Pamięci w kolumnie 178, pozycja 3 znaleźć można nazwisko poety.

Katarzyna Dzierzbicka – dziennikarka, przewodniczka po Warszawie

# Zaginieni w obławie augustowskiej

Ewa Rogalewska

**Ze starych fotografii spoglądają ludzie, którzy – po tym, jak zniknęli w lipcu 1945 roku – już nigdy nie powrócili do swoich domów. W Gibach przypominamy o ofiarach obławy augustowskiej – największej powojennej zbrodni na Polakach.**

**Z**djęcia prezentowane na wystawie pochodzą ze zbiorów Obywatelskiego Komitetu Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 roku. Były gromadzone w latach osiemdziesiątych, a obecnie znajdują się – wraz z ankietami, które członkowie komitetu przeprowadzali wśród rodzin i sąsiadów ofiar obławy – w archiwum IPN. W 2007 roku komitet został uhonorowany nagrodą Prezesa IPN Kustosza Pamięci Narodowej.

Wystawa – po raz pierwszy zaprezentowana dziewięć lat temu w Augustowie – przypomina o obławie augustowskiej. W lipcu 1945 roku oddziały Armii Czerwonej i NKWD, żołnierzy 1. pułku praskiego Wojska Polskiego, funkcyjona-

riuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i Milicji Obywatelskiej oraz miejscowi konfidenti przeprowadzili obławę na terenie ówczesnych powiatów: augustowskiego, suwalskiego i północnej części sokólskiego. Podczas tej operacji sprawdzono kilka tysięcy mieszkańców podejrzanych o przynależność do polskiego podziemia niepodległościowego lub współpracę z nim (zatrzymano prawie 1900 osób). Po brutalnym śledztwie Sowietci wyselekcjonowali grupę ok. 600 osób i wywieźli aresztowanych w nieznanym kierunku – do dziś wszelki ślad po nich zaginął.

Ekspozycja ukazuje przebieg aresztowań i zatrzymań, ustalony na podstawie zeznań świadków, starania poszczególnych rodzin, które walczyły o odnalezienie

nie swych bliskich i bezskutecznie starały się wyjaśnić ich losy na drodze sądowej w PRL. O tużpowojennej sytuacji politycznej i społecznej widz dowiadyuje się z meldunków AK/AKO i NKWD. Prezentowane są fotokopie dokumentów PUBP w Augustowie i Suwałkach, informujących o przebiegu akcji.

Fragment wystawy poświęcono też poszukiwaniom, które trwały od końca lipca 1945 roku. Zaprezentowano różne listy i prośby wysyłane przez władze lokalne i osoby prywatne zaniepokojone o losy swych bliskich oraz negatywne odpowiedzi instytucji poszukujących (np. Czerwonego Krzyża), interpelacje poselskie i sprawy sądowe (na fali odwilży po 1956 roku), kończące się umorzeniem.

Po roku 1989 problemem tym zajmowali się w sejmie parlamentarzyści reprezentujący region: poseł Bronisław Geremek i senator Andrzej Wajda.

Na początku lat dziewięćdziesiątych wspomniany komitet społeczny



► Premierowy pokaz wystawy podczas uroczystości obchodów 60. rocznicy obławy augustowskiej, Augustów, 16 lipca 2005 roku



▶ Stanisław Sobolewski (ur. 1921; z prawej), aresztowany wraz z ojcem Władysławem (ur. 1885), pracownikiem śluzu Gorczyca w Płaskiej k. Augustowa



▶ Hanna i Mieczysław Wojnowie, małżeństwo (Hanna spodziewała się dziecka), pracownicy starostwa powiatowego w Suwałkach, oboje aresztowani 24 lipca 1945 roku



▶ Franciszek Masłowski aresztowany 26 lipca 1945 roku, Edward Obuchowski (ur. 1919), aresztowany wraz z bratem Janem, obaj członkowie AK, Eugeniusz Sitkowski (ur. 1920) – aresztowany po maturze, w czerwcu 1945 roku, więziony w Sejnach, w lipcu wywieziony przez Sowieców wraz z innymi aresztowanymi w nieznanym kierunku



**Od 17 lipca do 31 sierpnia wystawę można oglądać na terenie kościoła parafialnego św. Anny w Gibach; zapraszamy też na stronę internetową [www.oblawaaugustowska.pl](http://www.oblawaaugustowska.pl)**



► Telefonogram przedstawicieli władz sowieckich i PUBP w Augustowie z 12 lipca 1945 roku do WUBP w Białymstoku informujący o obławie



► Pracownicy PUBP Augustów i „sowiecnicy” (doradcy); siedzą od lewej: NN sekretarka Komendanta Wojennego Augustowa, mjr Wasilenko, kpt. Wiekszyn, stoją od lewej: Mirosław Milewski (późniejszy generał), Ryszard Caban, Jan Szostak, Aleksander Kuczyński; Augustów, 9 maja 1945 roku



przekazał zebrane materiały do prokuratury w Suwałkach, gdzie było prowadzone śledztwo. Po powołaniu Instytutu Pamięci Narodowej śledztwo jest prowadzone przez prokuratora OKŚZpNP IPN w Białymstoku (od 2001 roku).

Brak pomocy prawnej prokuratury rosyjskiej uniemożliwia pełne wyjaśnienie losów ofiar tej zbrodni. Pomoc uzyskują natomiast badacze od Stowarzyszenia Memoriał, które prowadzi badania archiwalne w Rosji, wskazując na nowe wątki w sprawie miejsca zbrodni.

Materiały prezentowane na wystawie pochodzą ze zbiorów archiwum Państwowego w Białymstoku, Archiwum Państwowego w Suwałkach, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej i Centralnego Archiwum Wojskowego w Rembertowie.

Po zmianie aranżacji i przeprojektowaniu ekspozycja jest prezentowana w postaci historycznej wystawy planszowej. Wystawa została przedstawiona

► Otwarcie wystawy na dziedzińcu byłego więzienia NKWD przy ul. Ofiarnej; od lewej: dyrektor GKBZpNP prok. Dariusz Gabrel, śp. prezes IPN dr hab. Janusz Kurtyka, dyrektor Muzeum Ofiar Ludobójstwa Eugenijus Peikštenis, N.N., dyrektor Oddziału IPN w Białymstoku dr hab. Cezary Kuklo, Wilno, Muzeum Ofiar Ludobójstwa, 20 lipca 2007 roku

widzom z północno-wschodniej Polski. Była prezentowana także w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, dwukrotnie w gmachu sejmu, a także w Wilnie w byłym więzieniu przy ul. Ofiarnej, obecnie siedzibie Genocidu – litewskiego odpowiednika IPN.

Wystawę przygotowali pracownicy OBEP IPN w Białymstoku, pierwotną aranżację plastyczną zrealizował

dr hab. Andrzej Dworakowski z Politechniki Białostockiej.

Od 18 lipca 2014 roku wystawę można oglądać w Gibach. 📍

**dr Ewa Rogalewska** – kierownik Referatu Edukacji Historycznej w OBEP IPN Białystok

Wystawę można zamówić w OBEP IPN w Białymstoku: pawel.kalisz@ipn.gov.pl, tel. 85 6645785; instytucja zamawiająca ponosi jedynie koszty transportu





# Święto historyków

Zjazd Historyków Polskich to najważniejsza data w kalendarzu tych, którzy zawodowo zajmują się historią – w rozmowie z Magdaleną Semczyżyn mówi **dr hab. Adam Makowski**, profesor Uniwersytetu Szczecińskiego, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego XIX Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich

**We wrześniu w Szczecinie odbędzie się XIX Powszechny Zjazd Historyków Polskich. Czy miejsce tego wydarzenia, najważniejszego dla środowiska historycznego, wpływa na program zjazdu?**

Położenie Szczecina, a także otwarcie naukowców z Uniwersytetu Szczecińskiego na badania w kierunku morza i dziejów Europy Północnej, ze szczególnym uwzględnieniem kontaktów transgranicznych, to elementy, które w sposób naturalny naznaczyły program zjazdu. Również nasze bliskie kontakty z partnerami w Niemczech powodują, że współpraca polsko-niemiecka została silnie wyeksponowana. W programie znalazło się także sympozjum poświęcone problematyce Ziemi Odzyskanych. Zaznaczmy, że „morskość” znajdująca odzwierciedlenie w tytule zjazdu („Polska–Bałtyk–Europa”) nie jest pojmowana jedynie w kategoriach marynistycznych. Chcemy pokazać morze jako pomost kulturowy, cywilizacyjny i gospodarczy z Europą i światem. Stąd hasło zjazdu i pomysł na poszczególne sesje: ludzie, morze, konflikty, Europa i regiony oraz oczywiście – edukacja.

**Zatrzymajmy się przy edukacji. Wiele wydarzeń zjazdu ma przyciągnąć nie tylko specjalistów czy miłośników historii, lecz także osoby, które historia może dopiero zainteresować.**

Myślę, że XIX zjazd będzie miał do zaoferowania o wiele więcej elementów edukacji społecznej, niż to miało miejsce w przeszłości. Uznaliśmy, że misja edukacyjna zjazdu powinna być realizowana na najniższym szczeblu i dotyczyć szerokiego grona odbiorców. Stąd pomysł, aby wydarzenie to stało się preludem do Zachodniopomorskiego Festiwalu Nauki. Postawiliśmy także na udział młodzieży. Zjazd odbywa się jednocześnie w sześciu miastach regionu i w czternastu miejscach w samym Szczecinie, aby maksymalnie ułatwić dostęp do wszystkich wydarzeń. Chcemy sfinansować przyjazd uczniów ze szkół z naszego województwa. Imprezy towarzyszące zjazdowi również będą otwarte dla wszystkich chętnych, nie tylko dla zawodowych historyków. W dniach zjazdu będzie można bezpłatnie zwiedzać muzea w Szczecinie, Stargardzie Szczecińskim, na wyspie Wolin i w Kołobrzegu. Przygotowa-

Fot. ze zbiorów Adama Makowskiego



**dr hab. Adam Makowski**

– profesor Uniwersytetu Szczecińskiego, dyrektor tamtejszego Instytutu Historii i Stosunków Międzynarodowych; badacz historii społecznej i politycznej Polski XX wieku, szczególnie procesów integracyjnych ziem zachodnich i północnych z Polską po II wojnie światowej i historii gospodarczej Pomorza

Zachodniego. Jest autorem ponad 70 publikacji, w tym m.in. monografii *Pomorzanie Zachodnie w polityce gospodarczej Polski w latach 1950–1960* (2006).

liśmy wycieczki tematyczne po Szczecinie (np. statkiem po porcie) oraz autokarowe po regionie: Stralsund oraz Kamień Pomorski–Wolin. W programie są również projekcje filmów, spotkania autorskie, koncerty i wizyta w Kwaterze Wielonarodowego Korpusu NATO. Kolejny element, który może przyciągnąć młodych ludzi, to nowoczesne technologie. Podczas dwóch sympozjów będziemy się zastanawiać nad wykorzystaniem w nauce historycznej współczesnej technologii cyfrowej, chociażby w kontekście funkcjonowania archiwów. W trakcie sympozjum zatytułowanego „Panta rhei. Historia 2.0” zostaną omówione nowoczesne narzędzia warsztatowe historyka, nowe formy źródeł, dydaktyka cyfrowa oraz popularyzacja historii przy wykorzystaniu Internetu.

**Czy rozwój nowoczesnych technologii, szczególnie Internetu, nie stawia pod znakiem zapytania tradycyjnej formy zjazdu?**

Spodziewamy się ok. 3 tys. gości, w tym około tysiąca młodzieży szkolnej. Do udziału w sesjach zgłosiło się ponad pięciuset prelegentów. Nie wszystkie referaty mogliśmy uwzględnić w programie. Przez cztery dni odbędzie się łącznie 55 konferencji. Już to olbrzymie zainteresowanie świadczy o aktualności formy zjazdu. Nowoczesne technologie powinny być traktowane nie jako substytut myśli, dyskusji, konfrontacji poglądów i refleksji, lecz jako ich dopełnienie. Organizatorzy zjazdu biorą pod uwagę rozwój technologii i z nich czerpią. Rejestracja odbywa się w systemie internetowym, komunikacja z uczestnikami jest prowadzona wyłącznie elektronicznie, niektóre wydarzenia będą transmitowane w Internecie. Planujemy udostępnić aplikację, która ▶

## Odezwa Polskiego Towarzystwa Historycznego XIX Powszechny Zjazd Historyków Polskich, Szczecin 2014 Polska – Bałtyk – Europa

*Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące,  
My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające!  
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali,  
A nas burza nie odstrasza ni szum groźny morskiej fali.  
Nasi ojce na jelenie urządzali polowanie,  
A my skarby i potwory łowim, skryte w oceanie!*

(Gall Anonim)

Szczecin, gospodarz XIX Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich, jest miejscem szczególnym, chociaż mało znanym polskim historykom. Miasto to, jak żadne inne spośród znajdujących się obecnie w granicach Rzeczypospolitej, miało skomplikowane losy typowe dla ośrodków pogranicza. Założone przez nadbałtyckich Słowian, którzy doprowadzili je do rozkwitu, zdobyte przez Polaków, uzależnione potem od Duńczyków, wreszcie lokowane na nowych zasadach przez Niemców, odgrywało znaczącą rolę w Kwartale Wandyjskim miast hanzeatyckich. Jednocześnie było stolicą Księstwa Szczecińskiego błyszczącą w XVI wieku blaskiem Odrodzenia. W XVII i na początku XVIII wieku zarządzane przez Szwedów, następnie przejęte przez Prusaków stało się głównym portem Królestwa Pruskiego. Był też Szczecin miastem hugenotów oraz znaczącej społeczności żydowskiej. Wreszcie w XIX i XX wieku stał się prawdziwą metropolią, wielkim portem i ośrodkiem przemysłowym, który od 1945 roku znajduje się i rozwija w granicach państwa polskiego. W swych dziejach był więc Szczecin miastem wielu kultur i wielu nacji. Historię ośrodka spaja w jedną logiczną całość właśnie morze, zawsze obecne w jego dziejach. Stąd też obrady XIX Powszechnego Zjazdu Historyków w Szczecinie prowokują do wspólnego zastanowienia się nad znaczeniem mórz i samego Bałtyku w historii Polski i Europy. Tematem przewodnim XIX Zjazdu Historyków będzie więc bardzo szeroko rozumiana problematyka morska.

Chcielibyśmy przez pryzmat Bałtyku spojrzeć na losy Polski i kontynentu europejskiego. Wskazać na morze jako czynnik spajający i ułatwiający modernizację żyjących nad nim społeczeństw. Bałtyk i morza oblewające Europę były nie tylko miejscami żeglugi, umożliwiającymi wymianę między różnymi strefami gospodarczymi Europy, ale również polem rywalizacji o wpływy, od których zależał los całych narodów, wreszcie żywiołem ułatwiającym szerzenie kultury, sztuki, zwyczajów, idei czy poglądów. Bałtyk i inne morza widzielibyśmy kompleksowo jako jedno z głównych spoiw społeczeństw europejskich, pozwalające na wzajemne poznawanie się, porozumiewanie, handlowanie, politykowanie i wojowanie. Dla Polski Bałtyk to nie tylko wąskie „okno na świat” tak często prezentowane w historiografii polskiej, ale przestrzeń ułatwiająca spotkanie się, a następnie stapianie Polaków z Europą. Morze rozumiemy więc wszechstronnie i patrzymy na nie z punktu widzenia człowieka, kultury, wojny, gospodarki, idei i myśli politycznej oraz nadmorskich regionów i ich szans rozwojowych.

Zapraszamy na zjazdowe obrady do Szczecina osoby interesujące się dziejami Polski, Bałtyku i Europy. Zapraszamy koleżanki i kolegów historyków ze wszystkich ośrodków w Polsce. Pragniemy też gościć badaczy zagranicznych. Szczególne zaproszenie kierujemy do nauczycieli historii, dla których przygotowujemy odrębne posiedzenia poświęcone problemom edukacji historycznej, oraz do studentów i młodzieży szkolnej. Mamy bowiem nadzieję, że ukazanie losów Polski i Europy poprzez Bałtyk i inne akweny oblewające kontynent europejski stanowić może odmienne spojrzenie na znane już w historiografii polskiej problemy.

XIX Powszechny Zjazd Historyków Polskich w Szczecinie odbędzie się pod honorowym patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego.

pomoże uczestnikom poruszać się po Szczecinie i orientować się we wszystkich wydarzeniach zjazdu.

### **Czy w programie zjazdu znalazły się wydarzenia przygotowane z myślą o nauczycielach?**

Nauczyciele są integralną częścią cechu historycznego, stąd też zjazd sam w sobie jest dla nich formą doskonalenia zawodowego. Specjalnie do nauczycieli adresujemy składającą się z trzech części sesję „Edukacja”, podczas której m.in. odbędą się dysku-

sje na temat komisji podręcznikowych, współczesnej edukacji historycznej i podstawy programowej. Do udziału w obradach została zaproszona minister edukacji narodowej Joanna Kluzik-Rostkowska. Oprócz tego przygotowujemy materiały dla nauczycieli z propozycjami i scenariuszami lekcji. Pomoce dydaktyczne będą dostępne także w formie elektronicznej.

### **Do Szczecina przyjadą także goście z zagranicy.**

Oczywiście. Historia Polski jest przedmiotem badań naukowców za granicą. Wielu z nich jest członkami Polskiego Towarzystwa Historycznego – głównego organizatora zjazdu. W Szczecinie pojawią się reprezentanci towarzystw historycznych, z którymi współpracujemy, m.in. z Niemiec, Czech, Słowacji i Węgier. Obecność badaczy spoza Polski w naturalny sposób uzasadnia także tematyka zjazdu. Do udziału w dyskusji o Bałtyku zaprosiliśmy history-





ków z Niemiec, Finlandii, Szwecji, Litwy, Łotwy, Estonii i Rosji. Zaakcentowane zostaną także relacje polsko-niemieckie. Warto zwrócić uwagę na dwa wydarzenia: spotkanie zatytułowane „Przekraczanie granic. Dialog historyków polsko-niemieckich” oraz wspólne seminarium doktorantów z Greifswaldu i Szczecina.

**Z programu zjazdu wnioskuję, że organizatorzy uwzględnili także ważne rocznice historyczne, przypadające w roku 2014: stulecie wybuchu I wojny światowej, 25. rocznicę przemian roku 1989 i akcję „Burza” 1944 roku, wpisującą się w bloki tematyczne o II wojnie światowej i okupacji.**

Obu wojnom światowym zostało poświęcone spotkanie „Jak Polacy przeżywali wojny światowe w XX wieku?”. Z kolei Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie pod okiem prof. dr. hab. Roberta Traby przygotowuje symposium „Okupacja niemiecka w Polsce. Codziennosc – światy przeżywane

– pamięć”. Punktem wieńczącym obrady będzie panel dyskusyjny na temat doświadczeń kulturowych i badawczych związanych z przemianami roku 1989 zatytułowany: „25 lat po Jesieni Narodów w Europie Środkowej 1989–2014”. Wezmą w nim udział przedstawiciele dziewięciu krajów.

**Jak Pan Profesor ocenia znaczenie powszechnych zjazdów dla środowiska historycznego w Polsce?**

Od pierwszego zjazdu, który odbył w Krakowie w 1880 roku, rozpoczęła się integracja środowiska historycznego. Od tego czasu kolejne spotkania wyznaczają rytm, który napędza nas wszystkich do działania. Podczas zjazdów dochodzimy do konkretnych ustaleń, panuje niepowtarzalny klimat wymiany myśli. Ożywione dyskusje, wymiana poglądów i doświadczeń sprzyjają integracji. Rezultatem zjazdu są też ważne publikacje. To niewątpliwie najważniejsze wydarzenie dla tych, którzy zawodowo zajmują się historią, ale także cenna inicjatywa sprzyjająca jej popularyzacji. 📌

## IPN na XIX Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich

Na zjeździe Instytut Pamięci Narodowej współorganizuje dwa sympozja: „Jak Polacy przeżywali wojny światowe?” oraz „Polska emigracja polityczna okresu zimnej wojny”.

**Podczas poszczególnych sesji wyniki swoich badań naukowych zaprezentują pracownicy IPN:**

- dr Grzegorz Bęblik: „Freikorps Ebbinghaus – bojownicy i kaci”
- dr Małgorzata Choma-Jusińska: „Program dystrybucji książek z Zachodu. Mało znany epizod zimnej wojny”
- dr Marcin Chorążki: „Świadek, protokół przesłuchania świadka oraz relacje jako dokumenty do badania dziejów historii najnowszej. Podobieństwa i różnice w pracy prokuratora IPN i historyka”
- dr Anna Czocher: „Mechanizmy represji i struktura terroru dnia codziennego”
- prof. dr hab. Jerzy Eisler: „Dlaczego nie lubimy biografii osobistości z czasów PRL?”
- dr Joanna Hytrek-Hryciuk: „»Poczucie skrajnego strachu«. Przemoc wobec niemieckich mieszkank Dolnego Śląska w ostatnich miesiącach II wojny światowej oraz pierwszych miesiącach powojennych”
- Agnieszka Jaczyńska: „Okupacja w polskich i niemieckich podręcznikach szkolnych”
- dr Natalia Jarska: „Robotnice w PRL”
- dr Eryk Krasucki: „Punkt wyjścia. Dyskusje historyków wokół biografistyki między »odwilżą« a upadkiem PRL”
- dr Sebastian Ligarski: „Konflikty społeczne a specyfika Ziem Zachodnich i Północnych Polski (1945–1989)”
- dr Sławomir Łukasiewicz: „Polityczność emigracji polskiej okresu zimnej wojny”
- dr Sebastian Piątkowski: „Gdzie wojna rzuciła Polaków? Różne miejsca, różne sytuacje”
- dr Patryk Pleskot: „Jak opisać zjawisko emigracji solidarnościowej?”
- dr Magdalena Semczyszyn: „Aba Kowner, Elizer Lidowski, Icchak Cukierman – organizatorzy nielegalnej żydowskiej emigracji po wojnie”
- Bartłomiej Warzecha: „Zachowanie żołnierzy Armii Czerwonej na Górnym Śląsku po przejściu frontu w 1945 roku”
- dr hab. Marek Wierzbicki: „Życie codzienne Polaków pod okupacjami – wymiar materialny i psychologiczny”
- dr hab. Janusz Wróbel: „Polska diaspora po 1939 roku i zapomniany pomysł atlasu polskiego uchodźstwa”

W dyskusji zatytułowanej „Okupacja niemiecka i jej następstwa w polskiej i niemieckiej pamięci. Dyskusja polityczno-historyczna” weźmie udział prezes IPN dr Łukasz Kamiński.

**Ponadto podczas zjazdu będzie odbędzie się kiermasz wydawnictw IPN i ekspozycja wystaw powstałych w instytucie:**

- „Sonderlaboratorium SS. Zamojszczyzna – pierwszy obszar osiedleńczy w Generalnym Gubernatorstwie”
- „Każń profesorów lwowskich. Wzgórza Wuleckie 1941”
- „Przez Morze Czerwone. Rzeczpospolita Polska na Uchodźstwie 1945–1990”
- „»...Niech polska ziemia utuli ich do snu...«. Ekshumacje i identyfikacje ofiar terroru komunistycznego”

Szczegółowy program zjazdu na stronie: <http://pthszczecin.pl/>

# Jak uczyć o Powstaniu Warszawskim?

Lukasz Michalski

Tegoroczna, siedemdziesiąta rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego w naturalny sposób stawia przed każdym nauczycielem historii tytułowe pytanie. Oszalaniający sukces Muzeum Powstania Warszawskiego uczynił z tego zrywu niepodległościowego temat popularny. Chciałoby się rzec: niemal obowiązkowy.

**N**ie miejsce tu na szczegółowe rozważania, dlaczego pojawienie się przed dziesięcioma laty na polskiej mapie kulturalnej jednej – i to warszawskiej wszak, nie ogólnopolskiej – instytucji zmieniło naszą historyczną świadomość aż tak głęboko. Fakt pozostaje faktem, niezależnie od kontrowersji i niechętnych pomruków wielu niegdyś decyzyjnych, a dziś wciąż prominentnych środowisk. Zdecydowanie ciekawsze, a przy okazji bardzo pomocne w sformułowaniu sensownej odpowiedzi na pytanie główne tej pisaniny byłoby zastanowienie się, dlaczego rok 1994, kiedy to mijają pięćdziesiąta – a więc, wydawałoby się, najkorzystniejsza do rozpropagowania zagadnienia – rocznica Powstania, nie przyniósł w tej kwestii żadnych znaczących zmian. W moim przekonaniu przyczyna jest banalnie prosta. Powstanie Warszawskie – zarówno jako fakt czy proces historyczny, jak i jako tradycja, swoisty depozyt idei walki o niepodległość Polski – było w okresie komunistycznym najpierw bezwzględnie wymazywane, a potem albo przemilczane, albo zakłamywane w wyjątkowo perfidny sposób.

Trzeba sobie powiedzieć uczciwie, że przełamanie przynajmniej fundamentów stereotypów narzuconych społeczeństwu przez peerelowską propagandę okazało się zadaniem bardzo trudnym i wymagającym więcej niż czterech lat, które od upadku komunizmu minęły w roku 1994.

Dziś, gdy na rynku wydawniczym i w Internecie możemy znaleźć bez liku scenariuszy lekcji, materiałów, relacji czy filmów dotyczących sierpniowego zrywu, nie wydaje się sensowne, by sposób dydaktycznego ujęcia problemu Powstania Warszawskiego analizować od strony metodycznej. Zrobiono to już wielokrotnie, a koleżanki i koledzy – historycy szkolni

## Pamięć w obiektywie

# 2. edycja

konkursu fotograficznego  
zapraszamy!





– doskonale poradzą sobie z oceną i wyborem tych rozwiązań, które pasują zarówno do nauczanej grupy, jak i osobistych preferencji. Znacznie potrzebniejsza i ciekawsza wydaje mi się próba wskazania, na jakich polach zagadnień czy też pod jakimi kątami warto młodzieży przybliżyć ten fascynujący czas. W moim przekonaniu, jak już pisałem powyżej, najsensowniej na to pytanie pozwala odpowiedzieć prosta analiza stereotypów czy też dyrektyw propagandowych wytworzonych o Powstaniu w dobie PRL.

### Przeciw siedemnastej republice

Przede wszystkim, jeśli już w ogóle o Powstaniu się mówiło lub pisało oficjalnie, starano się je przedstawić jako wydarzenie lokalne, pozbawione nie tylko sensu, lecz przede wszystkim znaczenia militarnego w kontekście trwających wielkich operacji strategicznych. Ot, kolejne z wielu lokalnych wystąpień niedoważonych konspiratorów, pozbawione szerszego kontekstu i jeśli w ogóle ciekawe, to raczej dla warszawiaków niż choćby tylko historyków II wojny, o syntetykach nie wspominając. W rzeczywistości, formalnie biorąc, Powstanie Warszawskie było kulminacją ogólnopolskiej akcji „Burza”, a zatem zaczynem ogólnonarodowego powstania przeciw Niemcom, a przy okazji manifestacją istnienia, legalności i zdolności do przejścia kontroli i administracji nad krajem Polskiego Państwa Podziemnego. Paradoksalnie, fakt wybuchu powstania akurat w Warszawie był konsekwencją nie tyle układu frontów i sił, którymi podziemie dysponowało akurat tu, ile przede wszystkim jej stołeczności. Przy tym w sensie militarnym Powstanie Warszawskie było największą bitwą miejską II wojny światowej, prowadzoną przez siły armii podziemnej z Niemcami – podkreślam, nie tylko w skali Polski, ale całości konfliktu. Wzięło w nim udział kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy AK i formacji wspierających, nie licząc zaplecza oraz setek tysięcy zaangażowanych w poszczególne operacje cywilów.

W dodatku w wyniku zbrodniczej decyzji Stalina o zatrzymaniu pochodu wojsk sowieckich na linii Wisły ta „lokalna operacja” doprowadziła do niemal trzymiesięcznego opóźnienia pochodu wojsk sowieckich na Berlin. Historykowi nie wolno „gdybać” – to jedna z pierwszych prawd wbijanych młodym adeptom naszej dyscypliny jeszcze na pierwszym roku studiów. Jednak niemal nie sposób nie pomyśleć, że ofiara Powstania zaowocowała nie tylko przekonaniem Stalina o braku możliwości uczynienia z Polski siedemnastej republiki sowieckiej – o co wszak pokornie prosili polscy komuniści – lecz także być może istnieniem Europy Zachodniej w jej dzisiejszym kształcie. Powstanie miało także niezwykle istotne konteksty międzynarodowe i wywołało ogromny rezonans w świecie zachodnim, przynajmniej na poziomie – jak byśmy to dziś powiedzieli – medialnym. Stało się zarazem ważnym argumentem w dyskusjach między-

narodowych i – niestety – wyraźnym wskazaniem przyszłych losów powojennej Polski.

### Manifestacja niepodległego państwa

Po wtóre, Powstanie w ujęciu komunistycznych propagandystów lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych miało być dziwną hybrydą zbrodniczej i świadomie szkodliwej decyzji motywowanego „antyradziecką obsesją” kierownictwa podziemnych struktur wojskowych i politycznych oraz zrozumiałym, choć bezsensownym i tragicznym w skutkach swoistym buntem konspiracyjnej młodzieży, niemogącej już dłużej znieść niemieckiej opresji.

Takie ujęcie miało na celu z jednej strony próbę włączenia szerokich grup kombatantów akowskich w nurt wizji i koncepcji sowieckich namiestników w Polsce (by wspomnieć choćby Mieczysława Moczara i grupę „partyzantów” oraz późniejsze „uśmiechy” ekipy Wojciecha Jaruzelskiego do niektórych przedstawicieli polskich niepodległościowców), z drugiej zaś zaszczepienie w społeczeństwie przekonania o braku rzeczywistego związku pomiędzy „dołami” konspiracji a jej przywódcami, a także podkreślenie rzekomo nieskoordynowanego i wyłącznie militarnego charakteru „lokalnego wystąpienia zbrojnego”, którym miało być Powstanie. ➤

➤ Plakaty z Powstania Warszawskiego autorstwa Mieczysława Jurgielewicza i Edmunda Burkego (z lewej) oraz Henryka Chmielewskiego



Rzekomy brak kontroli i konflikt między kierownictwem podziemia a jego szeregowymi uczestnikami są oczywistym absurdem – wystarczy tu wspomnieć choćby skoordynowanie nie tylko dnia, ale nawet godziny wybuchu Powstania (pomijając słynny „falstart” żoliborski); powstańcy – motywowani jakoby słuszną chęcią zemsty – stosowali konwencję genewską do wcale niemałej grupy niemieckich jeńców, odpowiedzialnych w dodatku za niewyobrażalne barbarzyństwo w traktowaniu żołnierzy i cywilów podczas Powstania; w końcu – uczestnicy zrywu posłusznie skapitulowali i podporządkowywali się rozkazom zwierzchności podziemnej często przez całe lata po zakończeniu już nie tylko Powstania, ale i wojny.

Przed wszystkim jednak w propagandzie pomijano bogactwo fenomenu Powstania. Wbrew temu bowiem, co głosili komuniści, Powstanie Warszawskie było nie tyle operacją wojskową, ile manifestacją niepodległego państwa. Ten krótki okres dwóch miesięcy względnej wolności stolicy to czas nie tylko walk, lecz także jawnego działania struktur sądowych, administracyjnych, pomocy społecznej, kultury i publicystyki. To czasy dyskusji, wydawania ponad stu pism – nie tylko informacyjnych biuletynów, lecz także periodyków politycznych, kulturalnych oraz specjalistycznych! To czas wielkiej dyskusji nad przyszłym kształtem Polski, budowania i publikowania programów reform społecznych. To, krótko mówiąc, moment, gdy wraz z powiewającymi na ulicach biało-czerwonymi flagami na krótką chwilę odrodziła się Niepodległa, we wszystkich swych najważniejszych przejawach.

Sądzę, że ten właśnie element historii Powstania Warszawskiego był dla władz PRL najtrudniejszy do przyjęcia i w konsekwencji (co, niestety, widać do dziś) najskuteczniej zakłamywany. Podważał bowiem podstawy legalności systemu komunistycznego w Polsce, a raczej: najskuteczniej obnażał fałsz tych podstaw. Z podobnym procesem mamy zresztą do czynienia także np. w kontekście losów zbrojnego i politycznego podziemia antykomunistycznego po wojnie, tzw. Żołnierzy Wyklętych, o czym już pisałem kiedyś na tych łamach.

### Uczciwy bilans zysków i strat

Wreszcie problem trzeci, czyli tragedia, lub – jak to lubili ujmować czerwoni propagandyści – „zbrodniczy charakter” Powstania. Opisane już schematy propagandowe (a więc brak

jakichkolwiek znaczących skutków Powstania w sferze militarnej, politycznej czy społecznej) umożliwiały niezwykle wygodne przedstawienie niewątpliwej tragedii tego zrywu i straszliwych strat, które w jego konsekwencji poniosły naród oraz kultura i infrastruktura Polski, jako apokaliptycznie wręcz negatywnego bilansu „zysków i strat”.

Problem z takim ujęciem skutków Powstania Warszawskiego polega na tym, że kryje się w nim część prawdy. Z całą pewnością bowiem pytanie o sens decyzji o wybuchu Powstania w kontekście strat ludzkich, kulturowych i materialnych, które ze sobą przyniosło, jest kwestią zasadniczą, w mym przekonaniu nierozstrzygalną i aktualną – by wspomnieć choćby ostatnio wydaną książkę Piotra Zychowicza *Oblęd '44*, skrajnie wobec tej decyzji krytyczną. Ze straszliwego ciężaru ryzyka, które na siebie wzięli, zdawali sobie zresztą sprawę już dowódcy Powstania i ich polityczni współpracownicy. Co więcej, jak wiadomo, wcale nie była to decyzja jednogłówna ani podjęta bez sprzeciwów czy kontrowersji. Rzecz jednak w tym, że mamy tu do czynienia z wielkim, tragicznym dylematem. Sytuacją wręcz modelową dla dyskusji czy lekcji problemowej. Kwestią być może najtrudniejszą w całej polskiej historii XX wieku. Oznacza to zatem, że nie ma tu rozwiązań czy odpowiedzi oczywistych. Za obiema postawami, tak krytyczną wobec Powstania, jak i wobec niego afirmatywną, stoją ważne, by nie powiedzieć: fundamentalne dla losów państwa i narodu argumenty. Można i trzeba – szczerze, bez patetycznego lukrowania – dyskutować na ten temat z uczniami, jednak nie wolno poddać się prymitywnemu stereotypowi odsądzającemu przywódców Powstania od czci i wiary i ustawiającemu jej apologetów na z góry straconej pozycji.

Krótko mówiąc, gdy stanie przed nami zadanie skonfrontowania młodzieży z tą jakże ważną rocznicą, niezależnie od rozwiązań metodycznych i wyboru konkretnych tematów, pamiętajmy o rzeczywistym znaczeniu i skali Powstania w kontekście polskim i międzynarodowym. Ukazujemy je jako manifestację Niepodległej Polski, nie zaś chaotyczną walkę grupki straceńców. Wreszcie – dyskutujemy o sensie Powstania. Do upadłego, lecz nie odmawiając *a priori* racji żadnej ze stron tego sporu. Być może najważniejszego w naszej wojennej historii. ■

dr Łukasz Michalski – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN





# Zamach na Lenina czy na Niesiołowskiego?

W ubiegłym roku ukazała się książka Jacka Wegnera *Zamach na Lenina. Krótka historia „Ruchu”*. Główny jej temat to nieudana próba podpalenia muzeum Lenina w Poroninie w 1970 roku przez tajną organizację „Ruch”. Kilka lat wcześniej autor zmierzył się z podobną tematyką w udanej pracy *Bez świadków obrony. Historia Jerzego i Ryszarda Kowalczyków*. Od wielu lat badam historię „Ruchu”, czekałem więc na książkę Wegnera z dużym zainteresowaniem. Ta jednak kompletnie rozczarowuje.

„Ruch” – największa tajna organizacja antykomunistyczna z okresu rządów Gomułki – nie doczekał się dotąd monografii, choć pojawiło się na jego temat kilka opracowań – m.in. teksty Stefana Niesiołowskiego i Emila Morgiewicza oraz publikacje IPN, w tym wybór dokumentów *Działania Służby Bezpieczeństwa wobec organizacji „Ruch”*. Do niedawna „Ruch” był głównie kojarzony właśnie z próbą zniszczenia muzeum Lenina. Tytuł książki sugeruje, że jest to zarys historii organizacji ze szczególnym uwzględnieniem akcji „Poronin”. Niestety – obraz „Ruchu” przedstawiony przez autora jest mocno zafalszowany. Przykładem jednego z wielu błędów faktograficznych może być informacja, jakoby deklaracja programowa *Mijają lata...* została opublikowana w wydawanym przez „Ruch” „Biuletynie”; w rzeczywistości zatwierdzono ją i zaczęto rozprowadzać kilka miesięcy przed ukazaniem się tego pisma.

Wegner wspomina kilkakrotnie o liście Niesiołowskiego do Radia Wolna Europa z informacją o rozbiciu organizacji i śledztwie. Opisuje jednak różne nieprawdziwe sytuacje, m.in. odczytanie tego listu na antenie RWE. Co więcej, autor miał w ręku tom akt procesowych, w którym są oryginał i odpis listu, oraz dokumenty potwierdzające jego przechwycenie przez SB. Przeczytał jednak te materiały bardzo pobieżnie i przeoczył wymienione dokumenty. Czytając książkę, trudno się zorientować, jak przebiegały przygotowania do podpalenia muzeum i jak miała wyglądać ta akcja. Autor określa sam pomysł jako bohaterski i wielokrotnie polemizuje z opiniami krytycznymi. Ale pomija też istotne kwestie kompletnego braku przygotowania do tego rodzaju działań, niebezpieczeństwa śmierci przypadkowych osób, bardzo skomplikowanego i trudnego do zrealizowania planu zniszczenia muzeum czy też inwigilacji przez SB, z której w „Ruchu” już zdawano sobie sprawę.

Zdaniem autora, „Ruch” był organizacją „w prostej linii wywodzącą się z doświadczeń WiN i w celach, i metodach”. Cóż, nigdzie się mogłem doczytać, że tworzyła ona oddziały partyzanckie i przeprowadzała zamachy na funkcjonariuszy SB. Razi też określanie „Ruchu” jako organizacji terrorystycznej. Dla uzasadnienia swego pomysłu Wegner posługuje się pojęciem „białego terroryzmu” (różniącego się od terroryzmu „krwawego”), obejmującego takie działania, jak kradzieże

maszyn czy utargu ze sklepu. A przecież nie można zaliczyć do akcji terrorystycznych ekspropriacji (obowiązywał przy nich, o czym autor zapomniał, kategorię zakaz stosowania jakiegokolwiek przemocy) lub zrzucenia tablicy z wizerunkiem Lenina z Rysów. Co więcej, autor powtarza – być może nieświadomie – tezę z dokumentów i opracowań SB o terrorystycznym charakterze organizacji. Dla jej udowodnienia bezpieka zaliczyła do działań terrorystycznych, oprócz podpalenia muzeum, także ekspropriacje, a w śledztwie próbowano udowodnić, że „Ruch” przeprowadził wiele innych akcji o charakterze terrorystycznym, sabotażowym i kryminalnym.

W rozdziale zatytułowanym *Przeniewierstwa* autor opisuje osoby, które – jego zdaniem – zdradziły organizację, zeznając w śledztwie bądź donosząc na kolegów. Za głównego „zdrajcę” uznał Niesiołowskiego, który miał złożyć najobszerniejsze zeznania, pograżające pozostałych. Ale trzeba pamiętać, że SB w tym czasie potrafiła szybko łamać opór przesłuchiwanym. Już na samym początku bardzo szczegółowe zeznania złożyli Wiesław Kurowski i Wojciech Mantaj (w dużym stopniu obciążył właśnie Niesiołowskiego). To umożliwiło bezpiece złamanie w krótkim czasie następnych osób.

W rzeczywistości obszerne zeznania, obciążające innych, złożyła większość z podejrzanych. Na przykład o akcji „Poronin” już pierwszego dnia zeznał Kurowski, a rzekomo „sypiący od pierwszego przesłuchania” Niesiołowski zrobił to dopiero kilka dni później. Z lektury książki wyłania się wyraźnie wrogi stosunek autora do Stefana Niesiołowskiego. Sądzę, że z tego powodu Niesiołowski, a także Andrzej i Benedykt Czumowie oraz Andrzej Woźnicki odmówili Wegnerowi relacji. Nie rozumiem, dlaczego wśród „przeniewierców” został wymieniony Benedykt Czuma – autor najwyraźniej „nie zauważył”, że SB znalazła u niego w mieszkaniu materiały zapalające przeznaczone do zniszczenia muzeum i dlatego jego sytuacja była od początku śledztwa beznadziejna. Zupełnym kuriozum jest zaliczenie do „pomocników esbeków” Stefana Türschmida, który przez dwa miesiące po aresztowaniu odmawiał zeznań.

W tej słabej, niedbale napisanej książce wartościowe są jedynie relacje czworga członków „Ruchu” – Elżbiety Królikowskiej-Avis, Wiesława Kęcika, Janusza Krzyżewskiego i w szczególności Morgiewicza. Ta ostatnia ukazuje faktyczny obraz organizacji, sprzeczny z opisem autora. Z publikacji Wegnera można wnioskować, że była to grupka patriotycznie nastawionych, ale niebyt rozgarniętych terrorystów, którzy podjęli się zadania przerastającego ich możliwości. Niestety, błędy i nieścisłości, wynikające z bardzo pobieżnego zbadania dostępnych materiałów źródłowych i opracowań, dyskwalifikują tę książkę. A entuzjastyczne opinie, wystawione przez Jana Żaryna i Sławomira Cenckiewicza, nie mają jakiegokolwiek uzasadnienia. ❗



Jacek Wegner, *Zamach na Lenina. Krótka historia „Ruchu”*, Słowa i Myśli, Lublin 2013, 318 s.

# Kłamstwa niemieckiego generała

**W** ubiegłym roku wydawnictwo Rebis opublikowało relację niemieckiego oficera pt. *Wojna w Europie: wspomnienia niemieckiego dowódcy obrony Monte Cassino*. Tytuł trochę mylący (w oryginale: *Krieg in Europa*, wyd. 1960), bo narracja zaczyna się właściwie w 1940, a kończy w 1945 roku. A jednak wątek obrony pozycji pod Monte Cassino należy do najważniejszych w tej książce.

Wedle opinii zachodnich historyków, jest to jedna z ważniejszych publikacji dotyczących frontu włoskiego w czasie II wojny światowej, autora zaś przedstawia się jako jednego z najskuteczniejszych generałów Hitlera i – co szczególnie ostatnio modne – jako zdeklarowanego antyfaszystę.

Frido von Senger und Etterlin (1891–1963), weteran walk Wielkiej Wojny, w latach 1942–1943 dowodził 17. Dywizją Pancerną, toczącą w składzie 4. Armii krwawe boje na froncie wschodnim. Skierowany następnie na front włoski, w październiku 1943 roku stanął na czele XIV Korpusu Pancernego. W 1944 roku dowodził obroną linii Gustawa, której ważnym ogniwem był klasztor benedyktynów na Monte Cassino, szturmowany w maju tego roku m.in. przez jednostki 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa. Za walki we Włoszech Frido von Senger und Etterlin został odznaczony Krzyżem Rycerskim z Liśćmi Dębu. W maju 1945 roku trafił do alianckiej niewoli. Po wojnie wielokrotnie zabierał głos w sprawie walk na froncie włoskim, jego wspomnienia ukazały się w latach sześćdziesiątych także w języku angielskim.

Sięgając po książkę *Wojna w Europie...*, należy pamiętać – jak każde wspomnienia – jest to spojrzenie subiektywne. Warto się zastanowić nad tym, w jakim stopniu komentarze autora są tożsame z jego punktem widzenia w trakcie trwania wojny, pisane były bowiem kilkanaście lat później. Przykładem niech będzie cytaty dotyczący Żydów: „Już przed przejęciem władzy przez Hitlera uważałem antysemityzm w każdej postaci za barbarzyństwo. Wśród moich przyjaciół było wielu wykształconych Żydów, a żadnego antysemity”. O narodowym socjalizmie generał pisał: „Wykielkowało najstraszniejsze ziarno politycznego i moralnego zacczadzenia. Oblędną ideę rasy panów podjęli ludzie, których każdy przytomny człowiek uznałby za przeciwieństwo »panów« ze względu na brak wykształcenia, zachowanie, a często wystarczyłby i sam wygląd”.

Czytając powyższe fragmenty, należy pamiętać, że w latach sześćdziesiątych, kiedy ukazało się pierwsze wydanie książki, w Niemczech trwała dyskusja o wpływie ideologii nazistowskiej na społeczeństwo. Powszechnym zabiegiem stosowanym przez weteranów spisujących wspomnienia były swoista ekspiacja za fascynację ideałami narodowego socjalizmu i diametralna rewizja poglądów. Frido von Senger und Etterlin naiwnie stara się przekonać czytelnika, że w trakcie pobytu na froncie rozmyślał o „tyśiącach innych ofiar, tych, które zapewne teraz ruszały w drogę do komór gazowych”.

Gdy powstawała książka, niemieckie środowiska kombatanckie zgodnie powtarzały:

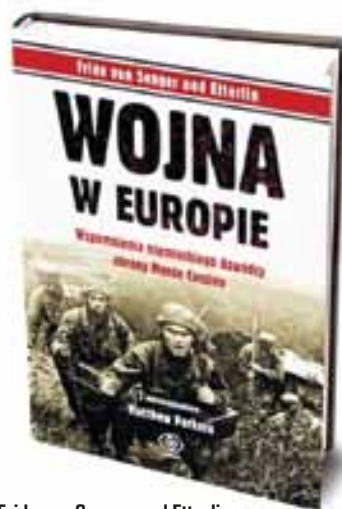
byliśmy jedynie żołnierzami. O roli wojska w III Rzeszy generał pisze więc tylko: „W czasie wojny armia reprezentuje swój rząd”. Zabobonem zaś nazywa pogląd, jakoby Wehrmacht był filarem reżimu Hitlera (!). Führera autor oskarża o zrujnowanie niemieckiego etosu wojskowego i „wspaniałych cech dawnego pruskiego Sztabu Generalnego”.

Generał wiele uwagi poświęca sprawie zniszczenia opactwa Monte Cassino przez lotnictwo alianckie, pisząc o przyjaznych stosunkach Niemców z zakonnikami, którym – zdaniem autora – udzielono wszechstronnej pomocy przed rozpętanem się piekła walk frontowych. Kolejny przypadkowy zabieg narracyjny?

Do najciekawszych fragmentów książki należą zdecydowanie opisy walk frontowych. Autor wielokrotnie wciela się w rolę reportera wojennego, pragnąc pokazać czytelnikowi, czym w rzeczywistości była wojna. Można jednak odnieść wrażenie swoistej fascynacji generała śmiercią przeciwników. Przykładem niech będzie opis walk z lutego 1943 roku: „Co za widok! Przed każdym domem leżało od pięciu do dziesięciu świeżo poległych Rosjan. Widziało się rozszarpane ciała, rozwalone czaszki, mózgi na wierzchu”. Innym razem autor podejmuje rolę turysty-pielgrzyma: „Moje stanowisko dowodzenia pod Roccasecca [...] od strony Cassino osłaniał stromy cypel skalny z ruinami zamku. Tam w 1225 roku urodził się św. Tomasz z Akwinu. Jego nauki do dziś stanowią fundament moralności człowieka Zachodu”. Postaci reportera wojennego i turysty-pielgrzyma to częsty element memuarystyki weteranów wojennych.

Mimo to wspomnienia generała stanowią istotne uzupełnienie publikacji wydanych dotychczas w języku polskim. Do tej pory mieliśmy bowiem do czynienia z książkami przedstawiającymi walki we Włoszech jedynie przez pryzmat dziejów poszczególnych jednostek Polskich Sił Zbrojnych i wspomnień poszczególnych żołnierzy frontowych PSZ.

Co jednak charakterystyczne dla niemieckich wspomnień z lat 1939–1945, autor, ograniczając się niemal wyłącznie do przedstawienia przebiegu działań frontowych, zaledwie zdawkowo pisze o operacjach antypartyzackich (partyzantów włoskich porównuje zresztą do półświatka i gangsterów) i zupełnie pomija sprawę zbrodni wojennych popełnionych we Włoszech, w pasie działania XIV Korpusu, na ludności cywilnej i jeńcach wojennych. Jest to w dalszym ciągu temat słabo zbadany, choć zachowały się liczne dokumenty archiwalne i relacje świadków, w tym ostatnich żyjących żołnierzy PSZ. Jakiś czas temu rozmawiałem z Konradem Samiszem, żołnierzem 1. Pułku Ułanów Krechowieckich. Mówił o wymordowaniu kilku rannych polskich żołnierzy z 2. Warszawskiej Brygady Pancerniej w rejonie miejscowości Imola w kwietniu 1945 roku. Zbrodni miała się dopuścić jednostka wchodząca w skład właśnie XIV Korpusu. Ale o tym już Frido von Segner und Etterlin nie pisze... ❗



Frido von Senger und Etterlin, *Wojna w Europie: wspomnienia niemieckiego dowódcy obrony Monte Cassino*, Rebis, Poznań 2013, 472 s.



# Oryginalnie o Solidarności

**K**arnawał Solidarności – mimo upływu lat – długo nie mógł doczekać się całościowej monografii i nie został opisany w stopniu odpowiadającym jego znaczeniu. Dopiero niedawno ukazała się książka prof. Andrzeja Friszke *Rewolucja Solidarności 1980–1981*. Krokiem w dobrym kierunku jest też z pewnością praca zbiorowa *Solidarność od wewnątrz 1980–1981*, prezentująca niektóre zagadnienia związane z tym ruchem społecznym w sposób oryginalny i wyczerpujący.

Pierwszy tekst tomu, autorstwa Marcina Zaremby, pokazuje, jakie były nastroje Polaków w przededniu strajków sierpniowych. Była to amplituda, którą autor oddaje już w samym tytule swojego artykułu: zimno, ciepło, gorąco. Wraz ze zbliżaniem się terminu wybuchu strajków i ich największym natężeniem w sierpniu 1980 roku w społeczeństwie systematycznie wzbierało oczekiwanie zmian.

W następnym artykule Jakub Kufel skrótowo omawia przebieg strajku sierpniowego i narodziny Solidarności. Jest to jednak, w moim przekonaniu, zbyt pobieżne przedstawienie tego tematu, wykorzystujące zresztą wyłącznie dostępne publikacje. Brak próby podjęcia oryginalnej interpretacji wydarzeń powoduje, że jest to – moim zdaniem – najsłabszy tekst tomu.

Wartościowy poznawczo jest za to kolejny artykuł, autorstwa Tomasza Kozłowskiego. Dotyczy okresu funkcjonowania Solidarności od zawarcia porozumień sierpniowych do momentu jej rejestracji. Pokazuje, jak żywiołowo kształtowały się struktury nowo powstałego ruchu i jaki entuzjazm temu towarzyszył. Przypomina również, jak ścierały się różne wizje dalszego funkcjonowania tej organizacji.

Trzy następne części tomu poświęcono omówieniu dziejów Solidarności w poszczególnych regionach kraju. Andrzej Friszke przedstawił funkcjonowanie Regionu Mazowsze – najważniejszego obok gdańskiego. Jest to opis syntetyczny i podsumowujący wiedzę na temat dziejów jednej z najistotniejszych struktur Solidarności. Jestem przekonany, że – jeśliby rozwinąć opis poszczególnych wątków przedstawionych przez autora – otrzymalibyśmy wartościową monografię poświęconą historii tego ruchu społecznego na Mazowszu.

Dwóch kolejnych autorów opisuje dzieje mniej znaczących regionów i ich specyfikę. Nasze spojrzenie na historię Solidarności kształtujemy przede wszystkim przez pryzmat działalności tych największych bądź też najważniejszych struktur terytorialnych. Teksty Marka Wierzbickiego i Jarosława Nei pozwalają nam rozszerzyć tę perspektywę i lepiej zrozumieć, jak różnorodnym ruchem była Solidarność i jak zróżnicowane były problemy, przed którymi stała.

W publikacji nie brakuje tekstów prezentujących tematykę związaną z Solidarnością przy pomocy ujęć badawczych nietypowych dla polskiej historiografii. Szczególnie wartościowe są pod tym względem teksty Piotra Osęki i Bartosza Kalińskiego. W przypadku tego pierwszego, dzięki zastosowaniu odpowiednich narzędzi badawczych, uzyskujemy dokładne przedstawienie składu Komisji Krajowej Solidarności. Kaliński z kolei przy pomocy analizy pól semantycznych pokazuje, jakim językiem posługiwali się liderzy związkowi, jakie pojęcia były dla nich najistotniejsze i wreszcie, jaki był dominujący temat ich wypowiedzi.

Kolejne dwa artykuły tomu zostały poświęcone prasie solidarnościowej, która była jednym z najważniejszych osiągnięć tego ruchu. Część pism związku wychodziła za zgodą władz i była cenzurowana, ale mogła docierać do większego grona odbiorców. Równoległe nastąpił prawdziwy wysyp wydawnictw bezdebitowych i magazynów publikowanych poza jakąkolwiek kontrolą państwową. Taki właśnie obraz prasy NSZZ „Solidarność” ukazują doskonale artykuły Krzysztofa Podemskiego i Jana Olszka. Ten pierwszy pokazuje, jak wielu zabiegów potrzeba było, by zmusić władze PRL do wyrażenia zgody na funkcjonowanie oficjalnej prasy związkowej. Drugi przypomina, jak zróżnicowany charakter miała prasa związkowa i jak wiele znaczyło dla robotników wewnątrzzakładowe pismo.

Ostatnia partia tekstów w tomie dotyczy zagadnień bardzo zróżnicowanych. Od analiz relacji między władzami a Solidarnością w jednym z mniejszych regionów (tekst Dariusza Węgrzyna), przez spojrzenie na koncepcje ekonomiczne tego związku zawodowego (artykuł Jacka Luszniwicza), aż po przyjrzenie się programowi ambitnych rozwiązań ustrojowych, takich jak idea Samorządnej Rzeczypospolitej (tekst Rafała Chwedoruka).

Publikację uzupełnia zapis dyskusji panelowej na temat tego, jakie ujęcie definicyjne najlepiej określa fenomen Solidarności – czy była to rewolucja, powstanie czy też reforma. Wydaje się, że każde z tych określeń ma swoje uzasadnienie, dlatego też trudno któreś z nich definitywnie wykluczyć.

Tom *Solidarność od wewnątrz 1980–1981* jest ciekawym spojrzeniem na ten wielomilionowy ruch społeczny. Otrzymujemy zarówno syntetyczny obraz funkcjonowania poszczególnych regionów kraju, jak i gruntowne omówienie niektórych wątków działalności związku. Dzięki wykorzystaniu oryginalnych w polskich warunkach metod badawczych udało się uzyskać nowe interpretacje wydarzeń z pozoru już dobrze znanych. 🍷



*Solidarność od wewnątrz 1980–1981*,  
red. A. Friszke, K. Persak, P. Sowiński, IPN,  
ISP PAN, Warszawa 2013, 376 s.

# Prześwietlanie reżysera

Niewielu filmowców było inwigilowanych przez Służbę Bezpieczeństwa tak intensywnie jak Andrzej Wajda. W latach 1977–1989 SB prowadziła wobec słynnego reżysera sprawę operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Luminarz”. W tym czasie teczka artysty urosła do kilku tomów i ponad tysiąca stron.

Po raz pierwszy było o tym głośno w 2007 roku – za sprawą obszernej publikacji Grzegorza Induskiego i Dariusza Wilczaka na łamach tygodnika „Newsweek Polska”. Cztery lata później inwigilacji Wajdy poświęciłem rozdział moich *Filmowców w matni bezpieki*. Witold Bereś i Krzysztof Burnetko poszli jeszcze dalej, przygotowując na ten sam temat niemal czterystustonicową książkę.

*Andrzej Wajda. Podejrzany* ma szansę wciągnąć nawet tych, którzy wychowali się już w wolnej Polsce i historię PRL znają bardzo pobieżnie. Brak przypisów, dziennikarski styl, łopatologiczne wytłumaczenie trudniejszych pojęć i mechanizmów – to wszystko może drażnić naukowca, ale przeciętnemu czytelnikowi mocno ułatwi odbiór. Do lektury zachęcają też bogate ilustracje, choć znajdziemy tu niemal wyłącznie kadry z filmów Wajdy, nie zaś – bardziej unikatowe – kopie materiałów Służby Bezpieczeństwa.

Książka Bereśa i Burnetki to rzecz o losie artysty w PRL i przyczynę do politycznej biografii znanego reżysera. To jednak przede wszystkim szczegółowa analiza przeszło dwunastoletniego rozpracowywania Wajdy przez SB. Są w tej opowieści donosiciele, podsłuchy, rewizje na lotnisku. Autorzy śledzą, jak bezpieka prześwietlała majątek artysty oraz inspirowała krytyczne wobec niego publikacje prasowe. Pokazują, że w sprawie Wajdy esbecy prosili nawet o pomoc zaprzyjaźnione służby węgierskie i ernerdowskie. Wszystko to działo się po to, by – jak piszą Bereś i Burnetko – „złamać, skompromitować lub uciszyć” reżysera.

Wyniki tej kreciej roboty SB okazały się mizerne. Owszem, przez kilka lat Wajda nie miał np. szans na realizację filmu o Januszu Korczaku. Chwilowo MSW wstrzymało reżyserowi wyjazd zagranicę. Rosły jednak i popularność artysty, i jego poparcie dla opozycji demokratycznej. Na tę porażkę bezpieki złożyły się trochę jej nieudolność, a trochę czujność i upór Andrzeja Wajdy. Chyba jednak najistotniejsze było to, że najważniejsze osoby w PRL bały się sięgnąć po dotkliwsze represje wobec reżysera, sławnego już wówczas także na Zachodzie. Przynajmniej to w książce sam Wajda: „Bo cóż SB mi mogło zrobić – niewiele. Ja miałem już wtedy nazwisko, mogłem się pożalić w świecie, wstawiłoby się za mną środowisko, opozycja, może ktoś za granicą. Ale takim ludziom, nieznanym nikomu, niemającym nigdzie wsparcia, bezpieka mogła złamać życie”.

Krótkim komentarzem reżysera kończy się niemal każdy rozdział. Są to refleksje czynione z dzisiejszej perspektywy. Bereś i Burnetko uzyskali też dostęp do niepublikowanych zapisków, które Wajda prowadził na gorąco jeszcze w PRL. Autorzy powołują się również na

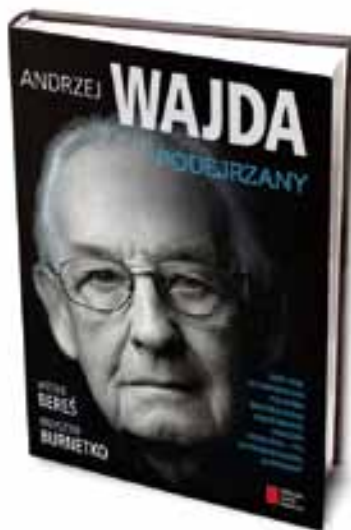
ówczesne instrukcje cenzorskie, stenogramy z posiedzeń Komisji Ocen Scenariuszy, dokumenty Wydziału Kultury KC PZPR. Cytują wspomnienia wicepremiera Mieczysława Rakowskiego, ministra Józefa Tejchmy czy szefa kinematografii Mieczysława Wojtczaka. Sięgnęli także po znane od dekady – ale jakże ciekawe! – materiały sowieckie, pokazujące np., że wizytą Wajdy w Moskwie w 1981 roku interesował się sam szef KGB Jurij Andropow.

Na tle tego bogactwa źródeł uderza słabość kwerendy przeprowadzonej w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Jeśli wierzyć bibliografii, w czytelni IPN Bereś i Burnetko zapoznali się jedynie z materiałami wspomnianej sprawy o kryptonimie „Luminarz”. A przecież dokumenty dotyczące Wajdy można też znaleźć w teczkach osób z jego otoczenia! Bez pogłębionej kwerendy archiwalnej nie sposób również ustalić, kto kryje się pod pseudonimami osaczających reżysera tajnych współpracowników bezpieki. „Nas – nie tylko w tej książce – interesuje nie, kto donosił, ale jak się to działo” – tłumaczą co prawda autorzy. Nie są jednak konsekwentni. Zdradzają bowiem choćby tożsamość kilku ludzi pióra, którzy w materiałach SB figurują jako osobowe źródła informacji: Henryka Gaworskiego, Kazimierza Koźniewskiego i Wacława Sadkowskiego. Inna sprawa, że Bereś i Burnetko nie czynią tego pierwsi.

Sięgając do biografii reżysera, autorzy dotykają także spraw kontrowersyjnych. Przypominają np., że w roku 1948 Wajda – wówczas jeszcze student krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych – starał się o przyjęcie do Polskiej Partii Robotniczej. Zawsze jednak bronił jego wyborów. Nie przepuszczał za to okazji, by dołożyć jego – a zarazem swoim – ideologicznym przeciwnikom. Obrywa się więc nie tylko antysemitom z bezpieki („największe nacjonalistyczne szumowiny”), lecz także pracownikom Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z czasów rządu Jana Olszewskiego („lustratorzy od Macierewicza”). Bereś i Burnetko trafnie zauważają, że w kwietniu 1992 roku teczkę Wajdy przeglądali urzędnicy MSW, kierowanego wówczas przez

Antoniego Macierewicza. W jakim celu? Autorzy książki nie mają wątpliwości: po to, by znaleźć informacje kompromitujące Wajdę i przekazać je mediom. Nawet jeśli nie jest to publikacja naukowa, lecz typowo popularyzatorska, wskazana byłaby większa ostrożność. W innym miejscu Bereś i Burnetko sugerują, że jeszcze w 1990 roku dogorywająca SB zainspirowała miażdżącą recenzję *Korczaka* we francuskim dzienniku „Le Monde”. W tym przypadku także brak dowodów.

Wszystkie te słabości nie umniejszają znacząco ogólnej wartości książki. *Andrzej Wajda. Podejrzany* wyjątkowo przystępnie przybliży sylwetkę zasłużonego reżysera – i metody stosowane przez policję polityczną PRL. A na wyczerpującą i nieco bardziej obiektywną biografię tego utytułowanego artysty wciąż chyba jest za wcześnie. 📖



Witold Bereś, Krzysztof Burnetko, *Andrzej Wajda. Podejrzany*, Agora SA, Fundacja „Świat ma Sens”, Warszawa 2013, 392 s.





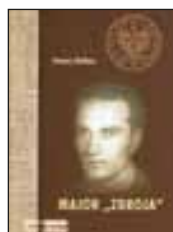
■ *Armia Czerwona/Radziecka w Polsce w latach 1944-1993. Studia i szkice*, red. K. Filip, M. Golon, IPN, Borne-Sulinowo – Bydgoszcz – Gdańsk 2014, 320 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ *Między systemami. Społeczeństwo Polski północno-wschodniej wobec przemian ustrojowych 1989 roku*, red. M. Markiewicz, A. Pyżewska, IPN, Białystok 2014, 205 s.



■ Stanisław Salmonowicz, *„Życie jak osioł ucieka...”. Wspomnienia*, IPN, Gdańsk 2014, 504 s. + 11 s. wkł. zdj.



■ Tomasz Balbus, *Major „Zbroja”*, IPN, Wrocław 2013, 188 s. + 35 s. wkł. zdj.



■ *Opozycja i opór społeczny w Polsce po 1956 roku, t. 2*, red. T. Kozłowski, J. Olszok, IPN, Warszawa 2014, 304 s.



■ „Sierakowskie Zeszyty Historyczne”, nr 11 (marzec 2014), IPN, Instytut Zachodni, Sieraków 2014, 244 s.



■ *Emigracja a środowiska kultury niezależnej w kraju*, red. S. Flis, IPN, Bydgoszcz – Gdańsk 2014, 233 s.



■ Mirosław Pietrzyk, *Więżenie w Inowrocławiu w latach 1945-1956*, IPN, Bydgoszcz – Gdańsk 2014, 434 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ Piotr Stanek, *Stefan Korboński (1901-1989). Działalność polityczna i społeczna*, IPN, Warszawa 2014, 398 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ Ksiądz Henryk kardynał Gulbinowicz, *Pro Deo et Patria. Wybór homilii, kazań i mów okolicznościowych z lat 1980-1994*, IPN, Wrocław 2013, 302 s. + 40 s. aneksu



■ Patryk Pleskot, *Polska – Australia – „Solidarność”. Biografia mówiona Seweryna Ozdowskiego*, IPN, Warszawa 2014, 216 s. + 32 s. wkł. zdj.



■ *Świat wobec Solidarności 1980-1989*, red. P. Jaworski, Ł. Kamiński, IPN, Warszawa 2013, 792 s.



■ Robert Klementowski, *Zgorzelecka bezpieka 1945-1990*, IPN, Wrocław 2014, 365 s.



■ *Pleć buntu. Kobiety w oporze społecznym w Polsce w latach 1944-1989 na tle porównawczym*, red. N. Jarska, J. Olszok, IPN, Warszawa 2014, 404 s.



■ *W stronę antropologii „bezpieki”. Nieklasyczna refleksja nad aparatem bezpieczeństwa w Polsce Ludowej*, red. A. Klarman, E. Kłosek, M. Mazur, J. Syrnyk, IPN, Wrocław 2014, 399 s.



■ Grzegorz Kowal, *Ośrodek Odosobnienia w Grodkowie (1981-1982)*, IPN, Wrocław 2013, 194 s.

**CIEKAWA LEKTURA NA WAKACJE  
W PROMOCYJNEJ CENIE!**



Szczegóły na [www.pamięć.pl](http://www.pamięć.pl)

Instytut Pamięci Narodowej  
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu  
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:  
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki  
PRZYSTANEK HISTORIA ul. Marszałkowska 21/25, 00-628 Warszawa  
poniedziałek – piątek w godz. 10:00-18:00,  
sobota w godz. 9:00-14:00, tel. 22 576 30 05

Prenumerata „Pamięci.pl”  
Szczegółowe informacje na temat prenumeraty  
wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują  
się na stronie [www.pamięć.pl](http://www.pamięć.pl) przy opisie najnowszego  
wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie  
lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą  
na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy  
podane poniżej.

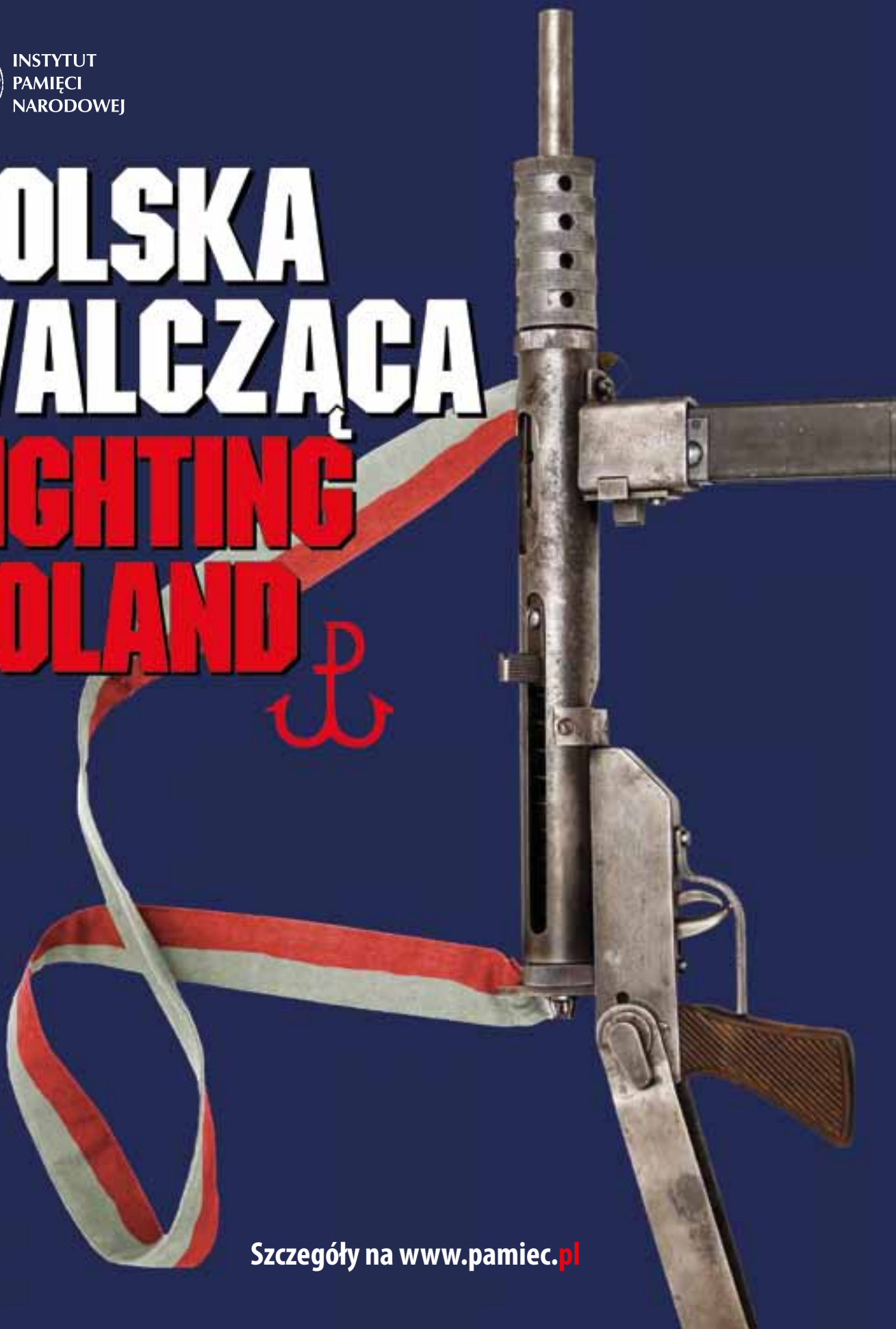
Sprzedaż wysyłkowa publikacji  
zamówienia można składać telefonicznie:  
tel. 22 431 82 92, 22 431 82 88;  
22 431 82 89; faks 22 431 82 91  
pocztą zwykłą na adres Instytutu  
pocztą elektroniczną: [joanna.pamula@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pamula@ipn.gov.pl);  
[joanna.pszczola@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pszczola@ipn.gov.pl); [danuta.wierzman@ipn.gov.pl](mailto:danuta.wierzman@ipn.gov.pl)  
lub w księgarni internetowej: [www.ipn.pocztytaj.pl](http://www.ipn.pocztytaj.pl)

WYSTAWA O **POLSKIM PAŃSTWIE** **PODZIEMNYM**



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

# POLSKA WALCZĄCA FIGHTING POLAND



Szczegóły na [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl)